

Z KSIĘGOZBIORU  
D<sup>ca</sup> WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

Z POD NIEBĄ WSCHODNIEGO

K. 788

K788

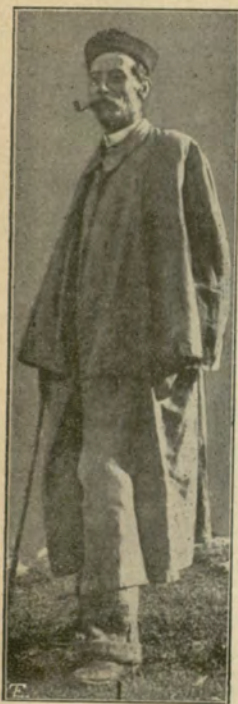
BRITISH MUSEUM



Z KSIĘGOZBIORU  
DR WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

JAN GRZEGORZEWSKI

20

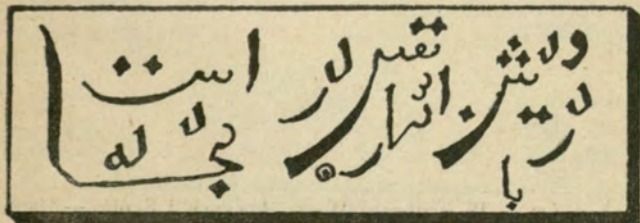


# Z pod nieba wschodniego

PAŃSTWOWE  
MUZEUM ZOOLOGICZNE  
BIBLIOTEKA  
Inw. Nr. K. 788.

NOWELE

I FRAGMENTY Z PODRÓŻY



TOWARZYSTWO WYDAWNICZE WE LWOWIE  
KSIĘGARNIA S. SADOWSKIEGO W WARSZAWIE

M 33T8

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

**K. 788**



1000000000179

Kraków — W drukarni W. L. Anczyca i Spółki — 1902

## ZGON KRÓLA PUSTYNI.

Z BARW I TONÓW AZYI ŚRODKOWEJ.

Z nad *Dżyhanu*<sup>1)</sup> był rodem, właściwie z tych nieobjętych wzrokiem ludzkim, ni orlim, przestworów pustyni, które zrodziły też ongi Dżengis-chana i Timur-lenga. Rozległe to, iście królewskie łoże; więc jak tu pamiętać, w której stronie onego podobało się Allahowi wydać go na świat! Pierwsza wszakże świadomość wrażeń zbudziła się w nim nad brzegiem Zerawszanu czy Szehr-i-rud'u — w przestronnej, rozwartej na cztery strony świata szopie, którą dźwigały wspaniałe kolumny, z drzewa rzeźbione. I to już pamięta dobrze, kiedy, oparty o jedną z nich, ciekawie spoglądając na wyrojone

<sup>1)</sup> Z perskiego „wszechświat“; w turkiestańskich narzeczach *dżykchun* = *wszechświatowy*; epitet jako nazwę dawano granicznej między turańskimi a irańskimi ludami rzece Amu-Daryi, wskazując na jej znaczenie wszechświatowe, międzynarodowe.



z Buchary tłumy ludu, widział wyciągniętą ku niemu rączkę drobną syna emirowego, a włos swój miękki, żółtawy, połyskujący jak jedwab, uczuł głaskany tą trwożną, bojaźliwą rączką dziecięcą:

— Nie bój się — rzecze z powagą Emir — ten przyszedł król pustyni sam jeszcze jest dzieckiem łagodnym! — i, unosząc w powietrze następcę tronu, posadził go na wiotkim, wypryskującym z grzbietu garbie, a potem złożył w ofierze *jugan* <sup>1)</sup>, wysadzany turkusami perskimi.

Od tej pory w ciągu niespełna jednego pokolenia ludzkiego zmierzył dziesięćkrotnie stopami własnymi tę straszną pustynię gniewu Bożego; a ludzie powiadali, że przeszedł mur chiński, dotarł Himalajów z jednej, a tundrów sybirskich z drugiej strony; był raz w tryumfie u grobu Proroka, dwa razy kąpał łapy swoje w Oceanie Indyjskim i Atlantyku, wszędzie roznosząc bogactwa i łupy dwu światów, lub myśl Allahową, w natchnieniu wiary i w walkach namiętności ludzkich i że sięgnął dalej, niż którykolwiek bądź ze zdobywców świata, dalej niż sam wielki *Zulkarnajn* <sup>2)</sup>.

Aż oto od roku zeszłego zaczął chudnąć, słabnąć i zanikać stopniowo. W karawanie z Lahory

---

<sup>1)</sup> Uździenica.

<sup>2)</sup> Właściwie *dzulkarnajn* = *dwurogi*; epitet Aleksandra Macedońskiego, który władał obu częściami świata — Wschodem i Zachodem.

ustawał pięć razy, z wielkim wysiłkiem woli do-  
włókl się do uroczyska, odległego tylko o dwa dni  
drogi od owej szopy promiennej, widzianej w dzie-  
ciństwie, — i już dalej sił mu zabrakło. Kupcy od-  
prowadzili go o staj parę od szlaku karawano-  
wego i rzucili na piasek pustyni, na pastwę żwie-  
rząt dzikich i kruków, rzucili jak wielkość zużytą.

I oto leży teraz dobę trzecią bezwładny na pia-  
sku marcowym, smagany dzień pierwszy śniegiem  
i deszczem, drugi — chłostany mrozem bieguno-  
wym, a dziś od samego rana do południa palony  
niełitościwym skwarem słońca. Dwie lewe łapy, gdy  
padał na ziemię, zaryły się głęboko w piasek i zdre-  
twiały od bezruchu, dwie prawe, wyprężone na ze-  
wnątrz, sztywne, skostniałe, wytrzymać musiały całą  
walkę żywiołów dwudniowych.

Z początku dreszcze przebiegały mu po ciele  
mrowiem, przenikającym do szpiku kości; teraz tra-  
wiła go gorączka piekła, ale nie ta gorączka, która,  
zostawiwszy nietkniętą powłokę zewnętrzną orga-  
nizmu, zawłada wnętrzem jego, ubezwładnia i spro-  
wadza nieświadomość bólu, często nawet błogą,  
ale ta, która, stopniowo pożerając wnętrze jego,  
pozostawia świadomość i wrażliwość zmysłów, dra-  
żnionych i jątrzonych bolem zewnętrznym. Gdy bo-  
wiem z prawej strony olbrzymiego kadłuba buchały  
kłęby oparów wodnych, rozgrzane promieniami  
słońca, unosząc się ponad zmierzwionemi kudłami  
sierci, strona lewa, wraz z garbem zanurzona w pia-

sku, odparzana naciskiem i skupiającym się tam w zaparciu ciepłikiem, pękała, sącząc krew, która, zmieszana z pyłem krzemionki i żwirem, przy najłżejszem poruszeniu wżerała się znów w ciało, jątrzyła bolem rany i spowodowała rozpadanie się, gnicie ciała.

Pysk jego, gdy go wpierv dreszcze dręczyły, miał podostatkiem wilgoci od deszczu i śniegu; teraz, gdy jej spragniony najbardziej potrzebował, pozbawiony jej został w zupełności. Od 20 stopni mrozu, a następnie 22 stopni upału, język mu zdrewniał, skołowaciał, a wargi, podobne do kory topoli, popękały w szerokie brózdy, z których od czasu do czasu sączyła się krew, wsiąkająca w piasek, lub pożądliwie spijana przez olbrzymie muchy i trzmiele, wylęgłe od rana na słońcu wiosennem. Znęcone wonią krwi, zagłębiały pyszczki swe w owe brózdy i chciwie wciągały w siebie płyn czerwony. Nieznośne swędzenie i ból stawał się dokuczliwszym w miarę osiadania całych rojów; a gdy który z nich za głęboko żądło zapuścił i zaświdrował w ciele żywem, długa wyciągnięta szyja wielbłąda drgała konwulsyjnie, z piersi jego wydobywał się cichy, bolesny szept westchnienia, a oczy z wysiłkiem natężenia zwracały się jakby ze skargą w stronę karawany mosleminów, którzy go tu rzucili samotnego do zapasów ze śmiercią.

I jak go dziwnie ułożyli! Swoich, gdy umierają, zwracają twarzą do Mekki, do Kaaby; jego zwró-



cili głową ku temu samemu szlakowi, po którym tyle razy stąpał na czele karawany. Urąganież to było, czy spólcucie?

.....  
Około południa jadący tym szlakiem na osiołku jakiś chodzą garbaty w turbanie białym, z *kiafyrskimi* <sup>1)</sup>, jak to niebo sinemi szklami na oczach i z kiafyrskim, rozpiętym nad nim parasolem, ujrawszy zdala bydlę leżące, zjechał ze szlaku, zbliżył się, popatrzył, pokiwał głową i westchnął:

— *Allah Ekber!* Bóg jest wielki, Bóg miłosierny!

„Bezbożny w dumie swojej oskarżać będzie o fałsz Pismo święte. Bramy nieba zawrą się przed nim i wpierw wielbłąd przez ucho igły przejdzie, nim on do nieba wpuszczony zostanie. Tak Allah wynagradza zbrodniarzy!“ <sup>2)</sup>

W tej chwili jeden z trzmieli, które żerowały na nosie cierpiącego, zerwawszy się stamtąd, złośliwie ukąsił bydlę, wiozące męża świętego. Na kwik onego historyczny chodzą jął zwolna zstępować na ziemię ze słowami:

„Bóg nie wspominał nic o Bahirze, Sajbie, Wazile i Hamzie <sup>3)</sup>; bezrozumni przypisują to

---

<sup>1)</sup> To samo w Azyi środkowej, co *giaurskimi* gdzieindziej.

<sup>2)</sup> Koranu rozdział El-Araf.

<sup>3)</sup> Imiona wielbłądźc w Koranie.

Jego ułomności, lecz większa część ich błędzi z nieświadomości“.

A wyjąwszy chustę z pod siodła, począł odganiać nią muchy i trzmiele od pysku wielbłądziego:

„Zabrania się wam podziału części, wynikającego z losu strzał“.<sup>1)</sup>

Potem własną gałązkę tamaryszku, zerwaną w stepie dla własnej ochłody i opędzania się owadom natrętnym, skropił wodą z tykwy, zawieszoną u siodła, zwilżył suche i popękane nozdrza cierpiącego, ułożył przed nimi tę zieleń dobroczynną i przykrył również zwilżoną chustą głowę wielbłąda:

„One was noszą po ziemi, jak okręty po morzu“.

I wsiadł na osiołka, a rozpiąwszy nad sobą namiot kiafyrski, odjechał dalej w swą drogę mąż świątobliwy:

„*Allah Ekber!* Bóg jest wielki, Bóg miłosierny!“

...Dlaczegoż ludzie nie zawsze chcą być miłosiernymi, jeśli wielkimi być nie zdołają? Czemu szakali nie wprzęgną do swej pracy, a ujarzmiają tylko łagodnych i enotliwych, wyzyskując ich siłę, wierność i cierpliwość za cenę badyła suchego,

---

<sup>1)</sup> Ustęp ten (Rozdz. V.) napisał Mahomet przeciw zwyczajowi Arabów pogańskich, którzy, rzucając strzałami los, dzielili się następnie częściami zabitego wielbłąda.

który wspaniałomyślnie zdobywać pozwalają własnym usiłowaniem — po pracy życia całego, skolatanego w usługach dla nich, po latach pokory i poniżenia?

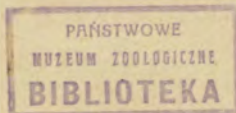
Ażaliż, mimo łagodności, nie był walecznym i nieustraszonym w niebezpieczeństwie, kiedy unosząc na grzbiecie swoim Mule-Mahometa, został zaskoczony w „Stepie Głodnym“ przez całą hordę najęźdźców turkmeńskich? Wbrew nawoływaniom tego wszechwładnego i potężnego wielkorządcy wkroczeniem w sam środek nieprzyjaciół spowodował drżenie i przestрах koni i haniebną w popłochu ucieczkę całego oddziału.

Bywały też i inne chwile tryumfu. Kiedy po wielu latach życia burzliwego sędziwy Abd-Ullah-Szeryf-inak zapragnął śluby swe rozwiązać u grobu Proroka i po długiej pielgrzymce dotarł do grobu namiestników chalifowych u morza Czerwonego wyruszyła w drogę karawana chedywowa ze świętą oponą dla Kaaby. Jeden z trzech wielbłądów z pod darów świętych złamał nogę za zrządzeniem Allaha: należało go zastąpić innym, a żaden z *Masrel-Atikahu*<sup>1)</sup> nie nadawał się ku temu, jeno o n — dziecię dalekiej pustyni azyatyckiej.

Trzeba było widzieć, z jaką dumą i powagą wstępował w przestwory grodu świętego i kroczył

---

<sup>1)</sup> Stary Kair.





przez ulice jego wśród tysięcy ludu, zgromadzonego ze wszech stron świata!

Nie była to wszakże duma konia kiafyrskiego, a choćby arabskiego, w którym mimo instynktów szlachetnych zawsze coś tkwi z próżności, coś zakrawa na efektowność; ani też powaga śmieszna indyka lub pawia, panoszącego się swemi ozdobami błyskotliwemi. Nie, wszak tu Stwórca nic nie użył z tego, co nęci zmysł człowieka i wszelkiego stworzenia żyjącego: *piękno tu wystąpiło w samej brzydocie* i w zupełnej abnegacyi próżności.

Psy wyły, konie drżały i dygotały, ujrawszy go zdala. Czemu?

Czyż nie był potulnym jak dziecię lub jagnię? Ilez to razy prosty wielbłądnik, mały wyrostek, za ledwo skinął na niego, a on wnet przyklekał na ziemię, kładł na niej swą szyję i poddawał bary do rozjuczenia z ładunku!

Wszelkie stworzenie ludzkie usiłuje przedstawić się innem, niż jest w istocie, a w tej pogoni za efektownością kosztem iluż to krzywd bliźnich zyskuje się ona!

Każdy w walce o byt rozwija zle strony instynktu swego.

On, tygodniami i miesiącami przymierając z głodu, a przez życie całe wystawiony na urągawisko lub podziw śmieszności i strachu, nie wycisnął lzy nikomu, ani na chwilę nie przestał być sobą.

Raz jeden tylko nie mógł być pobłażliwym i dał się unieść oburzeniu. Było to w jednym z grodów niziny sarmackiej, dokąd, wprężony w arbę przez synów Turana, nadciągnął z ładunkiem jagód winnych, tak orzeźwiających każdego, a pojętnych dla dzieci. W kraju tym istnieje zwyczaj sprowadzania z dalekiej krainy Gallów piastunek, również nie pogardzających ani temi jagodami, ani sokiem, z nich wyciśniętym, a celujących pomysłowością i chęcią zabawy. W nozdrzach wielbłąda tkwiło kółko metalowe ze zwieszającymi się ku ziemi cugłami. Po uczcie winnej, zaczerpniętej z arby, uznała piastunka za rzecz godziwą urządzenie huśtawki; związawszy więc oba wiszące u kółka końce cugli razem, poczęła huśtać powierzone jej wychowaniu dziecię.

„Lalo! — zawołało po chwili dziecię, zeskakując na ziemię, — wielbiąd krwią płacze, wielbłądowi krew z nosa płynie!“

I wyciągnęło rączęta drobne ku pochylonej głowie wielbłąda i głaskało i pieściło z ubolewaniem pysk jego. A on wysunął język swój wilgotny i z wdzięcznością lizał delikatne ciałko dziecięce.

„*Du foin pour toi, oui, mais des caresses en revenge? Allons donc, gaillard!*“ — zawołała ze wstrętem piastunka, odtrącając pysk wielbłąda uderzeniem parasolki.

Wyprostował się wówczas w całej wysokości swej postawy wyniosłej, zionął na nią tchem po-

gardy i, ciskając w twarz lawinę śliny, plunął z oburzeniem, jak się pluje na człowieka, urągającego instynktom szlachetnym.

\* \* \*

Po południu rozpoczęło się konanie. Gdyby nawet rżenie w gardle i wzmagający się brak oddechu nie zwiastowały zbliżania się chwil ostatnich, to je zapowiadał inny straszniejszy, a bardziej nieomylny zwiastun:

Od paru godzin, rychło po odjeździe męża świętobliwego, słychać było w powietrzu gdzieś z dalekich przestworów nieba płynący szum jakby wiatru, to przeciągły, głuchy, jakby przesuwanie się obłoków, a raczej szybujących pod nimi żagli, to znów donośny, urywany, zawieszony w jednym miejscu wysoko ponad linią zenitu, biegnącą od głowy wielbłąda do stropu nieba. Szum ten coraz się wzmagał, stawał się częstszym, bliższym, wyraźniejszym i przechodził w łopotanie skrzydeł, połączone z krakaniem złowieszczem. Od czasu do czasu zalegało głębokie milczenie, przerywane tylko jakby szelestem gałęzi, spadających z drzewa, i szmerem całych rojów chrabąszczy lub chrzęstem grubych warstw szarańczy.

Naraz uczył on w wystającej wardze dolnej ukłucie bolesne jakby szpikulca żelaznego lub mocnego ostrego dzioba ptasiego, a jednocześnie szar-



pniecie gwałtowne chusty, pokrywającej głowę jego i oderwanie jej od rany, do której była przy-schła.

W pierwszej chwili ból niespodziany i oślepiający blask słońca nie pozwalały niczego dojrzeć krom niewyraźnej, czarnej, migocącej przed nim linii. Gdy mu wszakże po kilku, kilkunastu minutach wzrok się rozmętnił i wyjaśnił, — zobaczył wysłannika śmierci w całej jego grozie:

W odległości dziesiątka kroków przed nim całą przestrzeń, równoległą wzdłuż z jego ciałem, a daleko sięgającą z jednej i drugiej strony poza kresy onego, w czyhaniu na gotujący się łup — zaległo niezliczone stado kruków, wyciągnięte w jedną długą, a posępną linię czarną. Jak olbrzymie czoło kolumny żołnierzy, czekających hasła do rzucenia się na wroga, skupionych duchem w sobie, a wzrokiem trzymających go na uwieży, tak one, wyciągnięte w jedną nieprzełamalną, stalowo-czarną linię, połyskującą pod blask słońca, stały nieruchome, niezłomne, ramię przy ramieniu, skrzydło przy skrzydle, ze wzrokiem, skierowanym w punkt jeden — wzrokiem tych oczu zimnych, owadzich, stalowych, co blaskiem samej niemoty, rzucając omen, zdolne były ubezwładnić ofiarę i odjąć jej nadzieję życia.

Zamglily się więc oczy wielbłąda, mrowie przebiegło mu po ciele, a pot śmiertelny, skrapiając czoło jego, sączył się kroplami zimnemi, słonemi,

na język wyschły i odbliźnione rany warg popekanych.

Chwila za chwilą ciągnęły się godziny ciężkie przedzgonne, a ptaki czarne stały wciąż nieruchome w tym samym szyku przedśmiertnym, wyczekując uderzenia ostatniej godziny, nieznuzone trudem, niezmaczone ptactwem przelatującym i ze stanowiska swego niespłoszone przemykającym zdala szakalem czy wilkiem, lub żerującym lisem. Niekiedy sęp, znęcony gotującą się padliną, zataczał kręgi szerokie w wysokich przestworach nieba, zniżał lot swój ku ziemi i, nagłym rzutem spadając, prześlizgiwał się ponad garbem i tułowiem leżącego, jakby kontrolując postęp agonii, lub próbując zawczasu porwać część łupu.

Wówczas ten lub ów z kruków z krakaniem złości, popłochu lub zawiści łopotał skrzydłami, zrywał się i wlatywał nieco ponad linię towarzyszy, a całe stado ze szmerem i chrzęstem posuwało się o krok naprzód ku ofierze, pozwalając flankom swoim oskrzydlać ją z jednej i drugiej strony, przez co zdobyło sobie dalszy teren i zapewniało nową pozycję dla zdobycia łupu. I wówczas też dawano folgę niesforności, łamano nieruchomość linii, a ten i ów, przechylając leb na bok, zaglądał bezczelnie w oczy ofiary nękaney, wpijał się w nią wzrokiem pożądlwym, wiercił i świdrował jej oczy.

. . . . .

A tam zdala, ponad smugą całującego ziemię nieba, płynęła zwolna, spokojnie pieśń życia. Staja za stają, zagon za zagonem, szeroka powierzchnia stepu gubiła stopniowo ton swój żółtawo-bronzowy, pustynny, a lekka szarawa lub dymkowo-mglista przypruszająca ją śniedź, w coraz to dalszych obszarach zcalała się z głębią eteryczną atmosfery, przesiąkała jej tonem przejrzysto-sinawym i wreszcie hen daleko na horyzoncie zlewała się z głębokim tonem nieba w jeden wielki bezbrzeżny ocean lazuru. Przed nim mżyły i drgały eteryczne blaski złotawe zniżającego się słońca, a na niem, na pochyłości mocnego czystego tła jego, zaledwo gdzieniegdzie przedzierzganego plamką lub smugą lekkiego białawego obłoczka, zarysowały się w liniach, coraz to wyrazistszych, kontury krajobrazu życia.

Na lewo przed szaremi ruinami karawanseraju stepowego, wzniesionego ongi ręką dobroczynną Abd-Ullah-Chana, rozsiadła się kępa kilkunastu drzew rozłożystych, odrzynających się od strażnicy, a rzucających cień lekki na płaszczyznę stepową. Na prawo nowa *serdaba*<sup>1)</sup> kamienna i obok niej meczet ze strzelającym w błękity minaretem. Środkiem — pomiędzy niemi — z głębi przestworu, z poza kurhanu, wysuwała się karawana wielbłądów i ciągnęła powoli ku przedniej scenie dra-

---

<sup>1)</sup> Wysoka cysterna kamienna z budynkami przyległemi.



matu boleści, omijając parę rzuconych tam le-  
pianek.

A więc to zwykły *kiszlak*, zwykła wioseczka  
stepowa, jakby zapomniana w martwej pustyni,  
a niedojrzana dotąd poza blaskami słońca i nie-  
mocą bólu!

Od czasu, gdy się odsłonił oczom wielbłąda, mi-  
nęło chwil kilka, a teraz już cały krajobraz z jego  
kurhanem, ruinami, meczetem, chatkami, drzewami  
i karawaną, — tak się odrzynał wyraźnie od tła  
lazuru, że sam tworzył wybitną linię widnokregu,  
zbliżającą się coraz bardziej i występującą nad  
zwierciadłem szerokiego *aryku*<sup>1)</sup> czy jeziora, wy-  
nurzającego się barwą mocniejszą z jednostajnej  
toni powietrza. Toć niebawem już jakby zawisał  
w tem powietrzu, drgając i kołysząc się chwil  
kilka, to znów się zbliżał i przysuwał tak blisko,  
że widać było przeglądające się w gładkiem zwier-  
ciadle wody sylwetki drzew, ruin, murów białych,  
lepianek starych, a przy nich jakby dziecinę, może  
pieszczącą wielbłądko, jak ongi *jego* samego nad  
Zerawszanem — w zaraniu życia. Karawana już  
się odsunęła o staj parę od zagrody i zbliżała się  
ku stepom, ku *niemu*. Widać było poruszanie się  
falowate jej całości i oddzielne postaci każdej czę-  
ści: oto z boku harcuje na oślicy jakiś dziadek  
w turbanie białym, zupełnie podobny do południo-

---

<sup>1)</sup> Kanał kopany.

wego chodzi miłosiernego; przy nim przeciąga tabory kilkunastu wielbłądów i mułów, objuczonych ładunkiem, a poprzedzonych wspaniałym dużym wielbłądem, który z wygiętą w dół szyją i podniesioną naprzód głową kroczy dumnie i majestacyjnie, jak ongi *on* przez ulice Mekki. Na nim w lektyce odsłoniętej siedzi snąć dostojny jakiś *bek* lub *töri*<sup>1)</sup> i wskazuje idącemu obok pieszo *żujczemu*<sup>2)</sup> step daleki: może pyta o majaczące mu zdala bydłę, może o *niego* i czerniejące ptactwo złowrogie... zda się widać barwne szaty jego, zda się słycać nawoływanie mulnika: Ho, a ho, ajda...! Odwracają się... Za chwilę mogą przejść mimo i nie dostrzedz, jak tu się *on* pasuje ze śmiercią, jak para niecierpliwych kruków, znużona czyhaniem bezowocnem, zbliżyła się do samego pyska i, brutalnie zaglądając mu w oczy, urąga..., dziobami swemi celuje w oko...

I szarpnąwszy się konwulsyjnie w całym ciele, mocując się i szamocąc chwilę, ostatecznym rozpaczliwym wysiłkiem dźwignął się, zerwał i powstał na nogi w całej wielkości swej postawy kolosalnej: straszny drgający szkielet olbrzyma, powleczone odpadającą skórą, z oczyma, świecącymi z głębi, ciemnych, zapadłych orbit.

Zerwały się chmurą czarną niezliczonego stada

---

<sup>1)</sup> Książę.

<sup>2)</sup> Wielbłądnik.

ptaki złowrogie, spłoszone tak niespodzianie, wzbily się nieco w górę z krakaniem przeciągłym; potem o stają dalej, z drugiej strony wielbłąda, osiadać zaczęły znów na ziemi, ocierając dzióby swoje o żwir piasku pustyni, jakby je ostrząc gniewnie, ze złością na wymykającą się z ich szponów ofiarę.

A on wyciągnął swą długą szyję przed siebie, zwrócił się ku migocącym kształtom i barwom obrazu i, wodząc lekko głową za nimi, patrzył wzrokiem wyteżonym długo, cierpliwie, natarczywie. Wreszcie pod powiew wiatru lekkiego wciągnął powietrze nozdrzami...

Karawana tymczasem nie zbliżała się, owszem widocznie oddalała, ale nie od *niego*, jeno od ziemi, jakby unosząc się w powietrze w mętnych, zblakłych, coraz to mniej wyraźnych kształtach, które stopniowo traciły swe mocno odrzynające się kontury, a przechodziły w coraz bardziej zblakłe, powiewne sylwetki, blado zarysowujące się w samym przeźroczu świetlanem — już bez jeziora i tła wioskowego; linie rwały się, migotały, blakły, mętniały, ścierały się, a w końcu pod nowym powiewem wiatru zadrgały i — rozwiały się, rozplynęły we mgle zachodzącego słońca *fata morgana*...

Zamglily się i oczy wielbłąda.... zachwiał się, zatoczył jak pijany i z głuchem westchnieniem runął całym ciężarem cielska na łoże śmiertelne, aż ziemia pod nim zadudniała.

Kruki z krakaniem wrzaskliwym obsiadły go



całem stadem, rozpoczynając stypę krwawą na drgającym jeszcze trupie.

. . . . .  
O zapadającym zmroku przeciągała tamtędy karawana syna emirowego.

„Allah — odezwał się towarzyszący mu chodźca — posłał kruka, któremu kazał kopać ziemię i tym sposobem nauczył go grzebania zwłok brata...“

— „Tak, chodź, — przerwał mu książę — ale ty teraz niedowidzasz; tu ze śmierci łagodnego olbrzymia chowają na jutro zapas życia karły złośliwe“.

BABKA TAMERLANA.  
WSPÓŁCZESNA NOWELA BUCHARSKA.

---

„Hei, hej, kattà-inà!<sup>1)</sup>. Nie masz tam w *turbie* ze dwie puły miedziane?... Dawaj prędzej, bom się zgrał w *bidanà*<sup>2)</sup> z chłopcami na ulicy. Czekają teraz pod „Bocianami“: niema czasu, żywo, babko!“

To mówiąc, 14-letni boso, cały kurzem letnim zamurzany chłopak otarł podartym rękawem koszuli czoło spocone i, podchwyciwszy jedną ręką nogę swą lewą chromą, przykucnął raźnie na kolano prawe ku ziemi i wczółgał się pośpiesznie do wnętrza niskiej, zakopcanej budy glinianej przez

---

<sup>1)</sup> Babka.

<sup>2)</sup> Przepiórka. Ptaki te bywają starannie hodowane w Bucharze do sportu bojowego. Chłopcy i nieraz ludzie dorośli wynoszą je w zanadru na ulicę i wypuszczają do walki; przytem odbywa się dość namiętna gra na samorodnym totali-

otwór wężki, który jej służył zarazem za drzwi i okno.

W kącie budy, na ubitej gliną ziemi, przykrytej brudną plecionką ryżową, siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami kobieta stara, cała pochłonięta pieśnią i szyciem. Pieśń, ciągnięta ochryplym ze znużenia, wysokim dyszkantem, głosiła od dwu przeszło godzin czyny bohaterskie króla Turanów, Afrosyaba, który, gotując się do walki z królem Iranu — Chosru <sup>1)</sup>, siedział sobie na 50-ciołokciowej wysokości muru pałacu swego i płukał nogi swe olbrzymie w potoku samarkandzkim, Siabie. Im dłużej ta kąpiel heroiczna trwała, tembardziej ciekawa jej widoku Sartka <sup>2)</sup> chybiać musiała grubych ściągów łataniny swojej, którą — pozał się Allahu miłosierny! — okrutnie marnowała ta kobiecina. A tak, bo nawet w tej dziadowskiej budzie trzeba było mieć chyba ślepie szakala, aby rozejrzeć się w tak misternej tkaninie, jaką Sartka latała.

Słońce już się zniżało ku meczetowi Hakim-kusz-beg-i, kłaść się już miało za godzinę na święte mury baha-eddyńskiego klasztoru, a jeden z jego promieni przedarł się poprzez konary i liście drzewa orzechowego nad samą bramą klasztorną i jął za-

---

<sup>1)</sup> Cyrus, król perski.

<sup>2)</sup> Sartowie, mieszkańcy miast bucharskich i wogóle Azji środkowej, pochodzenia irańskiego — sturanizowani.



głądać ciekawie do wnętrza lepianki. Przy świetle jego łaćno byloby może ujrzeć na kolanach żebraczki jedwabny w blaski szkarłatne żupanik chłopięcy i niezdarne łąty na nim i opadające z ramion kobiety strzępy tęćzowego niegdyś kaftana i rozjaśnione pieśnią o złotolitych szatach rycerzy walecznych Afrosyabowych fałdy starej twarzy wychudłej i zacienione węęłem rzęsy — jako pozostałość wdzięcznej z młodości toalety niewieściej — i Bóg wie, czegoby tam jeszcze dojrzeć było można, gdyby kuternoga nagleń wciśnięciem się w otwór budy nie spowodował w niej całkowitego zaćmienia.

Była to chwila, kiedy okrutny Chosru, pojmwszy Afrosyaba podstępem i nie otrzymawszy od niego skarbów pradziada Feryduna, sam zasiadł na murach pałacowych Samarkandy i kazał smagać Afrosyaba.

„Ja-Āli! Oj-boj!” — krzyknęła przestraszona Sartka i kurczowym odruchem ręki lewej przycisnęła do kolan jeden swój skarb — żupanik, a prawą sięgnęła w zanadrze dla zabezpieczenia też drugiego — paru miedziaków, uźebranych rano z wielkim trudem od jakiegoś pielgrzyma poboźnego a skąpego.

Kuternoga wszakże z szybkością pantery rzucił się ku niej i jał palcami szorstkimi łaskotać żebra babki w poszukiwaniach za *pułami*.

„Ja-Āli, ja-Āli!” — lamentowała żebraczka

w niebogłosy. — A cóż się zostanie dla mego nie-  
szczęśliwego królewicza?...“ — i zgiąwszy się ku ko-  
lanom, a opasawszy na krzyż rękoma wyschle swe  
piersi i łono, broniła groszaków miedzianych, jakby  
ostatniego skarbu życia.

— „A jam to nie królewicz?! — sapał napast-  
nik, borykając się z babką. — Mnie to już nic nie  
potrzeba, he?... Dawaj, babko, żywo, bo jak ci mi-  
łym święty Baha-Eddyn, to zaraz zawołam Kasymka  
do pomocy: on ci inaczej połaskoće żebra, wiesz!“

Na tę groźbę zęby babine zadzwoniły, jak w zim-  
nicy, ciało zadygotało, a po chwili ręce bezwła-  
dnie rozsunęły się na kolana.

Chłopak skwapliwie pochwycił wypadające z za-  
nadrza obie *puły* miedziane i susem ropuchy wy-  
skoczył z budy do świecącej przed nią kałuży błota  
*arykowego*<sup>1)</sup>). Tam zatrzepotał, obryzgał się i ochło-  
dzony skrył się ostrożnie za lepianką, jakby cza-  
tując na kogo.

Niebawem wyczołgała się też na czworakach  
żebraczka, przy pomocy kostura stanęła na nogi,  
zarzuciła na siebie siną perkalową *parandzę*<sup>2)</sup>) długą  
i napróżno usiłowała przejrzeć się w lustrze zbeł-  
tanej przez wnuka kałuży. Przed tak niedogodnem  
zwierciadłem wyjęła z kieszeni szmatę, a z niej

---

<sup>1)</sup> kanałowego.

<sup>2)</sup> Parandża albo ferendża — długie bez rękawów wierzch-  
nie okrycie.

kilka zwilżonych liści *usmy*<sup>1)</sup>, którymi mocno pocierać zaczęła brwi swoje, łącząc je razem jedną linią wilgotną. Po paru minutach operacyi tej toaletowej długa pod czołem smuga brudno-zielonawa przechodzić zaczęła w barwę ciemno-szafirową; zanim się stanie zupełnie ciemną i zczernieje, wiele zapewne czasu upłynie, no, ale zrobiono to, czego wymagała przyzwoitość toaletowa. A choć stanowisko przeszło pięćdziesięcioletniej kobiety jako żebraczki zwalniało od obowiązku zakrywania twarzy, zakryła ją *czymetem* z włosienia końskiego, bo poco ludzie mają wiedzieć, że Bibi-chanym, wdowa i teściowa *beka*, a babka może pierwszego w przyszłości dostojnika emirowego, ucieka się nieraz do miłosierdzia ludzkiego? Wszakże teraz nie idzie żebracć, jeno z wizytą, z pokłonem, z salam'em do tej pięknej Szyrin-Aki.

„T', t', — cmoknęła Bibi — piękna bo piękna, niema co mówić! I sam wielki król Afrosyab nie pogardziłby nią w haremie; niedarmo zawróciła głowę temu nieponiowi Durbinowi! Jeszcze czego! Jużbym wolała ją dla mego Dżelal-eddynka, ale i on za młody dla niej. Już, jakem ją przeznaczyła dla ich ojca, tak też będzie, tak widać już sam Allah chciał. Pójdę, złożę jej salam, pokłonię się, powiem jeszcze raz: niech tego kuternogę trzyma na wodzy: on jej jednej tylko się boi, a ja już mu

---

<sup>1)</sup> *Ysatis tinctoria*.



podolać nie mogę: zrujnuje mię do ostatka; a sama niech się przygotuje na wszelki wypadek do wyjazdu: kto wie? może za przyczynieniem się i modłami świątobliwych naszych zakonników ulituje się nademną święty nasz patron Baha-Eddyn — niech się uświęci mogiła jego!...”

— „A ty dokąd, kattà-inà? — przerwał wygłaszany monolog Durbin, wychylając się zza budy, gdzie wszystko słyszał, obserwując babkę; a przyskoczywszy teraz ku niej i, potrząsłszy jej parandzą na piersiach, groził dalej przełkniętej: — Ani mi się waź do Szyryn-Aki! Słyszysz? Ani mi się waź! Wszędzie ci wolno, ale do niej niemożna”.

„Ufff, uff! Jakżeś ty mnie przestraszył!” — mówiła zadyszana Bibi, przechylając głowę na bok i przytrzymując ręką mocno bijące serce. A gdy ochłonęła nieco, sięgnęła do parandzy i, wyjmując stamtąd pułę miedzianą, wsunęła ją w rękę malcowi:

„Tyś zapomniał, Durbinku, trzecią pułę: na, masz, znalazłam ją na ziemi; — a gładząc wnuka po twarzy, dodała z przymileniem: — A dlaczego niemożna, sokoliku mój, do wdówki?”

— „Niemożna i basta, bo ja nie chcę!” — odparł ze stanowczością mały tyran, uderzając się ręką po nodze chromej.

„No, no, nie gniewaj się już, Durbinku! Niemożna, to niemożna, nie pójdę; ja tak tylko od niechcienia mówiłam: co się bo też nie uczepli głowy

kobiety starej! Ja się właściwie wybrałam do świątobliwych zakonników naszych, aby się pomodlić przy grobie świętego Baha-Eddyna — niech się uświęci mogiła jego!“

I to mówiąc, wraz ze swoim nieodstępnym żupanikiem płomiennym pod pachą, przeznaczonym dla jej „królewicza“, raźnie i z żywością podreptała istotnie w kierunku głównego portalu klasztornego, pocieszając się nadzieją, że skoro nie udało się przekupić Durbina nawet prośbą i przymileniem, więc może się uda podstęp: miała iść wpierw na poradę do wdówki, a później z ofiarą i prośbą do zakonników; teraz pójdzie wpierw do klasztoru, a stamtąd, gdy jej zniknie Durbin z oczu, — do wdówki.

. . . . .

Cała droga, po której szła teraz Bibi, wybrukowana kawałkami kamienia polnego, była wzdłuż z jednej i drugiej strony obstawiona wielką ilością takich samych bud lepiankowych, jak ta, z której przed chwilą wypelzła na świat babka z wnukiem: służyły za schronisko dla nędzarzy takich samych jak oni, lub podobnych. Tworzyła ona właściwie przejście między zewnętrzną kamienną zabudowań klasztornych arkadą, dźwigającą na szczycie swoim święte gniazdo bocianów, a wysokim murem białym, opasującym *sanctuarium* pielgrzymek bucharskich — grób Baha-Eddyna i przyległe mu cenniejsze

sze budowie strzegącego go zakonu szejchów naksz-będzkich.

Na lewo od tego pasażu dziadowskiego wznosi się mauzoleum czworokątne o portalu maurytańskim i kopule, zbudowane z cegły nietynkowanej. Tamto spoczywają popioły Damiar-bega (ojca emira Maassuma), owego wszechwładnego *atałyka*<sup>1)</sup>, ostatniego z Asztarchanidów — Abd-ul-ghazi-chana, którego Damiar trzymał w takiej kurateli, że ów kroku zrobić nie mógł bez wiedzy tego major-domo. Niedaleko mauzoleum — nowy gmach *medressy*<sup>2)</sup> imienia tegoż atalyka, protoplasty obecnej dynastii bucharskiej. Wśród mnóstwa grobów cmentarnych, przykrytych najczęściej tylko płytami marmuru szarego, ze szlakami alabastrowymi, widnieje też grobowiec jednego z największych dobroczyńców Azji środkowej — Abd-ullah-chana, który na szlakach pustyni (i stepów), łączących daleki Wschód z Zachodem, powznosiwszy wspaniałe schroniska karawanserajowe, *serdaby*<sup>3)</sup> i *rawaty*<sup>4)</sup>, umożliwił łączność handlową i cywilizacyjną obu ówczesnych części świata i zapewnił utrzymanie wysokiego sto-

---

<sup>1)</sup> (od *ata* ojciec) ojcowski; najwyższy dostojnik bucharski, opiekun, kurator.

<sup>2)</sup> Wyższa szkoła, rodzaj wszechniczy z dominującym działaniem teologicznym.

<sup>3)</sup> Cysterny i zbiorniki na wodę z portalami.

<sup>4)</sup> Olbrzymie gmachy, często wysokiej wartości artystycznej, na pomieszczenie pielgrzymów i karawan handlowych.



pnia kultury krainom tamtejszym. Skromny grobowiec jego tworzy sześcian, około 4 metrów długości i tyłuż wysokości, z kamienia czarnego i marmuru szarego, otoczony balustradą z takiego samego kamienia. Przy cmentarzu, *mazar-i-szerif*<sup>1)</sup>, okalającym ową zagrodę z grobem świętego patrona, oprócz wzmiankowanej już medressy stoi — jak zwykle w takich razach — *chanekah*<sup>2)</sup> z meczetami i rozlega się wspaniały ogród różany — *sajn-i giul-i sdrch*, miejsce ulubionych wycieczek mieszkańców stolicy (odległej tylko o godzinę drogi) i samego *hazret*<sup>3)</sup> emira w czasie kwitnienia róż.

Od strony zachodniej i południowej cmentarz otaczają zabudowania miasteczka, którego mieszkańcy składają się z samych potomków rodu świętego Baha-Eddyna — Nakszbędi, mając przyznany sobie tytuł *chodźów*<sup>4)</sup>. Święty ten żył za czasów Tamerlana i apostołował ustnie. Mimo że umarł w 17-tym roku życia, zdołał założyć istniejący dotąd zakon Nakszbędi<sup>5)</sup> i pozyskać taką cześć, że

---

<sup>1)</sup> Poświęcony.

<sup>2)</sup> Klasztor derwiszów z meczetem przy medressie.

<sup>3)</sup> Jego świątobliwość — tytuł, dawany monarchom mużmańskim.

<sup>4)</sup> Chodża, czyli jak Bucharowie i Arabowie syryjscy wymawiają — chawadże = starzec, pan, profesor. W Bucharze tak przedewszystkiem nazywają się potomkowie chalifów Abu-Bekra i Omara, także i Osmana i Alego, ale nie od córek Mahometa, jeno od innych żon.

<sup>5)</sup> Powstał ze szkoły mistycznej perskiej Tajfurów z IX. w.

dwukrotna pielgrzymka do grobu jego równo znaczy z jedną obowiązkową w życiu każdego muzułmanina pielgrzymką do Mekki. Toż wędrówki do grobu tego skierowują się z całej Azyi środkowej, a zwłaszcza z Buchary, której Baha-Eddyn jest szczególnym patronem. Oprócz dowolnych dwu głównych pielgrzymek — co środy, piątku i w każde święto dąży tu chętnie ludność stolicy pobliskiej, łącząc przyjemność wycieczki z celami pobożnymi.

W sposób rozmaity składane bywają ofiary pobożne przez krocie ludu pielgrzymującego: bądź przy dotykaniu u wezglowi grobu kamienia świętego — *süng-i-mütrađ*, bądź przy picciu wody z obok położonej studni świętej, bądź w obolach, składanych wprost na talerze ofiarne mnichów, bądź wreszcie przy zakupnie zakątka ziemi cmentarnej, gdzie niejeden bogobojny muzułmanin spocząć pragnie na wieki. Wreszcie sam *hazret* emir, ilekroć jedzie gościńcem karszyńskim, uważa za swój obowiązek święty odwiedzenie grobu świętego i odbycie przed nim modłów, połączonych oczywiście z sowitą ofiarą.

Z tych wielorakich źródeł płynące dość znaczne dochody należą właściwie do gminy nakszbedzkiej, składającej się — jak powiedziano — wyłącznie z potomków rodu Nakszbedów. Ci wszakże chodźowie zlewają prawo swojego poboru — za ryczałtową sumę roczną 11.000 tengów — na 32 szejchów, przedstawicieli swoich, tworzących star-

szyznę ich rodu; z wyboru szejchów codziennie po kolei siedmiu mężów odbywa straż przy grobie i odbiera ofiary składane, a wszelką nadwyżkę, jeśli tylko nie idzie na ich własne potrzeby, obowiązani są łożyć na utrzymanie grobowca świętego wraz z całą zagrodą, meczetami, medressą, cmentarzem i t. d., słowem, na różne cele religijne, kulturalne, filantropijno-humanitarne.

Do takich celów należy też ofiara jałmużnicza ze strony szejchów, znajdująca swój wyraz w utrzymaniu pewnej ilości żebraków płci obojej, którym dają strawne, oraz wzmiankowane powyżej budy lepiankowe na pomieszkanie.

.....

Słońce już się chyliło ku zachodowi, gdy Bibi stanęła przed murem białym, otaczającym zagrodę grobowcową. Wytchnąwszy pod jednym z drzew rosochatych, rosnących wzdłuż ściany, zbliżyła się nieśmiało do olbrzymich, bogato rzeźbionych wrot, wiodących do pośmiertnego przybytku młodziana świętego. Tu kilkakrotnie napróżno usiłowała ująć w rękę ciężką brązową kołatkę, tam zawieszoną, aby nią zapukać o również brązową płytę; za każdym razem ręce jej opadały bezwładnie w trwodze i niepewności, ilekroć spojrzała na sterczące gęsto ponad bramą rogi kozie, jelenie, turze, zawieszone tu w ofierze przez górali bucharskich, jako symbol wielkości i potęgi świętego patrona. Nareszcie po kilku minutach wahania, z sercem



bijącym, przycisnąwszy się do bramy, zamknęła oczy i z pośpiechem trzykrotnie raz po raz zakolatała.

Po chwili skrzypnęły ciężkie wrzeciadze, zwolna rozwarła się do połowy furta i wyjrzała zaturbaniona stara głowa odźwiernego.

„Babka Tamerlana!“ — zawołał piskliwie Dżak-chodża, chwytając się za siwą klinowatą bródkę i pochlipując biegającymi oczkami.

Już miały się napowrót zawrzeć podwoje, gdy żebraczka szybkim ruchem ręki odrzuciła mu na pierś przygotowany od dawna *para, bachszysz*<sup>1)</sup> miedziany.

„Czego ty chcesz, Bibi?“ — zapytał udobruchany nieco Dżak-chodża, podejmując z ziemi monetę.

— „Puść mię, chawadży, na chwilę“.

„Kobieto! ciebie? I o tej porze?“

— „Mam pilną sprawę do ojców świętych, a i jedna dostojna *chanym*<sup>2)</sup> poleciła mi złożyć im ofiarę na pewien cel bogobojny“.

„Hm, hm! cel bogobojny!... Poczekaj zresztą: pójdę się dowiedzieć, czy pozwolą ciebie puścić“.

I zatrzasnął znów furtkę, zostawiając żebraczkę pogrążoną w jeszcze większej niepewności i trwodze wyczekiwania.

---

1) Datek dla zjednanja sobie kogo.

2) Pani.

Alboż nie miała się czego lękać? Znow nieprawdę powiedziała. Sprawę pilną ma, to prawda, ale tej sprawy nie wyjawiała, bo pytanie, czyby ją puszczono przed oblicze świątobliwych chodźów, gdyby ją wyjawiała? Więc zmyślić musiała jakąś rzekomą dostojną chanym. Aj, aj! co tu począć, jeśli się wyda kłamstwo?... Ale nie, ona przecież złoży ofiarę; a sama czyliż nie jest dostojną chanym? Wszakże zieć jej Rachmet był *inakiem*, generałem, doradcą, ministrem, a więc osobą wielce dostojną. Czyż taki zaszczyt nie spada na teściową? Wprawdzie przeszedł on z *katty-törim* <sup>1)</sup> do Afganistanu; ale przecież *katty-töri* — to rodzone dziecko *hazreta* i po najdłuższem życiu emira wstąpi na tron przodków, a wtenczas i Rachmet zostanie jeszcze bardziej dostojnym, najdostojniejszym z dostojnych. No, i teściowa przecież otrzyma jeszcze dostojniejszy tytuł. Wprawdzie biedna moja Dżudżuk umarła — niech spocznie miłosierdzie Allaha nad nią! — ale dzieci pozostały. Cóż babka winna, że Rachmet tak daleko, a grosz był potrzebny na życie, i Dżelal-eddyn wraz z Durbinem zostać musieli *baczami* <sup>2)</sup> tańczącymi i zarabiać na chleb tańcami i śpiewem?!...

A jak oni musieli ładnie śpiewać razem!... Dur-

---

<sup>1)</sup> Książę — syn starszy, domniemany następca tronu, następnie za rokosz przeciw ojcu wydziedziczony przez tegoż.

<sup>2)</sup> *baczè* — z persk. = chłopak, chłopczyk.

bin był wtenczas innym, o, wcale innym, daleko lepszym dzieckiem. Powiadali ludzie, którzy ich słyszeli nieraz śpiewających razem w Bostanie przed licznie zgromadzoną publiką, że nawet starzy *ak-sakałowie*<sup>1)</sup> i bekowie obsypywali ich różami i srebrem... I nie dziwno: gdy bywało w domu próbowali przedemną:

Usta twoje dla uśmiechów  
I pocałunków stworzył Bóg...

jakże jej się żywo przypominały czasy jej własnej młodości! Allahu, Allahu dobrotliwy!...

I żebraczka odchyliwszy zasłonę włosienicową, otarła rękawem oczy, może dlatego, że jej się smuga od farby zanadto poczęła wżerać.

— Albo ta druga, którą Durbin sam śpiewał!

Tu Bibi, zachęcona powodzeniem pierwszego madrygału, który prześpiewała *mezza voce*, podniosła głos o skalę wyżej i jęła śpiewać następującą romancę:

Róży kochanku, słowiku piej,  
Biul-biul!<sup>2)</sup>  
Potok swej pieśni na świat mój lej,  
Biul-biul!  
Głosem donośnym szalonych burz —  
Biul-biul!

---

<sup>1)</sup> ak-sakał — biało-brody, starszyzna.

<sup>2)</sup> biul-biul — słowik, wym. b'ul.



Serca mojego tęsknotę głusz!  
Biul-biul!  
Dalej, rozgłośniej, namiętniej piej,  
Biul-biul!  
Żarem kochanka mojego grzej!  
Biul-biul!  
Godny twej róży zgotujesz plon,  
Biul-biul!  
Nie wędłab' róża, gdyby nie ty,  
Biul-biul!  
Nie sechłby człowiek, gdyby nie ły.  
Biul-biul!

I co mu się teraz stało, temu Durbinowi, sama nie wiem. Od czasu, jak mu ten przeklęty *reszta* <sup>1)</sup> wlaźł w nogę i jak mu się ona skrzywiła po niefortunnej śnać operacji *czacz-tarasza* <sup>2)</sup>, zupełnie innym stał się chłopcem, istnym oczajduszą; a że został *aksakiem* <sup>3)</sup>, czyli — jak inni powiadają — *lengiem*, co ma zawsze wychodzić na jedno, zawsze na kuternogę, tak też i przezwali *Temir-lengiem* <sup>4)</sup>. Powiadają, że bardzo dawno, bodaj czy nie za czasów króla Afrosyaba, a może i wcześniej — abo ja wiem! — żył pewien wielki hazret, też był

---

<sup>1)</sup> Robak podskórny — wielce rozpowszechniona choroba w Bucharze.

<sup>2)</sup> Cyrulika.

<sup>3)</sup> aksak l. leng = kulawy, chromy.

<sup>4)</sup> Temir = żelazo; stąd słynnego zdobywcę świata, ponieważ był chromym, przezwano Temir-lengiem, Timur-lengiem — w spolszczeniu Tamerlanem.

temirem, a że również chromał, więc przezwali go *Timur-lengiem*. A teraz mnie się dostała nazwa „babki *Temir-lenga*“...

„Ależ, Allahu miłosierny! Czemu ten chodzą tak długo nie otwiera?!“

I przyłożywszy ucho do szpary, jęła Bibi nasłuchiwać, azali nie płynie szmer z głębi dworu świętego, zwiastujący przybycie Dżak-chodży; poczem nieśmiało i lekko uderzyła dwa razy kołatką.

Żadnej odpowiedzi.

„Muzyki tu jemu trzeba, czy co, żeby posłyszal!... Bo ja wiem! Oj muzyki, muzyki. Gdyby mu tak *dangaraczowie* zabębnil, albo *nagmaczowie* zagrali, jak bywało chłopcom moim, o! tożby biegł tu raźnie i tańczył... Alboż źle tańczyli? Boże jedyny, lepszych chyba tancerzy nie było w całym Bostanie! <sup>1)</sup> Jak oni, bywało, szli gęsiego w takt jeden za drugim, później cofali się, kłaniali wdzięcznie rękoma!... Nie, nie tak: najpierw Dżelal-eddyn wziął ten żupanik na siebie...

To mówiąc, Bibi wyjęła z pod pachy nieodłączny od niej żupanik płomienny, a trzymając go za rękawy rozpostarte i unosząc zdala przed sobą, zataczała koło w takt piosnki nuconej. Śnać jednak albo ta plastyka jej nie zadowalała, albo po-

<sup>1)</sup> Miasta bucharskie utrzymują trupy tancerzy i śpiewaków, rekrutujących się z małych chłopców. Najśłynniejsza tego rodzaju balet-opera jest w miasteczku Bostanie, odległym od stolicy bucharskiej około 45 kilometrów.

trzebną się okazała zmiana tańca, zrzuciła parandzę, zatknęła kostur w szalwary, rozpięła na nim żupanik i z tymi przyborami dekoracyjnymi rozpoczęła powolne, rytmiczne zataczanie koła, odrzucając nieco w tył i na obie strony głowę, a lekko zginając kolana. Ręce jej to uderzały dłonią w dłoń takt, to posuwiście prawa i lewa kolejno przecinały z powagą powietrze, jakby giestykułując rozkazującą. Kilka razy zmieniała w ten sposób kierunek poruszeń swych rytmicznych w kole, cofała się wstecz na prawo i na lewo, to znów wysuwała się w obu kierunkach naprzód, znów się cofała i znów kroczyła posuwiście naprzód, poruszając przytem ramionami i kibicią, tudzież przyspiewując:

Baj, baj — baj, baj, baj... baj, baj — baj, baj, baj!

Takt przechodził w *vivace*, a ruch tancerki stawał się coraz wyrazistszym, energiczniejszym, szybszym, aż w końcu przeszedł w *furioso* — i Bibi poczęła wirować na jednym miejscu, jak derwisz kręcący się...

— Co ty tu za *czymiryki*<sup>1)</sup> wyprawiasz, stara *palwunjo*?<sup>2)</sup> Kogo to myślisz czarować, ha? — przerwał jej nagłym okrzykiem jakiś chodźa baha-ed-dyński, który pośpieszał z miasteczka, może w interesie gminy, do septemwirów grobu świętego.

---

<sup>1)</sup> skoki wilcze.

<sup>2)</sup> wróżbitka, czarownica.



Bibi, czy przestraszona tym okrzykiem, czy w wirze szalonym potknąwszy się o kamień, straciła równowagę, i jak długa runęła na ziemię, nie słysząc i nie widząc nawet, jak przechodzień, zapukawszy w bramę, która się przed nim rychło rozwarła, znikł w wnętrzu zagrody świętej.

\* \* \*

Na przeciwnym końcu pasażu dziadowskiego, tuż prawie przy samej arkadzie z gniazdem bocianiem przy drugiej z rzędu budzie lepiankowej, na kilimku dość wytwornym siedziała kobieta młoda, z podwinętymi pod siebie nogami i z bursztynowym w rękę różańcem, którego ziarna nie dbale przesuwiała paluszkami ręki prawej. Zdobne kilku pierścionkami złotymi paluszki te cienkie, przejrzyste, wypieszczone, miały paznokcie migdałowe, malutkie, ubarwione podług wymagań mody henną tak, że barwa ich żółtawa tam, gdzie ginął lekkoróżowawy jej odcień, zlewała się prawie z barwą ziarenek bursztynowych. Narzucona na ramiona koloru opalowego parandża jedwabna rozchyłała się lekko na przodzie i odsłaniała szyję białą, która walczyła o lepsze ze zdobiącą ją *mar-dżaną*<sup>1)</sup> perel aż do torsu, osłoniętego materyą

---

<sup>1)</sup> właściwie *korale*; w tem jednak powyższem znaczeniu użyte jako naszyjnik.

szkarłatną. Czarne bujne włosy, splecione z tyłu w pięć drobnych warkoczyków, zdobnych wstążkami i *tumarami* <sup>1)</sup>, miały mocno odcinający się przedział z przodu i, obramiając białe, matowe, niskie czoło, kończyły się dwoma półksiężycowymi u skroni zwojami, które łagodziły kontury trochę za szerokiej a nikłej twarzy matowej, zlekka okraszzonej różem *syliku* <sup>2)</sup>, i nadawały jej wyraz kokieteryi albo figlarności, mimo że wielkie czarne oczy, podrysowane u rzęs czarną sur'mą, i dolne wargi odęte zdradzały pewnego rodzaju znużenie czy zniechęcenie.

Takież samo uczucie ujawniały powolne, nie dbałe poruszenia palców, przesuwających ziarnka bursztynowe. Dwa z nich, obok siebie nanizane w jednym miejscu na sznurek jedwabny, były nadszczerbione w trzeciej części swej wielkości. Ile razy więc w przesuwaniu się pod palcami kobiety przyszła kolej na nie, palce wzdragały się przed przesunięciem onych, jakby w obawie zadrażnienia; a nie mając pomocy w ręce lewej, bezwładnie opuszczonej na kolano, cofały różaniec wstecz, ziarnko za ziarnkiem.

Na ziemi, obok, stała miseczka drewniana dla jałmużny. Szyryn-Aka-chanym, czyli jak ją przez skrócenie nazywano — *Szyryn-chanym*, była bowiem

---

<sup>1)</sup> amulety.

<sup>2)</sup> Róż, używany przez kobiety perskie i bucharskie.

żebraczką, jak wszystkie inne dziady w pasażu, jeno nie zawodową, lecz przygodną i czasową. Po paru latach małżeństwa, owdowiawszy w całym rozkwicie swej krasy, a nie życząc sobie iść na służbę lub do haremu jako prosta *odaliska*<sup>1)</sup>, lecz pragnąc wyjść za mąż przyzwoicie, wybrała uotrowaną zwyczajem drogę małżeńskiej kandydatury publicznej, osłoniętej pozorami miłosierdzia jałmużniczego. Jak wszystkim innym żebraczkom zawodowym, tak i tym, przybierającym ich rolę, zakon pozwala pokazywać się, chodzić i siadywać w miejscach publicznych — z twarzą odsłoniętą, co wybornie ułatwia mężczyznom korzystanie z takiej kandydatury małżeńskiej. Niemniej korzystne zajmuje w tym razie stanowisko sama kobieta, może nawet korzystniejsze od męskiego, a nieraz wygodniejsze od stanowiska siostrzyc jej europejskich. Żaden bowiem bal, raut, ani stosunki towarzyskie nie przesuną przed okiem kobiety tylu kandydatów, ilu się przewinie przed okiem takiej skromnie siedzącej, uprzywilejowanej żebraczki. A ileż sposobów poznania mężczyzny — od rozmowy z nim i zachowania się na zewnątrz aż do badań i indagacyi opłacanych, a dostarczanych przez agentów odpowiednich!

---

<sup>1)</sup> Oda z tur. = izba, pokój; stąd odaliska właściwie jest pokojówka w usługach żon i wogóle pań haremowych; doznawszy wszakże względów pana haremu, uważaną bywa za towarzyszkę, prawie za hałajkę.



Szyryn-chanym już od roku korzystała z tych przywilejów. Najpierw siadywała w bazarze stołecznym, ale po kilku miesiącach przekonała się, że to arena za szczupła dla niej; po paromiesięcznej więc pauzie w domu przeniosła się do Baha-Eddynu, gdzie się zbierają pielgrzymki z różnych stron państwa bucharskiego, z całej nawet niemal Azji środkowej, więc jest w czem wybierać. Toteż z prawa tego wyboru korzystała z całą swobodą i wybierała pełną garścią. W bazarze odrzuciła trzech kandydatów, którzy zgłaszali się o jej rękę, a tu — już dwu w oczekiwaniu trzeciego. Mieszkała stale w Bucharze i codzień rano przejeżdżała do Baha-Eddynu; tu siadywała nieraz przez dzień cały przy drugiej od bramy budce, zajmowanej przez stałą klientkę zakonu nakszbedzkiego — starą i ślepą na jedno oko Maryam, pod której osłoną odbywały się Szyrynowe<sup>1)</sup> rekolekcyje wdowieńskie. Przed zachodem słońca odjeżdżała wdówka napowrót do stolicy, albo nocowała u znajomej swojej — pewnej starej wdowy, która mieszkała w miasteczku.

Dnia tego, ponieważ był wtorek i mało spodziewano się pielgrzymów, dziady i żebraczki — z wyjątkiem kilku — porozchodzili się po miasteczku, lub siedzieli w budach, a Szyryn-chanym zjawiła się dopiero po południu, kiedy upał dzienny zwolnił nieco. Od tej pory przesunęli się zaledwie

---

<sup>1)</sup> Szyryn — z persk. = słodki, stąd imię własne.

dwaj, trzech pielgrzymi starzy, na których widok spuszczała skromnie oczy na dół, zaciskała parandzę pod sam podbródek i, chowając różaniec, przysuwała bliżej miseczkę drewnianą; miedziaki, rzucając do miseczki przez pielgrzymów, po ich oddaleniu się ku portalowi klasztornemu, zsyłała do drugiej, dalszej miseczki — w darze jednookiej klientce, otrzymując od niej w zamian jednaka zawsze stereotypową odpowiedź:

„*Rahmat syzga*, bardzo dziękuję! Jakaś ty dobra, chany! Allah niech ci będzie wdzięcznym!“

I znów cisza i spokój zapanowały przy lepiankach, przerywane tylko dwukrotnym pojawieniem się Durbina, który raz w poprzek, drugi raz wzdłuż pasażu, przemykał z nieodłączną w rękę pałeczką łokciową, okutą z jednego końca mosiądzem, a będącą postrachem wszystkich nieprzyjaciół kuter-nogi. Za pierwszym razem zatrzymał się o kroków kilka od Szyryn-Aki i, podparwszy pałeczką podbródek, stał przed kobietą długo, wpatrzony jak w tęczę, a gdy ona spojrzała nań z uśmiechem pobłażliwym, splonął rumieńcem wstydliwie i spuścił oczy na dół. Gdy przechodził powtórnie, zdawało się, że się ponownie zatrzyma; ale machnąwszy ręką, posunął się zwolna naprzód, aż go doleciał dźwięk głosu chany, która spostrzegłszy zdała woziwodę, niosącego wodę ze świętej studni klasztornej, odezwała się do jednookiej żebraczki:

„Jeszcze gorąco; gdybym wiedziała, że nie odmówi, tobym poprosiła o wodę“.

Durbin w paru susach już był przy woziwodzie z ręką, wyciągniętą po stągiew i czarękę.

— „Idź-że, idź! To przecież nie dla takich jak ty drągałów woda, lecz na wypadek choroby“ — wzdragał się woziwoda, cofając stągiew poza siebie.

Durbin żyłastą ręką ścisnął go powyżej pięści jak kleszczami żelaznymi, że ten aż syknął z bólu i wypuścił stągiew, która, w lot pochwycona, już wnet była do rozporządzenia Szyryn-Aki.

„Durbinie!“ — szepnęła wdowa na poły z wyrzutem, na poły dziękczynnie.

W tej chwili pośpiesznie wracał z klasztoru ów chodża, który był przestraszył wirującą Bibi.

— „Jak śmiesz dawać temu *lengowi* wody święconej? Czyż to dla takich jak on synów zgorzałego ojca?“<sup>1)</sup> — napadł chodża na woziwodę, gestykulując groźnie rękoma.

„Ależ wydarł mi gwałtem z rąk!“ — submitował się woziwoda.

— „No, ja was pogodzę!“ — odezwał się Durbin, odnosząc stągiew i stawiając ją na ziemi, między obu mówiącymi. — „Jeden z was chce być chorym, drugi świętym; pomieniajcie się więc życzeniami za łaską miłosiernego Allaha i moją!“

I z temi słowy czarękę z wodą, której sam nie

---

<sup>1)</sup> Z perskiego *peder suchtê*.



dopił, nacisnął ręką lewą na głowę woziwody, aż się mu rozlały strumienie po twarzy, a prawie jednocześnie sztorcem paleczki swojej, mocno w prawą pięść ujętej, dźgnął chodzę pod brodę, aż mu oczy krwią nabiegły i zatoczył się jak pijany ku ziemi, krzyząc i oburącz chwytając się za twarz.

Założywszy rękę z paleczką poza siebie, przy lekkim utykaniu, oddalił się Durbin zwolna i spokojnie ku portalowi klasztornemu, nie troszcząc się wcale o zamęt i gwar poza sobą.

Obie niewiasty zerwały się z miejsc swoich, a chodzą z woziwodą pomknęli na oślep ku wrotom bocianim — niewiadomo: z przestachu, czy na skargę, ale tak zaciętrzewieni, że się zderzyli lbami z kompanią pielgrzymów afgańskich, która wchodziła właśnie w pasaż ze strony przeciwniejszej.

Na ich widok obie kobiety przysiadły znów ku ziemi i zaczęły poprawiać toaletę swoją, a kilka dziadów i bab, znęconych szmerem, jęło wypelzywać z bud bliższych lub dalszych i wyzierać badawczo, węsząc nową sposobność dla siebie.

Grupa pielgrzymów składała się z kilku Afganów, poza którymi postępowało tyluż stepowców turkmeńskich, uzbrojonych co prawda, nie gorzej od tamtych, ale baranicami swemi i zasmoloną, podartą odzieżą dziwnie odbijających od bogatych szat jedwabnych i zawojów kaszmirskich każdego z Afganów.

Z grupy tych ostatnich wyłączył się jeden i, gdy

inni zajęci byli rozdawaniem jałmużny śpieszącym na ich spotkanie żebrakom, zbliżył się do budy, przed którą siedziała z oczyma spuszczone mi Szyryn-chanym, zdjął z oczu szerokie błękitne szkła indyjskie, spojrzal na nią badawczo i, pokłoniwszy się, pozdrowił czystem narzeczem dżagatajskiem a w gwarze bucharskiej, niekiedy z arabska lekko okraszonej perszczyzną.

Otrzymawszy taką samą odpowiedź, rozpoczął rozmowę od pytania, rzuconego z uśmiechem trochę niedbalem:

„Dlaczego, chanym, nie pozwalasz spocząć do-  
tąd promieniom gwiazd twoich na szczęśliwcu, któ-  
regoby wybrało serce twoje?“

— „Czeka ono trwożnie wyboru“.

Był to mężczyzna rosły, czterdziestokilkoletni, z wykrojonemi wązko ustami, na których wiła się zaciętość lub stanowczość, oslaniana niekiedy uśmiechem przelotnym. Brodę miał podług mody perskiej ubarwioną na kolor złotawy, a twarz blada i gorączkowo świecące oczy może nie okazywały wstrętu do opium lub namiętności. Ruchy miał wdzięczne i mówił głosem przytłumionym, zwracając lekko oczyma, jak ludzie, wychowani w zwyczajach perskich. Ujrawszy w przebieranym przez wdowę różańcu dwa ziarna złamane, sięgnął po torebkę jedwabną w zanadrze i, wydobywszy stamtąd dwa ułamki bursztynowe, złożył je na kolanach niewieścich.

„Pozwól, chany, niech część idzie do całości!“

Ułamki przylegały w zupełności do ziarenek wyszczerbionych i widocznie tworzyły z nimi niegdyś jedną całość.

— „Ah!“ — zawołała Szyryn-chany, zachnąwszy się na miejscu, i objęła Afgana lęklwym, ale badawczym wzrokiem, mierząc go od stóp do głowy.

„Czy derwisz dawno ci wręczył, chany, ten różaniec?“

— „Przed pół rokiem“.

„Czy przyjęłaś pierścioneł od niego?“ — pytał dalej Afgan.

Szyryn-Aka zamiast odpowiedzi, pod pytającym wejrzeniem szarych, badawczych oczu pytającego, oblała się rumieńcem i wzrok swój skierowała na własne palce.

„Czy chcesz go zatrzymać na zawsze?“

— „Jestem niewolnicą twoją“.

Po chwili rozmowy Afgan odezwał się:

„Jutro przed południem jeszcze raz tu będą pielgrzymi nasi, a pojutrze o wschodzie słońca karawana nasza wyrusza napowrót przez wrota mazarckie. Czy zechcesz być gotową?“

— „Rzekleś“.

„Niech Allah dobrotliwy czuwa nad tobą!“.

Temi słowy pożegnał ją, śpiesząc połączyć się



z resztą pielgrzymów, którzy posuwali się z wolna ku portalowi klasztornemu.

\* \* \*

Bibi tymczasem, ochłoniwszy ze wstrząśnienia i przestachu, jakiego doznała w upadku, jęła wyrzekać na los swój, który jej zawsze niespodzianie kogoś złego w drogę pośle, jak ot tego chodzę, albo nie przymierzając owego okrutnego *toksabę* — Mullę-Szeryfa. Potrzebaż mu było, takiemu staremu z brodą białą i wąsami czerwonymi rozmilowywać się w moim Dżelal-eddynku? Wiedział przecie, że chłopak był uczciwy i nie dalby się skusić do grzechu. Pocóż było upierać się? Dostał za swoje: dobre oplwanie oczu starych przez chłopca! Ale czyż za to tak się mścić okrutnie i zmyślać, że Dżelal-eddyn dostał trądu i porwać go do *mahally Peś*<sup>1)</sup>. Allahu miłosierny! Skądże on mógł być *macho*, skąd u niego *peś*, skoro w domu i rodzice naszym zawsze było czysto, a od trędowatych tak daleko?

---

<sup>1)</sup> „Dzielnica trędowatych“ — jako osobna część miasta Buchary, zamieszkiwana wyłącznie tylko przez chorych, dotkniętych tą chorobą straszną. Nad tą dzielnicą śmiało wywiesić można napis dantejski: „per me si va tra la perduta gente“. Kto raz tam się dostał, już nie wyjdzie stamtąd na świat boży. Mieszkańcom jej nie wolno mieć żadnych stosunków z innymi ludźmi, żyją tylko wyłącznie w swojej sferze: tam się żenią, mnożą się i umierają; tam mają swoje urzędy, własne me-

Że pokazała się wysypka na ciele, toć to przecież zwykle u dzieci. A może bezbożnik sam zatrul chłopca jadem, przyniesionym z mahally trędowatych?...

— Teraz, zapewne, żyjąc z trędowatymi, mogło się dziecko naprawdę zarazić. A jak biedactwo płakało, przeczuwając swoje nieszczęście! jak się wyrywało z objęć tych drabów, jak wyciągało rączęta do mnie z krzykiem: babko, nie opuszczaj mnie, wyzwól z tego piekła!

— Zapewne, mój skarbie, pociecho moja, zapewne nie porzucę, jeno zbiorę jeszcze trochę grosza i odjedziemy do ojca, do Afganistanu, bo i mnie już pora odpocząć, a tu tak się poniewieram po żebracze z tym chłopcem... wszyscy pojedziemy...

— ...Mówią ludzie, że to już na nic, że to człowiek stracony, że mu już nos gnije i skóra na ciele pęka. Nieprawda, to być nie może. A po co mnie *tabib* <sup>1)</sup> zapewniał inaczej? Mówił przecie, abym jeno zebrała 100 *teńg* <sup>2)</sup> i złożyła mu na

---

czety i własnych kapłanów, również trędowatych. Okryci strupami, lub z gnijącymi członkami ciała żyć mogą ci nieszczęśliwi niekiedy dość długo, a tak są dbali o rozmnażanie się swoje, że gdy się dowiedzą o człowieku, który uległ tej chorobie, a ukrywa się w dzielnicach zdrowych miasta, upominają się o niego u władz, jak o swój haracz, o swoją przynależność.

<sup>1)</sup> Lekarz.

<sup>2)</sup> Teńga, moneta srebrna, wartości około 1 franka = 35—60 miedzianych puł.

ręce, to on już z pewnością wykupi Dželal-eddynka z mahally Peś i uzdrowi. Sto teńg! Mój Boże, czemuż jej wpierv tego nie powiedział, kiedy była chałupa swoja i dobytek jaki taki? A teraz, kiedy to się wszystko spaliło przez niedozór w tej zawierusze przy porywaniu chłopca, teraz, kiedy musiała tu przyjść na żebry, to nie tak łatwo. Wszak nawet, aby się i tu dostać, ile trzeba było prósb, kłopotów, zabiegów, ile protekcyi i pół roku czekania, aż się miejsce opróżniło po jakimś zmarłym dziadu!... No, więc idzie jak po grudzie... Ale przecieź byłoby się już dotychczas zebrało, gdyby nie Durbin, ten chłopak niegodziwy. Wszakże za łaską świętego Baha-Eddyna — niech się uświęci mogiła jego! — zebrała była grosz po groszu w pierwszym półroczu 40 teńg i tak je ułożyła porządnie we dwa woreczki, każdy po 20 teńg, tak je bezpiecznie zakopała w ziemi przy budzie, iż — zda wało się — mysz nawet nie zwęszy, a przecieź zwęszyl i wy dobył...

...I co ten hultaj robi z tymi pieniędzmi? Wciaż mu za mało, wciaż dawaj i dawaj! Ledwo tamte zabrał, jeszcze głowa była nie przebolala straty tak ciężkiej, ledwo od tych Chiwańców kapnęło kilka miedziaków, a już wpada niespodzianie i groźnie, jakby jaki kłusownik turkmeński i po swojemu zaczyna dusić a naciskać swojemi palczyskami szorstkiemi: — Dawaj i dawaj, kattà-inà — powiada — bo wszystko jedno: zgubisz przy słabej głowie nie-



wieściej, albo inni odbiorą! — aż się ulitował ten białowłosy mały Kasymek i, kiedy Durbin nasiadł na nią, on mu czempredziej z tyłu zarzuca arkan, lowi obie ręce i, uczepiwszy o zdrową nogę, dawajże go odciągając od niej, a wlec, a targać, a tarmosić: widocznie żal mu było, że tak wiele pieniędzy wciąż się jeno dostaje Durbinowi, a nie jemu. I nie inaczej, pewno, pewno tak myśleć musiał, a na to znów ona pozwolić nie mogła, bo jakże mogą pieniądze, krwawo wyżebrane, w obce ręce przechodzić? Więc wydobywszy się z pod Durbina, jak nie siądzie na Kasymka, jak nie zacznie okładać go pałeczką Durbinkową po piętach, a odciągając za włosy, a przecinać kozikiem arkan; a znów Durbinek, swobodniejszy, jak się nie odwróci, jak nie wsiądzie na przyjaciela, no miałże za swoje, miał!... Od tej pory chłopak mściwy zapomnieć jej tego nie może i już parę razy, pędząc jak szejtanem opętany, obalił ją z nóg i wydarł pieniądze; a jeszcze grozi gorszem...

„Ufff! Straszny to chłopak, z tą czupryną białą, nastroszoną, taki zacięty a mściwy, uff!...”

I Bibi rękoma, dygocącemi na wspomnienie strachu, poruszywszy kołatkę od bramy, nie mogła nawet głowy dobrze przyłożyć do szpary, aby zajrzeć, co się dzieje we wnętrzu podwórza: tak jej dygotała; cofnęła się tedy i usiadła niedaleko od bramy, pod murem, podwinawszy nogi pod siebie.

I znów trzeba było na nowo żebrać, zbierać

grosz po groszu, aż oto przez cały rok, dzięki świętemu Baha-Eddynowi — niech się uświęci mogiła jego! — zebrało się 80 teńg. Ale bo też wszystkiego sobie odmawiała i nieraz dobrze głodem przymierała, a nie ruszy; szalwary i parandza całkiem spłowiały i wytarły się, a nie tknie na zakupno nowych. (U Szryrn-Aki też brać nie wypada, choć sama ofiarowała się z pomocą: jeszczeby też!...) Ba, ba! i Durbinkowi nie łatwo się też dostać do nich: 20 teńg zmieniała na dwie cienkie monety złote i zaszyła je tu w *tunie* Dżelaled-dynowym, pod samą pachę: ani się przyśni komu, że tu coś się ukrywać może; a 60 teńg w srebrze i miedziakach schowała aż tu, przy grobie świętego proroka — niech się uświęci mogiła jego! — pod jego własną opieką; a że tu też zli ludzie snuć się poczynają, to trzeba będzie chyba zabrać i też zmienić na złoto i też zaszyć w tunie: niech już razem przy mnie będzie wszystkich ośmdziesiąt!

Bibi obejrzała się ostrożnie na wszystkie strony, powstała, postąpiła wzdłuż ściany dwa kroki, a pochyliwszy się i odliczywszy kosturem kilka kostek bruku, zatrzymała się, przysiadła i, dygocąc na całym cielem, odważać zaczęła jeden z kamieni, powtarzając raz po raz usta drżącemi:

— Allahu wielki, Allahu litościwy! Allahu wielki, Allahu miłosierny!

— „Jest — wyszeptać po chwili głośniej — jest, dzięki wam, Allahu i święty nasz patronie!“

A ukrywszy pod parandzą w zanadrze dwa brudne, płócienne woreczki większe i jeden mniejszy, pośpieszyła na miejsce poprzednie i usiadła znów, jak przedtem, na ziemi.

— Brakować będzie tylko jeszcze dwadzieścia teńg... Ale się trzeba śpieszyć i zbierać gorliwie, bo tabib onegdaj znów przypominał, że, jeśli się mu za trzy tygodnie albo najdalej za miesiąc nie da, to wszystko przepadnie, już nic nie uratuje Dze-laleddyna... Allahu wielki, Allahu miłosierny! i ty, święty Jego proroku, święty Baha-Eddynie, zmiłujcie się nademną!... Za miesiąc! Toć tak krótko! A jeśli się nie uzbiera?... O, nie, nie, to być nie może, pomodli się ona gorąco na grobie proroka, żebrać będzie miłosierdzia jego, złoży ofiarę chodźom, napije się dla pokrzepienia sił wody ze studni świętej... Wszakże bywają cuda na świecie... Wszak niejeden litościwy a bogaty pielgrzym rzuci czasem srebrnika... Dlaczegoż to się biednej wdowie nie ma dostać dla poratowania jej i wnuków i odwiezienia ich do ojca?... Wszakże uchodząc nagle z Buchary Rachmet-inak powiadał:

„Chowaj mi, matko, dzieci, — powtarzał — aż dorosną do jazdy konnej, a wtenczas przywieziesz mi je, lub przyślesz do Afganistanu, jeśli tymczasem za łaską Allaha mnie samemu nie uda się przyjechać do Buchary, chowajże, chowaj!“



Ładnie wychowała! Zostali baczami płasajacy, a naostatek jeden dostał trądu i ginie w mahalle *Peś*, a drugi — *resztà* i poniewiera się żebrakiem...

— Ah, ah! Jak mi głowa pęka, jak świdruje, jak boli.. — jęknęła Bibi, chwytając się oburącz za głowę. — Cóżem ja winna, cóżem ja winna! Niech jeno dozbięram tych brakujących dwadziestu teńg, niech wywołę Dżelaleddyna, to już łatwiej się znajdzie na drogę i odwiezę mu chłopców, a w dodatku, na przebłaganie — ładną Szyrynczanym na żonę.

I skłopotana, wyczerpana wspomnieniami przeszłości, pochyliła głowę na piersi, zamknęła oczy, zasłaniając je nadto żupanikiem, i powoli drzemać zaczęła; nie słyszała, jak wrota rozwarły się i pielgrzymi afgańscy wchodzili do zagrody świętej, aż ją Turkmeni zbudzili hałasem podziwu nad rogami tura i jelenia, które rzucały cień głęboki na mury.

Zerwała się gorączkowo z miejsca, przetarła oczy, pochwyciła pod pachę żupanik i za Turkmenami wcisnęła się do zagrody, tak samo niespostrzeżona przez odźwiernego, jak Durbin, który przesunął się tam pomiędzy nimi z Afganami.

.....  
Pielgrzymi złożyli obuwie u wrót, a wychyliwszy się z pod wysmukłych jaworów i rozłożystych wiązków, które ocieniały tę zaciszną, czworokątną niewielką zagrodę, przeszli werandę po-

przeczną, łączącą dwa przeciwległe meczety, i skierowali się wprost, a później na prawo, czyniąc małą ablucją przy sadzawce świętej; potem przeszli w sam kąt, łączący dwie ściany zagrody.

Tu się wznosi mauzoleum największej świętości bucharskiej: ciężki, czworoboczny, olbrzymi grobowiec marmurowy, 6 metrów długi a 2 wysoki. U wezłowia, zwróconego ku meczetowi lewemu, a ocienionego przez wielki buńczuk, kołyszący się na żerdzi wysokiej pod szmer harfy eolskiej, padały ostatnie blaski słońca na białą płytę marmurową.

Z rękoma, złożonemi w pokorze na piersiach, i ze spuszczone mi ku blaskom oczyma pielgrzymi, wykonawszy cztery pokłony głębokie, obesli tyleż razy grobowiec i stanęli u strony przeciwległej wezłowi. Każdy z nich po kolei, pochylony, przyciskał się czołem do stóp mauzoleum, potem z bogobojnością przykładał rękę do dwulokciowego, czarnego kamienia — *seng-i-mürad*, a później do ust i czoła, rozpoczynając pielgrzymi *namaz* wieczorny na cześć świętego proroka Mahometa i jego wielkiego wyznawcy Baha-Eddyna, a „w imię Boga miłosiernego i litościwego“.

Namaz zakończył się siedmiokrotną wędrowską dokoła grobowca.

...Od stóp mauzoleum proroka, przy tej samej ścianie portalowej, ciągnie się szereg siedmiu, jeden obok drugiego, grobowców owalnych, również

4\*

kamiennych, ale roboty posledniejszej, zawierających popioły siedmiu pierwszych uczniów Baha-Eddyna. Przed nimi, na rozesłanym na ziemi ko-biercu wzorzystym, siedzi rzędem siedmiu szejchów poważnych, z owych trzydziestu dwu starszyny rodu Nakszbedów, w długich szatach i ciężkich na głowach turbanach; w milczeniu czekają końca namazu, lub w zamyśleniu utkwili wzrok w ziemię przed siebie i w ustawione przed nimi tacki z ofiarami pielgrzymich pieniędzy miedzianych, srebrnych i złotych.

U samego brzegu, najbliżej mauzoleum świętego, czuwał szejch szczupły, niski, wychudły, z zapadłemi głęboko w orbity oczyma, z żółtą jak cytryna i pomarszczoną skórą na twarzy i uschłą ręką lewą. Snadź był to najstarszy z nich wszystkich dostojeństwem lub bogobojnością, a może sam *mutewali* zakonu, zarządzający majątkiem jego, bo wszyscy inni zwracali się do niego z szacunkiem i pietyzmem. Do niego też przystąpił Afgan w szklach indyjskich w chwili, kiedy reszta pielgrzymów rzeźwiła się wodą ze źródła świętego, bijącego obok sadzawki, a pozdrowiwszy i złożywszy ofiarę z jednej monety złotej i kilku srebrnych, zapytał o wybór potrzebnego na cmentarzu miejsca pod mogiłę.

„Już nam o zamiarach twoich, *töri* <sup>1)</sup>, mówił

---

<sup>1)</sup> Tytuł odpowiadający pers. *mirza*, a dawany przede-



przysłany z miasta *ilczy-chodża* — odrzekł szejch, nie odejmując wzroku od ziemi. — Czy to dla siebie chcesz zakupić kabr<sup>1)</sup> na naszym świętym giuristanie?<sup>2)</sup>

— „Nie, chawadże świątobliwy, ale dla pewnego męża bogobojnego, który, zabiwszy człowieka, pragnie z nim razem spocząć na tej ziemi i za przyczynieniem się świętego Baha - Eddyna — niech uświęconą będzie mogiła jego! — odkupić grzech swój u wszechmocnego i miłościwego Allaha“.

„Czemuż pragnie grobu tak przestronnego?“

— „*Ulken basznin ulken bulur gaudasi*“<sup>3)</sup>.

„Dlaczego sam tu nie przybywa?“

— „W tej chwili kona, chawadże, zdala od miejsc świętych“.

„Więc w takim razie kupujesz, *töri*, dwa miejsca na giuristanie, na dwa groby?“

— „Nie, chawadże: jeden tylko i w nim ma spocząć ów mąż bogobojny pospołu z ofiarą swoją; dlatego też głowa i kadłub liczą się podwójnie.“

Szejch podniósł wzrok od ziemi i z pod przewróconych, zaczerwienionych powiek spojrzął na

---

wszystkiem synom chana lub emira, ale przez grzeczność i innym też osobom dostojnym lub gościom obcym — w znaczeniu = wasza dostojność.

1) Mogiła.

2) Cmentarz.

3) Przy wielkiej głowie wielki kadłub bywa.

Afgana, a wraz z nim skierowały się na tegoż spojrzenia wszystkich innych sześciu szejchów.

„Czy ów mąż bogobojny — mówił mutewali tonem nagany — nie wiedział o tem, że zakon nasz nie pozwala na grzebanie dwu ciał w jednym grobie?“

— „Rzekłeś, chawadże świątobliwy, i dlatego za nieświadomość swoją składa tu przezemnie ofiarę na cześć świętego Baha-Eddyna“.

I z temi słowy złożył przed szejchem monetę srebrną.

„*Kulum aczyk, juzjum ak*<sup>1)</sup>. Przecież ci, *töri*, musi być wiadomo, że święty nasz prorok Baha-Eddyn — niech się uświęci mogiła jego! — urodził się w siódmym wieku Hegiry, w siódmym miesiącu roku, siódmego dnia w tygodniu, o siódmej godzinie dnia; w siódmym roku życia nauczył się Koranu, w ciągu lat siedmiu nauczał ludzi w 10 + 7-ym roku życia umarł i obdarzył prawowiernych siedmioma pierwszymi swymi uczniami, którzy tu są pogrzebani w siedmiu grobowcach, i tyś sam, *töri*, ze wszystkimi tymi pielgrzymami obchodził siedm razy dokoła grób święty, wiesz tedy, czy tak czynić wypada, jak uczyniłeś przed chwilą!“ — zakończył szejch, spojrzawszy na monetę srebrną;

---

<sup>1)</sup> „Ręka moja otwarta, twarz moja biała“ (wesola) t. j. szczodremu pociecha.

następnie powiódł wzrokiem po sześciu pozostałych tackach reszty sześciu szejchów.

Gdy Afgan dołożył brakujących do liczby siedmiu sześć takich samych srebrników, ułożywszy je po sztuce na tacy każdego chodzi, szejch-mutewali, porozumiawszy się wzrokiem z resztą *collegium* swojego, odezwał się uroczyście:

„Zakon przez usta moje powiada ci, *töri*: Allah jest wielki, Allah miłosierny, a w nieprzebranem miłosierdziu swoim, wejrawszy na skruczę owego umierającego męża bogobojnego i jego w osobie twojej wysłannika, zechce pozwolić na zanieśenie modłów naszych do tronu Jego; prosić będziemy świętego patrona naszego dziś w nocy o przyczynienie się za nami, aby prośba twoja i owego męża umierającego wysłuchaną została, a wyrok nasz obwieszczą ci jutro w południe usta nasze. Tak chce Bóg wielki, Bóg miłosierny!“

. . . . .

Bibi po wejściu do zagrody świętej, widząc, że pielgrzymi skierowali się na prawo obok meczetu Hakim-kusz-beg-i ku mauzoleum, podążyła ku meczetowi lewemu — Abd-ul-Azysa i tam przycisnęła się do muru jego, w postawie kornej, trwożna, drżąca, to szepcąc słowa modlitwy, to błędząc wzrokiem po ziemi. Potem ostrożnie i lekliwie okoliła werandę, zasłaniając parandzą oczy przed refleksem promieni, które były od lamp i luster,



tam rozwieszonych, zbliżyła się do sadzawki, potem do źródła świętego i tu, rzuciwszy okiem na szereg wznoszących się i opadających ramion pielgrzymich przed grobem proroka, pochyliła się i gorączkowo, pośpiesznie zaczerpnąwszy wody, jęła gasić pragnienie i usta spalone zwilżać ręką drżącą raz, drugi, trzeci, bez końca.

Pokrzepiona na siłach, skryła się za grobowiec od strony zachodniej, upadła na kolana i wsłuchując się w dźwięki eolskie, płynące z pod wielkiego buńczuka, lub wodząc wzrokiem po pęku małych buńczuków, kołyszących się od strony lewej grobowca, czekała ukończenia namazu Afganów. I gdy ci nareszcie posunęli się pod szereg siedzących na ziemi szejchów, przysłuchując się rozmowie mutewalego o dwu mogiłach lub składając swoje obole ofiarne, rzuciła się ku mauzoleum Baha-Eddyna, upadła na ziemię u stóp jego i gorąco błagać jęła proroka o wyjednanie dla niej miłosierdzia Allahowego. Od czasu do czasu stawała nieruchomo, ze skrzyżowanymi na łonie rękoma, mając wzrok utkwiony w wezłowie, jakby sobie coś przypominała, lub o nową łaskę prosić chciała Boga; potem przyklękała, padała twarzą na ziemię, przysiadła na zapiętki, kołysząc się ku ziemi, i znów się zrywała i biła ośm pokłonów dla przedwieczornej modlitwy Ākindi: „Allahu, wejrzyj okiem litości!... Ty jesteś pełen dobroci, wspaniałości i miłosierdzia...” Następnie zbliżając się do

kamienia czarnego, przykładala do niego dłoń prawą, wreszcie skwapliwie przyciskała ją do ust i pocierała nią czoło swoje uznojone, gorące, zwilżone potem...

Dawno już przebrzmiały z wierzchołków obu minaretów głosy żalosne muezynów, wzywające do modlitwy wieczornej; ona ich nie słyszała, cała zatopiona w modlitwie własnej, i nie widziała — jak szejchowie i pielgrzymi, zaskoczeni temi jakby z nieba płynącemi odgłosami, rzucali się pięciokrotnie na kolana i kończyli *achszam* <sup>1)</sup> wezwaniem: „Cześć Allahowi, władcy światów!”

Gwałtownie trącona w ramię przez odźwiernego, ocknęła się i obejrzała dokoła: pielgrzymi afgańscy, rozprószeni po zagrodzie, powoli oddalali się i znikali w kierunku portalu wychodnego; za nimi przy werandzie włókł się jeszcze jeden z Turkmenów, a przy nim Durbin, już zaprzyjżniony i niosący w ręku broń jego; z drugiej strony szejchowie, pochyleni ku ziemi, rachowali ofiary całodzienne i zgarniali je do torb skórzanych. Rzuciła się ku nim Bibi pośpiesznie z własnymi obolami ofiarnymi:

„*Es-salam-alekum!* Pokój niech będzie z tobą!” — wyszeptala do pierwszego szejcha, kładąc przed nim ofiarę dwu miedziaków.

Mutewali prędejbysię spodziewał gromu z nieba

---

<sup>1)</sup> Wieczór, modlitwa wieczorna.

jasnego, niż głosu kobiecego na tem miejscu i o tej porze; spłoszony więc nim, zerwał się na nogi, a za nim to samo uczynili wszyscy inni szejchowie.

— „Niewiasto, cóżeś uczyniła! — zawołał w świętem oburzeniu, wskazując meczet przeciwległy, wznoszący się poza drzewami, — azali nie wiesz, co w Piśmie powiedziano: niewiastom wchodzić nie wolno pospołu z mężczyznami do świątyni?“

„Jam, ojcze świątobliwy, nie była w meczecie“.

— „Pocóżes tu?“

„Do grobu świętego proroka, aby...“

— „Wierni, dawajcie jałmużnę wpierw, nim będziecie mówić z prorokiem!“ — przerwał jej drugi z rzędu szejch.

— „Tyś przed godziną wyszyscyła pod bramą tego przybytku świętego zakon derwiszów wirujących, a może *duwanów* naszego zakonu nakszbédzkiego“ — dodał trzeci.

„Allahu wielki! — wołała Bibi, wyciągając ramiona przed siebie — toć mi się chyba przypomniały wnuki tańczące... albo ja wiem, co to było“.

— „Po takim występku, czegoś się ty mogła spodziewać od świętego proroka? Mów, po coś tu przybyła? podpatrywać nas, co?“

„Ojcze świątobliwy, jam kobieta nieszczęśliwa; miesiąc mi tylko czasu zostało do wykupienia Dżelaleddyna z tego straszego gniazda mahally *Peś...*“



— „Jakiego gniazda?“

„A tego *macho* trędowatych, dokąd wtrącił Dżalaledyna ten niegodziwy sodomita Mulla-Szeryf...“

— „Biada potwarcom zlorzeczącym!“ — zawołali szejchowie, podnosząc ze zgrozą ręce do góry.

— „Dość tego! — nakazał jej milczenie głosem groźnym mutewali. — Słuchaj niewiasto: Zakon, ulitowawszy się nad twoją nędzą, użyty ci tu schronienia wraz z wnukiem; ale oddawna niespokojnym śledził wzrokiem wzrastającą wciąż liczbę grzechów i niegodziwości tego napiętnowanego gniewem Allahowym utrapieńca. W tej chwili dowiaduję się o srogiem przezeń znieważeniu wiernego sługi i syna tego zakonu. Ale miarka pobłażliwości już się przebrała, a teraz ją zwiększają grzechy twoje, niewiasto. Urągasz pamięci jednego z największych hazretów naszych i najpotężniejszego władcy świata, mieniąc się „babką Timur-lenga“; zdajesz się szydzić ze świątobliwego zakonu derwiszów, przedrzeźniając ich; mimo zakazu wchodzisz do zagrody świętej, a wchodząc, nie zdejmujesz obuwia, nie pomnąc, iż najlżejszą karą, jaka czekać może grzeszników takich na tamtym świecie, będzie przywdzianie trzewików z żelaza rozpalonego; w końcu widocznie ciskasz potwarz i oszczerstwo na jednego z poważniejszych dostojników państwa, a czcicieli tego przybytku. „Ci, którzy zrywają przymierze z Bogiem, którzy gwałcą prawa i oddają się skażeniu, zostaną poli-

czeniu między odrzuconych...“<sup>1)</sup>. „Gdyby Bóg nie zalecił z góry ich wygnania, byłby ich wytępił; kara ognia czeka ich na tamtym świecie...“<sup>2)</sup>. Zakon tedy przez usta moje zapowiada ci, niewiasto: gwoli siedmiu cnót proroka naszego Baha-Eddyna — niech się uświęci mogiła jego! — jeśli w ciągu dni siedmiu nie oczyścisz się wraz z wnukiem z zarzutów, wam czynionych, on zostanie poddany chłości sromotnej i razem będziecie wygnani z tego przybytku świętego i oddani w ręce sprawiedliwości: „Wierni, bójcie się Pana! On jest świadkiem wszystkich spraw waszych!“

„Ojcowie święci, litości, miłosierdzia!“ — jęknęła Bibi.

— „A teraz oddal się w pokoju, niewiasto! Ty zaś, odźwierny, czyn śwą powinność!“ — zakończył mutewali, wskazując gestem rozkazującym Bibi i odźwiernego w kierunku portalu klasztornego.

\* \* \*

Nazajutrz przed samem południem jeden z dziadów, czatujących przy bramie bocianiej na szczudle swoim, jak żóraw nad stadem uśpionem, wyjrzał w głąb ulicy zewnętrznej i począł chyłkiem uciekać ku budzie własnej: tam złożył szczudło na

---

<sup>1)</sup> Koran, rozdział II.

<sup>2)</sup> Koran, rozdział I, IX.

ziemi, usiadł i ze wzrokiem niespokojnym zajął pozycję wyczekującą.

Dla innych dziadów, wygrzewających się dotąd spokojnie na słońcu, stało się to zapowiedzią przybywającego dla nich obłowy: jeden za drugim zapuszczał wzrok badawczy w przestwór drogi bocianiej, ten i ów schował się do budy, aby wczolgać się napowrót stamtąd uzbrojonym w miseczkę jałmużniczą, kostur lub torbę; jedni poprawiali na sobie lachmany, drudzy odsłaniali swe rany, inni jęczeli i stękali głosem urywanym, jak muzykanci, próbujący swych narzędzi przed zbliżającym się koncertem — słowem, na całej linii powstał ruch dla rozpoczęcia kampanii bojowej.

Za bramą słabym szmerem dolatujący odgłos gromady pieszej i konnej wzmógł się do tyła, że już wyraźnie rozeznąć można było gwar ludzi i tętent koni. Po chwili widać było istotnie całą niemal karawanę. Była to kompania wczorajszych pielgrzymów afgańskich i turkmeńskich, jeno w liczbie zdwojonej, z dodatkiem nadto dwu *kiafyrów*<sup>1)</sup>, jak się zdaje, z Inglistanu, sądząc po ich brodach jasnych, kapeluszach łopuchowych indyjskich i uporze, z jakim obstawali przy chęci wjechania w pasaż dziadowski konno. Stała temu wszakże na przeszkodzie przeciągnięta w poprzek bramy baryera, której nikt nie odważył się, ani mógł usu-

---

<sup>1)</sup> To samo co giaurów.



nać. Chcąc nie chcąc, wszyscy musieli posiadać z koni lub wielbłądów i mułów i pieszo przechodzić na terytorium święte, zgięci, z pochylonymi karkami, jak tego wymagała pokora przed nieszczęściem ludzkim i wobec przybytku świętego proroka Baha-Eddyna.

W całym pasażu, jakby makiem zasiał, panowała teraz cisza głęboka, przerywana tylko tupotem chaotycznym wstępujących na bruk nóg pielgrzymich. Żebracy i żebraczki siedzieli lub stali przy budach i miseczkach swoich nieruchomi, obojętni, jakby nic nie wiedzieli i nie słyszeli, niemal dumni i niedbali, jak kupcy muzułmańscy w bazarze stambulskim wobec przeciągających obok ich sklepów gości: Kupisz — dobrze, nie — to nie!

Jedna i druga żebraczka i parę dzieciaków, nieobeznanych zapewne z taktyką, lub łamiących świadomie solidarność ogólną, a może wysforowanych na pierwszy harc, podsunęło się z tej i z owej strony ku pielgrzymom, wyciągając rękę po jałmużnę. Tu i ówdzie ominięto ich nieuwagą, gdzie indziej jakiś Turkmen rzucił mały wytarty miedziak, budząc w ten sposób czujność jednych, a niedowierzanie drugich, niepewnych jeszcze, azali kompania, która wyjałmużniła się wczoraj, będzie dziś wypłacalna chęcią i monetą.

Ale o to świeżego kontyngensu Afganowie zaczęli wydobywać z zanadrza drobne puły oraz

srebrniki i składać je na miseczkę tego lub owego żebraka, a nawet rzucać dalszym na ręce. Gdy prośby w imię Allaha lub kawęczenie na ton przeciągły, litościwy, okazały się skutecznymi, to pierwsze powodzenie stało się hasłem ogólnego poruszenia. Bliżsi przycisnęli się ku samym pielgrzymom, a dalsi z obawy, że zostaną pominiętymi lub że zabraknie ofiary dla nich, napłynęli całą ławą i otoczyli ze wszech stron kompanię pielgrzymią, wyciągając już zdała ręce, kawęcząc, skomląc i zawodząc tonem błagalnym, przeciągłą nutę dziadowską — począwszy od sopranów dziecięcych, a skończywszy na dyszkantach piskliwych i basach przerażających. Pochód naprzód stawał się coraz trudniejszym, tak, że posuwać się można było li zwolna, krok za krokiem, okupując się coraz to obfitszą jalmużną, którą też hojnie świadczyć zaczęli i wczorajsi Afganowie i sami Anglicy.

Ale ta właśnie hojność wzmagala napór dziadów, natarczywość ich prośb, głośniejsze zawodzenie i energiczniejszą demonstracją nędzy. Gdy jeden odsłaniał strupy, osypujące się na głowie, drugi wyciągał rękę złamaną, z raną, świeżem mięsem się jątrzącą, trzecia, popychając dwie jęczące przed nią baby, wyciągała przed samą twarz jakiegoś Afgana dziecko swe z wiszącym okiem; tu dwaj trzymający się razem ślepcy roztrącali gromadę dzieci wrzaskliwych, a nie mogąc dotrzeć do któregokolwiek z szafarzy, miotali w powietrzu rę-

koma i rozdzierającym głosem pragnęli zwrócić na siebie uwagę; gdzieindziej znów kilka kobiet, przyparłszy Anglika do budy, gdy ten już nie wiedział, komu dać, — szarpało go za rękę, roztwierały dłoń jego, drapały pazurami i wyciągały gwałtem monetę. Przy budzie przeciwległej siedzący bez nóg kaleka, nie mogąc ruszyć się z miejsca, ciskał kamykami w tłum i wrzeszczał w niebogłosey, pragnąc na siebie zwrócić uwagę; gdzieindziej znów dziewczynka, ciągnąc za włosy rwącego się przed nią chłopaka, z jękiem wrzaskliwym pokazywała Turkmenom kłykieć ręki z ropiejącą raną, w której się wiło robactwo.

Pielgrzymi z początku usiłowali przeciskać się łagodnie, następnie coraz energiczniej, a gdy ścisk stawał się gwałtowniejszym, gdy jałmużna, prośby i groźby nie pomagały, gdy jakiegoś Afgana hojnego kilka bab z jednej, a chłopców z drugiej strony ciągnęło za ręce, krzyżując go i wydzierając przemocą pieniądze i chustki jedwabne, — zaczęli się opędyć kolbami i jataganami, lub płazować pałaszami.

Zamęt stąd powstał straszniejszy i biada było wówczas słabszym, starcom, kobietom lub dzieciom. Jakiś parobek barczysty, należący do kohorty dziadowskiej, tłukł pięściami po głowach na prawo i na lewo, pragnąc przecisnąć się do Anglika; kobiety rwały się, szamotały i zębami odciągały jedna drugą. Cały tłum zbil się i skłębił w jedną jakąś



bezsztaltną masę, która poruszała się na wsze strony, to cofając się wstecz, to kotłując w poprzek, a otaczały go tumany kurzu, które padały na ropiejące i cuchnące rany, na twarze zmoczone potem lub krwią, wśród zawodzeń, jęków, wrzasków, zlorzeczeń i próśb, rozdzierających serce i duszę.

Durbin w pierwszych jeszcze chwilach zamętu, porwawszy wczorajszego swego świeżo zdobytego przyjaciela turkmeńskiego, takiego jak sam obdar-tusa, jeno starszego i zbrojniejszego, umknął z nim naprzód ku portalowi: rogi turze i jelenie bardzo mu się tam podobały, oddawna ostrzył na nie swe zęby, więc teraz może się uda je świsnąć przy pomocy towarzysza, wśród ogólnego zacierzewienia i zamętu w pasażu.

Szyryn-chanym niebyło wcale, a Bibi, nie mogąc jej wczoraj odszukać, tak była zgryziona zapowiedzią szejchów i wiadomością jednookiej żebraczki o konszachtach małżeńskich Afgana z wdówką, że, choć zabezpieczyła swe fundusze pewną lokacją — pod drugą nieeksploatowaną jeszcze przez wnuka stroną budy — i mimo snu w nocy, nader szczęśliwie wróżącego, wyglądała blado, przygnębiona, posiwiiała, z oczami głęboko zapadłemi.

Stała nieco opodal od reszty żebraków, czekając łaski Bożej i pielgrzymiej.

Gdy ruch po pierwszych powodzeniach jałmużniczych stał się żywszym i powszechniejszym i ona się ożywiła, stała się ruchliwszą i po pierwszym,

drugim miedziaku, które jej się szczęśliwie dostały w ręce, zaczęła nabierać otuchy i wiary w dal-  
sze powodzenie. A gdy jeden z Afganów, omijając  
dziady natrętne, przecisnął się pomiędzy tłumem  
i sam jej włożył srebrnika w rękę, oczy jej się  
rozjaśniły blaskiem, policzki zapłonęły wypiekami,  
ręce zadrgały gorączkowo, niecierpliwie; przewią-  
zała żupanik dzelaleddynowy pod parandzą dokoła  
bioder, aby jej nie zawadzał w ruchach, uwolniła  
ręce od kostura, ciskając go daleko ku budzie, wy-  
prostowała się i unoszona falami płynącej naprzód  
rzeszy żebraczej, to znów odrzucana niemi na stronę,  
wyciągała obie ręce wysoko przed siebie, unosząc  
je ponad rozwianym włosiem własnej głowy, po-  
nad głowami klębiącej się przed nią tłuszczy.

W takiej postawie ujrzał ją wczorajszy o szklach  
indyjskich Afgan i wskazał przeciskającemu się  
obok Anglikowi. Ten, spojrzawszy badawczo na  
nią, sięgnął do kiesy, wydobyl stamtąd kilka mo-  
net, zawinął je w kawałek oddartego z trudem pa-  
pieru z notesiku podróznego i celując chwil parę  
w Bibi tak, aby przygotowała się do przyjęcia da-  
ru, rzucił zręcznie w nastawione do pochwycenia  
obie ręce. Papier w locie rozluźniony, przetań się  
do reszty od konwulsyjnego wstrząśnięcia rąk że-  
braczki i Bibi szeroko rozwartemi źrenicami uj-  
rzała się w posiadaniu pięciu grubych złotych  
monet indyjskich. Blask, od nich bijący, rozświetlił  
nagłym, błyskawicznym rzutem całą ciemność, w ja-

kiej dotąd była pograżoną żebraczka, i smugą szeroką zakreślił jej drogę przyszłości. Wszak te pieniądze nie tylko uzupełniają jej własny, tak mozolnie zebrany skarb na wykupienie i uzdrowienie Dżelaleddyna, ale nawet wystarczą na podróż z wnucami do Afganistanu. Skończą się jej troski, nędza, poniżenie; a wobec tego nie dba już o mnichów, rzuci ich przed wykonaniem groźby mutewalego i nawet Szyryn-chanym zabierze z sobą, bo pogłoska o jej zamążpójściu musi być zwykłą plotką dziadowską.

Ale jakkolwiek błyskawicznie przemknęła jej przez myśl strugą świetlaną ta cała serya obrazów przyszłości, również szybkim, również błyskawicznym był ruch czatującego na nią Kasymka, który, widząc rozwijane w jej dłoni złoto, w dwu susach ocknął się przy niej i szarpnął ją za rękę lewą, aby rzucić się na prawą, którą kurczowo zacisnęła złoto. Bibi, widząc straszne niebezpieczeństwo, w oka mgnieniu zakreśliła mały ruch ręką w powietrzu ku głowie i całą garść monet wrzuciła sobie do gęby. Dla kogo innego byłaby to pozycya już stracona, ale nie dla Kasymka, który w tejże chwili polechtawszy jedną ręką gardło żebraczki, a drugą drasnawszy jej wargi i dziąsła, zanurzył trzy palce w jej gębę i zaczął tam gmerać natarczywie. Żebraczka, szamocąc się i wrywając, cofała się gorączkowo ku kłębiącej się rzeszy dziadów, wciąż napierana przez chłopaka,



który jak jastrząb uczepił się swej ofiary, przyparł ją do żywej ściany tłumu, laskotał pod gardło, drapał i szarpał niemilosiernie. Bibi wykrzywiła twarz konwulsyjnie, podskakiwała, potrzasała rozpaczliwie głową, ryczała głosem nieludzkim, krztusiła się i dławiła. Nareszcie malec, znużywszy ją do bezwładności, silnym kuksańcem w bok i prawie jednoczesnym zduszeniem gardła, ostatnim wysiłkiem trzech grzebiących palców podważywszy podniebienie, szarpnął pokrwawioną ręką na zewnątrz i — wyciągnął trzy monety: dwie inne potoczyły się z brzękiem na bruk pasażu, ścigane i łowione przez kilkoro dzieciaków.

Bibi z krzykiem przerażającym rzuciła się za Kasymkiem, wciskając się w tłum ludzi, ale porwana i rzucona w inne kłębiące się koło dziadów i pielgrzymów, znikła rychło w wirze i tumanie kurzawy.

\* \* \*

We dwie godziny potem, kiedy po namazie południowym dziady, wylizując się z ran otrzymanych, odpoczywały przed budami swemi, lub zabierały się do uczty południowej, a pielgrzymi w ciszy wychodzili z zagrody świętej i podziwiali gzyms portalu z jego rogami fantastycznymi (z pomiędzy których już parę jelenich i turzych brakowało), — Durbin, przebiegając pasaż, zatrzymał się przed

budą swoją i zawołał głośno na babkę, aby mu czapkę wyszukała:

„Na miasto, na *czarszyję*<sup>1)</sup> muszę z Turkmenem — nagił — żywo, *katà-inà*, do *czajna chane*<sup>2)</sup> zajdziemy!“

Żadnej odpowiedzi.

„Nuże, prędzej, babko! — niecierpliwił się chłopak — Turkmen czeka za bramą, za bocianią, chodź i ty, Bibi, z nami: napijesz się herbaty i przekąsisz!“

Wciąż milczenie.

Durbin wczuł się do budy; niema nikogo; wylazł na zewnątrz, zajrzał z jednej i drugiej strony lepianki: ani żywej duszy; zajrzał nareszcie z trzeciej, tam gdzie o świcie wygrzebał był z ziemi wszystkie trzy woreczki babine z jej skarbem. Pamiętał to dobrze, że otwór w tem miejscu zasypał był napowrót żwirem i przyłożył kamieniem, jak było. Teraz kamień odwalony, żwir wygrzebany z głębi, w której natomiast świeciła pustka i czarny, głęboki otwór. Podniósł oczy, spojrzął przed siebie: o parę kroków, oparta o lepiankę siedziała na ziemi Bibi z głową zwieszoną na piersi, z rękoma, złożonemi na żupaniku płomiennym, który jej leżał na kolanach, nieruchoma, bezwładna, z zamkniętymi oczyma, z których dwie łzy, wy-

---

<sup>1)</sup> Bazar kryty.

<sup>2)</sup> Herbaciarnia.

lane snąć już dawno, spłynęły, zatrzymały się w brózdach zapadłych bladych policzków i tam zasłygły.

Chłopak zatrzymał się, spojrzał na nią, popatrzył chwilę i chciał figlarnie musnąć ją po twarzy słomką, podjętą z ziemi; ale dostrzegłszy łzę na policzku, pierwszą łzę, jaką widział u niej, zawahał się, opuścił słomkę i, pochylając się ostrożnie nad uchem kobiety, wyszeptał:

„Babko, aaa, babko Bibi, wstańże!“

Żadnej odpowiedzi. Bibi siedziała bezwładna, nieruchoma, wśród ciszy, zalegającej dokoła, a przerywanej tylko zdalą odgłosem kroków zbliżających się ludzi.

„Poczekaj trochę, odrobinę jeno: ja zaraz przybiegnę, przyniosę!“

I mimo nogi chromej pomknął z miejsca lotem strzały, pędząc przed siebie na oślep, nic nie widząc, potrącając i obalając po drodze dzieci i ludzi dorosłych.

Dobry kwadrans minął, zanim powrócił zadyuszany, zziajany, dźwigając przed sobą zawiniątko z rańtucha. Przed babką zastał wczorajszego o szklach indyjskich Afgana i obok niego Szyryncanym, zakwefioną już i otuloną w parandzę ciemną. Afgan zdejmował właśnie z siebie *kabę*<sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Płaszcz perski z ciężkiej materyi bez rękawów.



bronzową, chcąc ją zarzucić na Bibi, a chanym szeptała do niego:

— „Że też Allah wszechmocny nie dozwolił jej doczekać wyjazdu naszego: byłaby razem wyjechała, jak tego pragnęła!“

Durbin odsunął ją zlekka ręką, przystąpił ku babce, złożył u stóp jej zawiniątko i usiadł obok na ziemi.

„Babko Bibi, *katá-inà* moja, popatrz na mnie, no, popatrz! — mówił półgłosem, ocierając rękawem własnej koszuli łzy, skrzepłe i zmieszane z kurzem na licach babki. — Nie płacz już, nie płacz: patrzaj, ja tu wszystkie przechowałem *chalty*<sup>1)</sup> twoje z pieniędzmi! — i wydobywał kolejno z zawiniątko wszystkie torebki. — Patrz, przyniosłem i tamte pierwsze dwa z 40-ma *teńgami* i te wczorajsze trzy, coś wyjęła z pod turzych rogów z 60-ma *teńgami*, a oto masz i trzy moje własne woreczki, com sam uzbierał z 70-ma *teńgami*, a oto jeszcze dziesięć srebrniaków, które mi dziś Turkmen dał za rogi! No, popatrz, babko Bibi!“ — gładził ją pieszczotliwie ręką pod podbródek.

„Popatrz!“ — krzyknął przeraźliwie, roztwierając szeroko oczy i wstrząsając ramieniem babki.

Martwy, zimny trup Bibi pochylił się na ziemię i potoczył się po kamieniach ku lepiance.

. . . . .

---

<sup>1)</sup> Kalety, torebki na pieniądze.

W nocy lepianka Bibina była już pustą i głuchą: znikł z niej Durbin, znikła Bibi.

Nad ranem, gdy z obu minaretów przywołały muezyny wiernych do pierwszego namazu, siedmiu szejchów, idąc na straż kolejną do Baha-Ed-dynu, zatrzymało się z przerażeniem przed bramą bocianią: z jednej i drugiej strony baryery uwiązane były trupy, twarzami zsiniałemi zwrócone ku sobie: Kasymka i mutewalego, oba widocznie udużone: gęby ich były zapchane miedziakami i srebrnikami, a szyje związane jednym rzemykiem, który ścigała paleczka Durbinowa, okuta mosiądzem.

.....  
W parę dni potem do *hakima* <sup>1)</sup> Buchary, do *kusz-bega* <sup>2)</sup> do *rejs-i-szarjata* <sup>3)</sup> ponadchodziły dziwne wiadomości o jeszcze dziwniejszem zjawisku, widzianem w stepie niedaleko jeziora Sangut-Kulu przez oddział żołnierzy, którzy wracali do stolicy z nad Amur-Daryi. Napotkali tam skrzynię, zbitą z desek i stojącą sztorcem do ziemi, a w skrzyni w postaci siedzącej spowitego w całun trupa młodziana kilkunastoletniego, z nosem odgniłym, okrytego ranami i widocznie zmarłego na trąd. Obok głęboki pluskiewnik w ziemi, przykryty również

<sup>1)</sup> Naczelnik miasta lub powiatu.

<sup>2)</sup> *Kusz-beg*, a właściwie *kousz-beg-i* — pierwszy minister bucharski = wielki wezyr.

<sup>3)</sup> Dyrektor policji i targowy, oraz cenzor moralności publicznej.

deskami, zawierał zjedzonego żywcem przez pluskwy stepowe człowieka ze związanymi rękoma i nogami. Trudno było dojrzeć twarzy jego, całkiem oszpeconej, ale po brodzie białej, a wąsach czerwonych poznano w nim Mullę-Szeryfa. Do desek pokrywy przybity był napis:

„Starego tego grzesznika należy pogrzebać razem z ofiarą jego, — siedzącym obok młodzianem-baczą — w grobie, zakupionym za życia na cmentarzu nakszbedzkim.“

Wszelkie poszukiwania i dochodzenia nie wykryły sprawców tej zbrodni. Nikogo w owych okolicach nie widzieli żołnierze dnia tego, krom karawany, złożonej z Afganów i Turkmenów, którzy wraz z jakąś niewiastą na wielbłądzie zdążali ku szlakowi afgańskiemu.

---



## BAZÈM BUCHARSKI.

---

Po parutygodniowym pobycie w Bucharze spotkałem się z publicystą i podróżnikiem włoskim, p. Józefem S., który, przywyklszy od dzieciństwa do opery i baletu, mimo uroku nowości otaczającego go życia orientalnego wzdychał często do europejskiej atmosfery baletniczej, lub arii Rossiniego, Belliniego, Verdiego. Pewnego dnia, po obejrzeniu wspaniałych sal maurytańskich medressy<sup>1)</sup>, kiedyśmy się dostatecznie nasycili widokiem głębokiej kopuły, posianej marmurowymi przyzmatami, i inkrustacją mozaikową gzymsów i koronkową siatką okien maurytańskich, które zalewały wnętrze sali światłem czarodziejskiem, odzywam się do towarzysza, kończącego notatki wrażeń na podwórzu:

„Będziesz pan miał niespodziankę, w innym a ulubionym dla pana rodzaju biesiadę artystyczną“.

---

<sup>1)</sup> Szkoły wyższej, wszechnicy.

— „Plastyki czy toniki?“ zapytał.

„I jednej, i drugiej: pojedziemy na operę i balet“.

Włoch spojierał na mnie z niedowierzaniem i zdziwieniem.

„Jutro zobaczymy taniec „morygi“ lub „herati“ skomponowany przez znakomitego ongi baletmistrza Seid-Bedra, oraz wiele innych, równie oryginalnych dzieł Terpsychory. W tym kraju tak samo, jak w ojczyźnie pańskiej, celniejsze miasta współubiegają się o to, aby mieć dobry balet i trupę śpiewacką. A ponieważ najznakomitszą bodaj tego rodzaju miejscowością, Neapolem bucharskim, jest Bustan, pojedziemy więc do Bustanu“.

Jak się rzekło, tak się stało.

Kusz-beg-i<sup>1)</sup>, dowiedziawszy się od syna swego, który nas tego samego dnia był odwiedził, o zakresie i celach estetycznych zamierzonej wycieczki, troskliwy zawsze o podtrzymanie dobrej o Bucharze opinii u cudzoziemców, z całą uprzejmością zawiadomił nas, iż kazał zarządzić wszelkie ułatwienia do podróży. Jakoż — nazajutrz o świcie przed mieszkaniem naszym już czekały nietylko wierzchowce, lecz i ekwipaż, bodaj czy nie z własnej stajni marszałkowskiej. Mieliśmy przed sobą prawie ośm mil drogi. Zjadłszy na prędcie śniadanie, wysłaliśmy naprzód konie z powozem na

---

<sup>1)</sup> Wielki marszałek pałacowy emira.

zmianę do Kujuk-Mazoru, a sami wsiedli na wierchowce i w towarzystwie kilku konnych dżygitów, przysłanych nam łaskawie jako eskorta bezpieczeństwa czy gwoli honoru, puściliśmy się rażnie obok cmentarza przez wrota mazorskie. Po godzinie wyciągniętego klusa aleją topolową i kasztanową, która rozdzielała wille, otoczone to sadami i winnicami, to znów plantacyami bawełny, tytoniu i drzew morwowych, zatrzymaliśmy się w Baha-Eddynie.

Niewielka to miejscina, ale zawsze przepelniona tłumami pielgrzymów, śpieszących tu z całej niemal Azji środkowej do grobu świętego proroka, Baha-Eddyna. Potomkowie jego tworzą osobny zakon sufistyczny derwiszów nakszbedzkich<sup>1)</sup>, stoją na straży tej Mekki bucharskiej, utrzymując z ofiar pobożnych i siebie i meczety i szkoły i inne instytucje religijne, wychowawcze, oraz dobroczynne, a w tej liczbie schronisko dla niezliczonych żebraków.

Splaciwszy dań należną jałmużnictwu i pietyzmowi muzułmańskiemu przed mauzoleum proroka, a obdarzeni w zamian błogosławieństwami „siedmiu szejchów“, odbywaliśmy dalej podróż naszą wśród krajobrazu, wielce ożywionego, i kultury, wysoce rozwiniętej. Wioska przy wiosce, ogród

---

<sup>1)</sup> Powstał ze szkoły mistycznej Tajfurów — wielkiego szejcha Bajazyda Bistami-Tajfura.



przy ogrodzie, plantacya przy plantacy, zaopatrzone w zbiorniki wód i sadzawki; grunty, poprzerynane kanałami, które na całej tej przestrzeni umożliwiają wyborną irygacyę. Wszędzie widać pracowitą rękę człowieka, który, z trudem wyrwawszy pustyni ten kawałek piasków i stworzywszy z niego ruchomą oazę, umie cenić jej wartość, wysoko szacuje każdą piędź ziemi. Obok snujących się karawan na tym wielkim szlaku, łączącym Samarkandę z Bucharą, widać było wszędzie w zagrodach lud, pracujący mimo gorąca i upału, a tak zajęty swoją pracą, że wcale nie zwracał uwagi na przejezdnych, chociaż *Frenk* (Europejczyk) bywa tu zjawiskiem rzadkiem i ciekawem.

W Kujuk-Mazorze zastaliśmy konie nasze; już wypoczęły. Chcieliśmy więc przesiąść się do pojazdu i w dalszą puścić się drogę natychmiast. Ale na prośbę czekających tam oficyalistów musieliśmy przyjąć ofiarowany nam przez nich poczęstunek: składał się z kilku obfitych, pływających w tłuszczu baranin potraw mięsnych, owoców i *buzy*<sup>1)</sup>.

Wjechaliśmy do Bustanu już o zachodzie słońca, w chwili, kiedy miejscowy o białym turbanie *kadyrejs*<sup>2)</sup>, mając ze sobą kilku zbrojnych dygnitarzy, obchodził bazar i targowicę, kontrolując porządek i przyzwoitość publiczną. Przy nim kilku powa-

---

<sup>1)</sup> Napój z prosa.

<sup>2)</sup> Komisarz.

żnych *ak-sakałow*, w różnobarwnych żupanach, submitując się, wskazywało dalszą grupę kilkunastu kramarzy, czyto tłumacząc się z jakiejś niedokładności, czy broniąc stanowiska swego, jako przedstawicieli miejscowego kupiectwa.

Na widok wysiadających z pojazdu Frenków przerwano rozmowę i skierowano wzrok pytający na przybyłych.

„Przybywamy z Buchary,“ — zacząłem, pozdrowiwszy obecnych, — „aby poznać miasto wasze, o którym tyle pochwał gloszą w świecie, i ciebie, dostojny kady-rejsie, i was, sławetni *ak-sakałowie*...“

— „Jak *tancerka* po bucharsku?“ — zapytał mię szeptem pan Józef.

„*Uinczy*“.

— „...i personal waszych nadobnych *uinczych*“ — dodał głośno do kady-rejsa.

„Cóżes pan palną!“ — zawołałem mimowolnie z oburzeniem i obawą narażenia na szwank naszej powagi w oczach tych purytańskich wyznawców Proroka.

Jakoż kiedy po pierwszych powitalnych grzecznościach kady-rejs i *ak-sakałowie* życzliwie i ujmująco poruszali głowami i przykładali ręce do serca i ust, ku czemu im zapewne niemało dawał podniety widok honorowej eskorty dżygitów, teraz zaczęli spoglądać z pewnem niedowierzaniem.

„Towarzysz mój“ — wtrąciłem, usiłując na-

prawić błąd popelniony, — „niedawno przybył z Frankistanu i, nieświadom jeszcze dostatecznie mowy waszej wykształconej, chciał właściwie powiedzieć, że jako reprezentanci prasy europejskiej, żądni poznania bliżej Bucharj, pragnęliśmy też być na dzisiejszej *tomaszy*“<sup>1)</sup>.

Rejs i sakałowie pytająco na siebie spojrzeli.

— „Ależ to zaszła jakaś pomyłka“, — odezwał się pierwszy — „tomasza ma być akurat od dziś za tydzień“.

„To dziwne“ — tłumaczyłem się — „że i sam kusz-beg-i zapomniał o tem, bo dając nam swe konie na dzień dzisiejszy, był snadź przeświadczony o terminie widowiska“.

Powołanie się na pierwszego dostojnika w państwie uczyniło silne wrażenie na obecnych: wszakże kusz-beg-i mylić się nie może; to raczej on, kadyrejs, i oni, ak-sakałowie, omylić się musieli!.

— „O *töri!*“<sup>2)</sup> — odezwał się nareszcie kadyrejs po szeptach i porozumieniu się z ak-sakałami — „jego wysokość kusz-beg-i wiedział, dlaczego dawał Waszym Dostojnościom konie na dzień dzisiejszy; jeno myśmy się nie zrozumieli; nie toma-

---

<sup>1)</sup> Widowisko publiczne.

<sup>2)</sup> *Książę*, coś na podobieństwo tego, jak Niemcy każdego szlachcica polskiego tytułują *grafem*, albo lud nasz w niektórych wioskach każdego z waszecia ubranego — *panem hrabią*.



sza dziś będzie, lecz *bazem*<sup>1)</sup>, umyślnie na cześć Waszych Dostojności“.

W pół godziny potem jużśmy siedzieli, zaproszeni przez *hakima*<sup>2)</sup>, w jego komnacie gościnnej za suto zastawionymi stolkami, witani przez coraz to innych *ak-sajaków*<sup>3)</sup>, z których każdy podchodził ku nam, podawał rękę, a następnie przykładał ją do swego serca i głowy, pytając o zdrowie i podróż uciążliwą.

W tak licznym towarzystwie po uczcie zaprowadzono nas na taras jednego z domóstw, gdzie naprędce urządzono *bazem*. Nad całym tarasem rozciągnięto oponę, niby baldachim, zasłano ją matami ryżowymi i kilimkami, rów do koła oświetlono lampionami kolorowymi i pochodniami lojowymi, które trzymała służba, rozstawiona dokoła. Posadzono nas na lekkim wzniesieniu, urządzonem z wojłoków, przykrytych kobiercami, za podporę dano poduszki w kształcie worków podługowatych. Z prawej i lewej strony rozsiedli się przy nas poważni *ak-sakałowie*, *ak-sajakowie* z *hakimem*, *kady-rejsem* i innymi miejscowymi *dygnitarzami*, przyodzianymi w barwne żupany jedwabne i lek-

---

<sup>1)</sup> Prywatna zabawa z koncertem i tańcami w kółku ścisłym.

<sup>2)</sup> Burmistrz.

<sup>3)</sup> Właściwie *ak-sujak* — biały kości, t. j. szlachetnego pochodzenia; *ak-sakał* — białobrody, starzec, człowiek poważny, starszy przedstawiciel kupiectwa.

kie futerka lisie, pokryte materyą ternową, a z mianami dumnymi i poważnymi, jakby członkowie areopagu.

Na przodzie sceny trzej nagmaczowie przebiegali palcami po *sytarach*<sup>1)</sup> trójstrunnych, a w dali na jednej linii z nimi, jeno wtłoczeni w ką, zasiedli *baczowie*<sup>2)</sup> w liczbie pięciu, z których najstarszy mógł liczyć 14—15, najmłodszy 11 lat wieku; wszystko chłopaki ładne, z twarzyczkami nieco bladymi i jakby znużonymi, które ocieniały bujnie trefione po damsku włosy. Kostyумы mieli również damskie: przestronne, spięte u kostek branzoletami szalwary, obcisłe w stanie krótkie żupaniki, dekoltowane u szyi, i bajaderki, zarzucone z lekka z fantazyą na głowy. U czterech przeważała w stroju barwa blado-zielona, u piątego, najdorodniejszego, z płonącymi jak węgiel oczyma, barwa szkarłatna, szamerowana złotymi kordonkami.

Baczowie siedzieli z podwiniętymi pod siebie nogami na ziemi, popijając herbatę wśród śmiechu i rozmowy ożywionej; całkiem zajęci sobą, nie zwracali najmniejszej uwagi na przybyłych gości. Wiedząc, iż taki ich manewr przeciągnie się długo, podszedłem do najstarszego i, biorąc go na stronę, rzekłem:

---

1) Instrument, podobny do mandoliny, z długą szyjką.

2) Chłopięta, chłopcy.

„Słuchaj, baczè! Oto masz spinkę turkusową na pamiątkę. Drożyć się sobą będziecie mogli dowolnie z ak-sakałami wtenczas, gdy będziecie w męskich kostyumach, a teraz żywo, zaczynajcie natychmiast, bo w przeciwnym razie wyjdziemy stąd zaraz wszyscy!“

Groźba i podarek poskutkowały wybornie. Baczę spojrzał tylko na mnie z uśmiechem figlarnym, szepnął coś do kolegów i rozpoczął uwerturę pieśnią chóralną, witając gości i sławiąc ich cnoty wymarzone; następnie skinął na towarzyszy i poprowadził pług dokoła sceny, ku wielkiemu zdziwieniu tubylców, nienawykłych do takiego pośpiechu. Idąc gęsiego, jedna za drugą, improwizowane tancerki, w takt cichych, słabych dźwięków sytar, w rytmicznych, harmonijnych a posuwistych ruchach, zwracały uśmiechnięte twarzyczki ku widzom, a przechylając ręce ku jedwabistym włosom swoim, przesuwały je wdzięcznie aż ku końcom splotów, jakby nęcąc obecnych widokiem tych wdzięków. Tempo powolne przeszło w *allegro* i nagle w szybkie: dziesięcioro rąk wzniosło się, rozpostarło do góry z drzeniem, wywołując stopniowo drganie w plecach i w nogach, zakończone długiem, omdlewającym zataczaniem bioder, przy odpowiedniej gestykulacji twarzy, zwłaszcza pełnej ekspresji u najstarszego z nich — Dżelal-eddyna.

Z grona widzów z początku dawały się słyszeć sporadyczne oznaki zadowolenia: „Bal... bali..



e-e.. jachszy, jachszy“, — a następnie coraz liczniejsze, częstsze i głośniejsze: „jachszy, jachszy, baj-baj jachszy!“ — znamionujące wzrastanie zapалу, od którego wstrzymać się nie mogli nawet najstarsi ak-sakałowie o długich, białych brodach.

Było to jakby introdukcyjne widowisko, po którym zaczęli produkować się mascharabazy, czyli śmieszkowie, kłowny, różnemi wesołemi farsami (niekiedy naśladownictwo z życia zwierząt domowych), mocno przypominającemi nasze jar-marczne lub cyrkowe widowiska prowincjonalne. Podług pojęć tamtejszych poważnym lub przy-zwoicie wychowanym ludziom nie wypada przy-wiązywać zbytnej uwagi do tego rodzaju produk-cyi, właściwych tylko zabawie *kara-sujaków*, t. j. ludzi czarnej, podlejszej kości — motłochu. Toteż hakim pilnie nas śledził, chcąc wybadać, jakie to wrażenie sprawia, a nie widząc zbytniego zainte-resowania, raczył powziąć o nas dobre wyobra-żenie i gwoli lekceważenia mascharabazów — ka-zał podać wieczorny „*dostarchan*“, składający się z rozmaitych słodyczy, bakalii i buzy, a w końcu herbaty.

Podczas raczenia się napojami dwaj baczowie wystąpili kolejno ze śpiewami. Jednastoletni sza-tyń o ciemnych, lazurowych oczach, wysokim dysz-kantem nucił:

Róży kochanku, słowiku, piej,  
b'ül-b'ül<sup>1)</sup>!  
Balsam swej pieśni na serce lej!  
b'ül-b'ül!  
Głosem donośnym szalonych burz —  
b'ül-b'ül!  
Serca mojego tęsknotę głusz!  
b'ül-b'ül!  
Dalej, rozgłośnij, namiętniej piej,  
b'ül-b'ül!  
Żarem kochanka mojego grzej!  
b'ül-b'ül!  
Godny twej róży zgotujesz plon:  
b'ül-b'ül!  
W lubych objęciach chcę znaleźć zgon:  
b'ül-b'ül!  
Nie zwiędłab' róża, gdyby nie ty,  
b'ül-b'ül!  
Nie sechłby człowiek, gdyby nie ły!  
b'ül-b'ül!

Drugi, śniady chłopczyna, zazdroszcząc tej romanicy towarzyszowi, dźwięcznym sopranem wydzwaniał madrygał:

Gdybyś, mój drogi, był ty kitabem<sup>2)</sup>,  
Jabym rachilą<sup>3)</sup> zostać też chciała:  
Aby rozwarta w dziale miłości,  
Na swym pulpicie księga leżała.

---

<sup>1)</sup> Słowik.

<sup>2)</sup> Książka.

<sup>3)</sup> Pulpit.

Przymrużanie oczu, przykładanie rąk do serca, miękkie, pieszczotliwe pozowanie tych chłopaków na kobiety — ciekawe mogło być dla każdego widza, jako wynik studyów i wyszkolonej rutyny; w naszych zaś gospodarzach budziły wprost zachwyty niewymowny, malujący się dosadnie w błogim wyrazie twarzy, oklaskach i wzrastających okrzykach uwielbienia, wreszcie w tej skwapliwej uprzejmości i galanteryi, z jaką zwracali się do śpiewaków, ofiarując im na wyszcigi: ten swoją filiżankę herbaty, ów garść bakalii, inny znów nargilę swoją do zaciągnięcia się jednym haustem dymu wonnego „tembeki“; traktowano ich jak kobiety i każdy z nadskakujących „kawalerów“ siwobrodych czuć się zdawał szczęśliwym, jeśli raczono przyjąć jego ofiarę, wyszczególnić go przed innymi i w nagrodę obdarzyć go uśmiechem wdzięcznym.

Następnie baczowie znikli gdzieś ze sceny i, kiedy po kwadransie zastawiono dla nich w dawniejszym ich kącie herbatę, zjawili się i zasiedli do niej już w kostyumach męskich, choć przysposobionych również do produkcji choreograficznych.

Chwila za chwilą mijały w milczeniu i oczekiwaniu nowego aktu nowej części widowiska. Baczowie najspokojniej zajęci byli tylko sobą, pić herbaty i wesolą rozmową, wydzwanianą dźwięcznymi, chichoczącymi głosami. Z parteru zaczęły płynąć ciche, nieśmiało aluzyje do pory, niby spóźnio-



nej, wymagającej dalszego ciągu zabawy, potem sporadyczne prośby tego lub owego z dostojników. Ak-sajak, opiekujący się Durbinem, który był śpiewał o miłości, zaczął mu posyłać pocałunki w powietrzu i zaklinać głosem czułym:

„B'ül-b'ül, a b'ül-b'ül! Słowiku nasz! Dlaczego tak długo odwlekacie gorącą chwilę szczęścia naszego?!...“

Chłopak spojrział na mówiącego, odwrócił się, parsknął śmiechem i zaczął dzielić się uwagami swemi i krytyką ak-sakałów z resztą kolegów.

Nareszcie musiano wysłać delegację z pięciu najpoważniejszych ak-sajaków, aby skłonić personal baletniczy do ustępstw.

Dali się uprosić.

Rozpoczęli taniec, znów gęsiego, powolnem, rytmicznem zataczaniem koła, odrzucając nieco w tył i na obie strony głowy, a lekko zginając kolana; dłonie każdego uderzały jedna o drugą w takt, to znów prawa i lewa ręka kolejno przecinała z poważną gracyą powietrze, jakby naśladowując gest rozkazujący. Kilka razy zmieniali w ten sposób kierunek poruszeń swych rytmicznych w kole, cofali się wstecz, na prawo i na lewo, to znów posuwicie występowali w obu kierunkach naprzód, znów się cofali i znów sunęli naprzód. W miarę tego, jak tempa muzyki (lub bębnów) stawały się szybszemi, poruszenia tancerzy były szybszemi, energiczniejszemi, gorętszemi, koło rozwijało się w li-

nię prostą, po której, cofając się z wdziękiem na prawo i lewo, wracali i całą ławą gwałtownie kroczyli naprzód; wreszcie zakończyli szalonym wirem w kolo.

Po przerwie, wypełnionej śpiewem chóralnym, rozpoczęto taniec *morygi*, który jest trawestacją baletową wojennego tańca Turkmenów z mieczami. Tu, zamiast mieczów, każdy z tancerzy miał po dwie laseczki w rękę, podobne do batuty kapelmistrzowskiej, prawie dwa razy dłuższej. Pozycya, w jakiej stanęli do tańca, tworzyła piątkę w kartach do gry i każdy z czterech tancerzy, wirując jakby oberkiem, posuwał się na spotkanie swego *vis-à-vis*, a wszyscy razem krzyżowali się wzajem łukami, zataczając esy do koła środkowego, najstarszego baczy, który wirował na jednym miejscu. Ruchom tym towarzyszyły rytmiczne w takt muzyki uderzenia jednej o drugą własnych każdego pałeczek i tych ostatnich o pałeczki przeciwnika, a nadto i o pałeczki środkowego baczy, który musiał tak samo rytmicznie i z taktem odbijać ciosy każdego z czwórki, w tempie coraz to bardziej przyspieszonym.

Tańcowi temu, wykonywanemu (jak zresztą i poprzednie) stopami obnażonemi, rzadko który z innych w świecie tańców mógłby dorównać pod względem siły i ekspresji, połączonej jednocześnie z wdziękiem. A że wykonany był istotnie po mistrzowsku, a sympatye osobiste w wielką grę wcho-

dzily, cöz dziwnego, że obecni Bustańczycy, namiętni wogóle miłośnicy widowisk baletniczych, okazwali swe zadowolenie w sposób niezwykły. Gdy przy tamtych tańcach i w ciągu tego poprzestawali na uderzeniach w takt własnymi dłońmi, wtórując muzyce i tańcowi, lub na wykwintnych podziękowaniach, teraz w miarę finałowego rozwoju morygi, po westchnieniach lub okrzykach zapału, z niepokojem gorączkowym, ze wzrokiem płoną-cym, utkwionym w tancerzy, wpadli w ekstazę: zaczęli drżeć, dygotać, zrywać się z miejsc swoich, wyciągać ręce ku scenie, wstrząsać niemi gwałto-wnie, z szalonym, entuzjastycznym krzykiem, prze-chodzącym niemal w huczenie i wycie.

I sporo potrzeba było czasu, nim wzburzone fale zapału stopniowo się ukołysały, ucichły i przy-szły do równowagi — dla przyjęcia łodzi śpiewa-ckiej, w której dangaraczy, sterując *piano* sytara, zwraca się do stojącego obok baczy i nuci:

Tylko uśmiech — i nic więcej mi nie trzeba!  
Jeden tylko — i już więcej nie potrzeba —  
I nic więcej mi nie trzeba —  
I nic zgoła, nic na świecie nie potrzeba.  
I ty nie myśl, że mi trzeba:  
Nic nie trzeba!

Nie potrzeba!

Ale bacze okazuje się obojętnym na prośby jego, co więcej — odwraca się z niechęcią. Dan-



garaczy gniewnie uderza w struny i trelując śpiewa:

A, zły malcze! Ty myślałeś, że mi trzeba?

A mnie właśnie nie potrzeba —

I nic więcej mi nie trzeba —

I nic zgoła, nic na świecie nie potrzeba!

I ty nie myśl, że mi trzeba:

Nic nie trzeba!

Nie potrzeba!

Bacze zaczyna zwolna się nawracać i okazywać chęć pojednania. Ale dangaraczy już nie zwraca nań uwagi i, co gorsza, poczyną się gniewać:

Perłę w darze dać ci chciałem,

A już teraz nie potrzeba —

I nic więcej ci nie trzeba —

I nic zgoła, nic na świecie nie potrzeba —

I ty nie myśl, że ci trzeba:

Nic nie trzeba!

Nie potrzeba!

I tam dalej i tam dalej. Bacze staje się coraz łaskawszym, miłszym, uprzedzającym, a dangaraczy coraz więcej naigrawa się i wylicza dary, jakie chciał mu złożyć w upominku, ale teraz nie potrzeba, nic nie trzeba, nie potrzeba.... W końcu chłopak przestaje na tem, że sam pragnie tylko uśmiechu dla siebie, ale nie dostanie: nic nie trzeba, nie potrzeba...

Pora była spóźniona. Powstaliśmy z p. Józefem,

z miejsc swoich i poczęli żegnać się ze starszyzną, dziękując im za gościnę i zabawę.

„Dokądże, tōri? Dokądże Wasza Dostojności? Proszę, zaszczyćcie nas dłuższą obecnością!“ — prosił ten i ów z naleganiem, stosownie do etykiety.

— „Alla razy bulsan! Dziękujemy, bardzo wdzięczni za wszystko: „już nam więcej nic nie trzeba!“ — dziękowałem, parafrazując z uśmiechem motyw tylko co słyszanej piosnki.

„I nie zgoła, nic na świecie nie potrzeba!“ — dodał p. Józef, akcentując jeszcze dobitniej parafrazę.

Przenocowaliśmy w zajeździe, a nazajutrz zamieniliśmy wedle zwyczaju upominki ze starszyzną i, wręczywszy dary baczom, powróciliśmy do Bucharj.

## NA STEPACH MONGOLSKICH.

---

Wszystkie trzy wielbłądy i oba muły karawany zostawiliśmy z Suniuczczanami w jarze, a samowtór, od pół godziny wysforowawszy się bachmatami naprzód, tropiliśmy szlak stepowy wśród grobowej do koła ciszy, przerywanej jeno chrzęstem suchych badyli pod kopytami końskimi.

„Nimbo!“ — rzeknę, zapragnąwszy głosu żywego wśród tej niemoty odwiecznej. — „koń mi się potyka już oto po raz trzeci—niedobra wróżba; czy wody i ognia dostaniemy na nocleg?“

Mongol zmrużył oczy ukośne, wciągnął całemi nozdrzami powietrze w siebie, a później parsknął tak mocno, że oba bachmaty strzyc zaczęły uszyrna; brudnawo-rubinowy jakby krwawy promień zachodzącego słońca wrześnieowego zaigrał na chwilę z żółtymi, zwieszonymi na dół wąsami Nimba i zesliznął się po jego szarej kapocie baraniej ku ziemi, gubiąc w niej resztki dnia stepowego.



— „A-ja!“ — odrzekł, jeszcze raz kichnąwszy, — „będzie obojga więcej niż potrzeba; *Tenri*<sup>1)</sup> jest miłosierny i dla wilków suniuckich!“

I znów milczenie, znów cisza dokoła. Od strony jarów poza nami przesunął się powiew lekkiego wiatru, podnosząc słaby tuman kurzu na szlaku, deptanym przez karawanę. Łodygi burzanów i traw zeschniętych zakolysały się i zaszeleściały niespokojnie, potrącone czy tym powiewem wiatru, czy skokiem lisa, który, zoczywszy nas, zatrzymał się na chwilę ostrożnie i pomknął jak strzała ku zachodowi. Od pochyłości widnokregu podnoszące się ciemne, gęste obłoki wezbrały w ciężkie opony chmur czarnych, złowrogich, sunących ku sobie zwolna a groźnie od północy i południa, przepołowione brudnymi płatami brązowego refleksu nieba zachodniego lub złotawem migotaniem błyskawic dalekich.

Od tej gotującej się walki żywiołów u góry posępnie i grobowo odbijała owa cisza cmentarna u dołu wśród bezbrzeżnego oceanu stepowego. Byliśmy o dwa tygodnie drogi na północ od wielkiego muru chińskiego, dzielącego nas od mrowiska ludzkiego. Poza sobą zostawiliśmy zielone chanaty czakarskie, geszechteńskie, karacyńskie, ortuskie, z pławiącemi się w ich trawach szmaragdowych tysiącznemi stadami koni, owiec, bydła ro-

---

<sup>1)</sup> Bóg.

gatego, wielbłądów, z ich krociami namiotów, z ich milionowemi hordami pasterzy i wojowników, z panującymi nad nimi boszchanami, chanami, czuandami i t. d. Przed nami oto jeszcze dzień czy dwa dni drogi zielonego chanatu suniuckiego, a tam dalej straszna pustynia piaszczysta *Szamo* lub *Kobi*, ciągnąca się przez dwa miesiące drogi; na niej — jak mówią ludzie Wschodu — żadnej nie spotkać istoty żyjącej krom Stwórcy. A za nią, jeśli wam się uda przedrzeć przez pasma gór nagich i dotrzeć do Kara-Korumu, starej rezydencji władcy świata, Czyngis-chana, ockniecie się znów wśród stepów zielonych Chalchasu z jego czterema monarchami naczelnymi i ośmdziesięciu czterema sztandarowymi *boszchanami*, z jego wreszcie nieśmiertelnym wielkim Łamą Gison-Tambym, rzucającym tak wielki cień mongolski na chiński tron syna nieba w Pekinie!

Dokoła — jak okiem zajrzeć — bezmiar grobowy: ani jednego siedliska ludzkiego, ni lotu ptaka, ni nawet głosu świerszcza polnego. Dopóki wesołe światło słońca złościło ten majestat bezbrzeżny, stąpałeś dumnie po ziemi strasznych niegdyś władców świata: byłeś dumny albo siłą ich przeszłości, albo wielkością człowieka. Teraz z rozpościerającym się cieniem pomroki nocnej pierzchła nieśmiertelność dumy, aby tem większą nieśmiertelnością nicości otoczyć samotną istotę ludzką. Wobec tej niemej, pustej, szarzejącej bez końca otchłani

czuje się całą słabość, całą bezradność jednostki ludzkiej, dla której wszystko znika na ziemi, nawet nadzieja.

A jednak...

Drgnąłem.

Czyżby tu jeszcze był ktoś, potrzebujący pomocy ludzkiej, pomyślałem sobie, gdy usłyszałem płynące gdzieś z powietrza dwa żalosalne jęki jakby konających ludzi, to urywane raz po raz, to przeciągłe i zlewające się razem w jedno, pełne skargi i żalności westchnienie: ju-u-u-a-a-n — ja-a-a-n-n-g.

„Nimbo, to głos konających“, — szepnąłem do Mongola.

— „A-ja, konających“, — odrzekł, przysłaniając ręką oczy, wzniesione ku obłokom.

„Na Boga, co to jest? Śpieszmy z pomocą! Gdzie są ci nieszczęśliwi?“

— „*Juan-jang*, niedaleko musi być staw lub mokradło“, — i wskazał ręką w górę, gdzie mocno wyteżonym wzrokiem dojrzeć można było przelatujących dwu ptaków.

*Juan-jang* wielkością i kształtem przypomina kaczkę dziką, ale ma dziób niesplaszczony a okrągły; głowa jego rudawa w centki białawe, a ogon czarny, reszta zaś upierzenia żywej barwy purpurowej. Krzyk jego ma coś w sobie smętnego i melancholijnego; nie jest to śpiew, ale raczej westchnienie częste i przeciągłe, przypominające do złudzenia jęk skargi człowieka cierpiącego lub bolejącego.



Ulubioną siedzibą tych ptaków mokrzadla i błota, nad którymi lub w których pobliżu zwykle się unoszą, trzymając się zawsze pary. Małżeństwo takie nigdy się nie rozstaje; jeśli jedno odlatuje, natychmiast drugie zrywa się z miejsca i towarzyszy mu wszędzie; wbrew małżeństwom ludzkim — umierający nie pozostawia długo połowy drugiej we wdowieństwie: zanika ona i zamiera z bólu i tęsknoty. *Juan* jest nazwą samca, *jang* — samicy, *juan-jang* — wspólną nazwą ptaka.

Głuchy łoskot gromu rozległ się echem dalekiem na kresach południowych widnokregu, a silny rzut wiatru zawył żalśnie po stepie, wzbiwszy tumany kurzu piaszczystego na szlaku; czarne, kłębiące się chmury zasnuły całą północną i południową połać nieba, śląc ziemi błyski długie, przeciągłe, to znów migotliwe, urywane, ale zalewające krainę stepową blaskiem topazu, pławiącego się w złocie i rubinach. Przy świetle jego wyteżaliśmy wzrok daleko przed siebie, ażali nie dojrzymy choćby słabego śladu koczowisk ludzkich, gdzieby się można przytulić i rozbić namiot bezpiecznie. Wszędzie pusto i bezludnie. Przemknęło tylko parę lisów i tyleż dzikich kóz żółtych, kryjąc się z pośpiechu w legowiskach swoich przed nadciągającą burzą.

Parę ciężkich, grubych kropel deszczu spadło nam na twarz, a jednocześnie usłyszeliśmy za sobą przyśpieszony tętent jeźdźca. Zapewne byłby przeleciał mimo nas, gdybyśmy się mu nie odsło-

nili w świetle nieustających błyskawic. Zwrócił konia w galopie ku nam, osadził na parę kroków i, jako grzeczny nawet w nocy Chińczyk, pozdrowił nas uprzejmie, zapytał, zwracając się ku mnie:

„Nad jaką krainą pozwoliłeś przejść swemu cieniowi dobroczynnemu?“

— „Jedziemy z Pekinu, a w ostatnim tygodniu przeszliśmy przez ziemię czerwonego sztandaru czakarskiego“.

„Gdzie wasza ojczyzna?“

— „Jestem z pod nieba zachodniego.“

Chińczyk przysunął się bliżej i, widząc niecierpliwiące się wierzchowce nasze, rzekł, ruszając z wolna obok nas:

„Pozwól iść obok twego cienia!“

— „Proszę, bardzo proszę, uczyni nam ten zaszczyt i bądź jaśniejszym przewodnikiem od błyskawic!“

„Słowa twoje jasne i czyste jak słońce, ale niegodne mnie... To wasza śnać karawana ciągnie stąd niedaleko?“

— „Nasza“.

„Zostawiłem im mego człowieka z handlu, doprowadzi ich do koczowiska Mongołów, gdzie ja właśnie handluję, a które stąd niespełna o godzinę drogi obozuje“.

— „Ah...!“ — wyrwał się okrzyk radosny z piersi

mojej — nie wiem, za co ci bardziej być wdzięcznym: czy za wieść radosną, czy za czyn twój szlachetny“.

„Niegodny jestem wdzięczności brata starszego. Wszyscy ludzie są braćmi, nieprawdaż? Ale syn narodu centralnego z ochotą służyć winien braciom obcym z pod nieba zachodniego. Radzę wam wszakże powrócić do karawany, złączyć się z nią i śpieszyć do koczowiska przed upadkiem nieba na step“.

— „Wszakże razem pojedziemy, nie odmówisz nam i nadal swego cienia dobroczynnego?“

„Towarzyszyć on wam będzie zawsze życzeniem spokoju w drodze, ale śpieszyć muszę, by zawczasu rozbić namiot, który zostawiłem wczoraj zwinięty, a który może i wam się przyda. Zresztą — dodał, wskazując na jadącego o kilka kroków naprzód Ninbę — wilcze ślepie tego Cauta-dze<sup>1)</sup> zaprowadzą bezpiecznie brata starszego...“

Nimbo snadź posłyszał miły dla niego komplement, bo zaczął kłąć mručeniami, ale słowa jego przerwał ogłuszający grom piorunu, który niedaleko padł z taką gwałtownością i wstrząsającym powietrze hukiem, że aż się zachnęły bachmaty nasze. Chińczyk spał konia i, pożegnawszy się pośpiesznie, pocwałował w kierunku północnym. My zaś, słuchając rady jego, nawróciliśmy wstecz, aby

---

<sup>1)</sup> Mongoł obrzydliwy, cuchnący, — tą nazwą pogardliwą nazywają często Chińczycy Mongołów.



się połączyć z własną karawaną, którą też niebawem ujrzelśmy przy nieprzerwanym świetle błyskawic.

Połączenie się nasze i pierwszy wspólny pochód naprzód nastąpiły wśród piekielnego łomotu piorunów, jakby kanonady stu dział, połączonej z trzaskiem rozdzierającego się łona ziemi. Towarzyszyła im ulewa nagła, gęsta, gwałtowna, rozwartych upustów nieba, które formalnie — mówiąc słowami Chińczyka — spadało na step, tworząc między nim a sobą jedną ścianę wody, zalewającej grunt pod naszymi stopami, wstrzymującej oddech w piersi, bijącej w głowy siłą niewstrzymanego niczem wodospadu.

Mogliśmy podążać naprzód, a raczej wlec się tylko powoli krok za krokiem, a to ze względu na ciężkość sukni naszych, przeładowanych wodą, ze względu na ciemności, nie pozwalając oryentować się po drodze, na której co krok wyboje, bajury i jamy groziły upadkiem, a przedewszystkiem ze względu na wielbłądy, które śmiało stąpają po suchym, czy nawet skalnym gruncie, ale traciły pewność siebie w błocie i wodzie, ślizgały się chwiała, ostrożnie i lekliwie stawiając swe łapy, zatrzymując się często, a niekiedy z drżeniem odmawiając posłuszeństwa w dalszym pochodzie.

Uragan wiatru zagwizdał jękiem roznośnym po stepie, zwalniając, następnie wstrzymując gwałtowność deszczu, a sprowadzając natomiast grad

gęsty i gruby, który siekł nas z taką mocą, że łącznie z impetem wiatru z nóg nas zwałal. Zeskoczyliśmy bowiem byli na ziemię, zniewoleni wypadkiem, przykrym w takiej przeprawie. Jeden z wielbłądów, nawet nie najslabszy, pośliznąwszy się o bryły lodu gradowego w jakimś wyboju, zachwiał się i runął na ziemię całym ciężarem olbrzymiego cielska, spotęgowanym brzemieniem przygniatających go juków. Wielbłądnicy i mulnicy zaczęli go nawoływać do powstania, ale ich nie słuchał; szczypano go w nos, napróżno. Wreszcie jeden ciągnął całą siłą za powróż, uwiązany do nosa wielbłąda, dwaj inni podważali drągami jego ciało, a czwarty silnymi ramiami pręta żelaznego okładał jego nogi tylne; nic nie pomagało: biedne bydlę wydawało krzyki przejmujące, bolesne i przeciągłe, wyciągało naprzód długą szyję, krew mu się z nozdrzy sączyła strumieniami, a całe ciało spocone drżało konwulsyjnie, o powstaniu jednak mowy niebyło. Parę razy jeszcze ponawiano takie same usiłowania — ze skutkiem jednakim: wielbłąd dostał tylko wymiotów i większej drżączki, ale z miejsca nie ruszał. Położenie nasze stawało się z każdą chwilą przykrzejszem; straciliśmy tyle czasu, zziębnięci i zgłodzeni wśród zapadającej coraz głębszej nocy, smagani drobnym ale ostrym śniegiem, zmieszany z krupami. Pozostawać tu dłużej bez ognia, pożywienia i możności rozbicia namiotu było niepodobieństwem. Zdjąwszy więc juki z leżącego wielbłąda

i rozdzieliwszy je częściami na muły i konie, postanowiliśmy pozostawić bydłę jego własnemu losowi, zabezpieczając je jako tako na noc. Poświęciwszy znaczną część zapasów naszych słomy, podaliśmy mu ją pod boki i okryliśmy tak samo z wierzchu, ułożywszy przed pyskiem trochę siana i owsa. Cieszyliśmy się nadzieją, że w takim stanie potrafi przetrwać do jutra, a nazajutrz — jeśli go nie pożrą w nocy dzikie zwierzęta — przybędziemy z noclegu i zabierzemy napowrót.

Tą myślą kierowani, pozostawiliśmy wiernego towarzysza kilkutygodniowej podróży w miejscu jego upadku, a sami wyruszyli dalej w drogę.

Inne dwa wielbłądy nie mogły iść same, należało je z konieczności prowadzić przewodnikom. My zaś niedowierzaliśmy własnym nogom na tej błotnistej pełnej niespodzianek ślizgawicy i woleliśmy powierzyć siebie instynktowi koni i mulów: jechaliśmy wierzchem, co skądinąd niemniejszą sprawiało nam przykrość od upadku w błoto. Dopókiśmy szli piechotą, a zwłaszcza dopókiśmy się mitrężyli przy leżącym wielbłądzie, ruch, jakiego każdy z nas zażył przy tej sposobności, rozgrzewał krew naszą i znośnem czynił zimno zewnętrzne. Teraz, po tylu wysiłkach, skazani na względny spokój i bezczynność na grzbietach koni i mulów, uczuwaliśmy coraz dotkliwiej chłód dojmujący i dreszcz, który przeszywał ciało na wskrós aż do szpiku kości, wprawiając je w stan drżączki



niespokojnej, gdy nogi i ręce kostniejące stawały się bezwładnymi i odmawiały dalszej posługi.

W tym stanie, który pogorszał się z każdą chwilą, przetrwaliśmy ze trzy godziny, napróżno wyglądając przyrzeczonej przez Chińczyka niedalekiej obecności koczowiska mongolskiego. Zaczynaliśmy już tracić wszelką nadzieję odszukania jego, pewni będąc zmylenia tropu, mimo że szaruga już była ustała, a niebo poczęło się obnażać zwolna z opon swych chmurnych i odsłaniać małe połaci gwiazd, słabo skrzących. Naraz z piersi owego drugiego, zostawionego w karawanie naszej warkoczowego handlarza wyrwał się okrzyk radosny:

„*He-szui, He-szui!* Dolina Czarnych wód!“

Teren stepu, przez który ciągnęliśmy, na przestrzeni paru godzin drogi, wznosił się nieznacznie coraz wyżej i w tem miejscu, dosięgnąwszy najwyższego punktu, zniżać się poczynił, tworząc falowatą powierzchnię gruntu, szereg garbów o spadku dość łagodnym, pomiędzy którymi zapadło kilka jedna za drugą dolin, przypominających t. zw. *bałki* stepów czarnomorskich. Wjeżdżaliśmy właśnie na pierwszy grzbiet jednej z takich bałek, na której grzbiecie przeciwniegiem zamajaczyło kilka czy kilkanaście bardzo słabych i bladych światełek, jakby pochodzących z ognisk koczowiska. Dziwnem mi się wszakże wydało, że światełka te, ściesznione w dwójki, żywo migotały i ruszały się wciąż dwój-

kami to w kierunku poziomym, to pionowym, lub wstrzymane nieruchomo stały w jednym miejscu.

Gdy Chińczyk po raz drugi powtórzył swój okrzyk radosny, Nimbo, biegly w rozpoznawaniu zjawisk stepowych, poskoczył ku niemu, a szarpnąwszy go gwałtownie za warkocz, syknął:

„Cicho, ty jucho pekińska: jak to widać zaraz żeś ty *Kitat* <sup>1)</sup>!“

A zwracając się do mnie, szepnął:

„To wilki!“

I pędem pomknął ku wielbłądom.

Niespodzianka ta o tyle mniej była miłą dla nas, że nie czuliśmy się na siłach do stawienia różnego oporu stadu, które składało się z sześciu lub ośmiu do dziesięciu sztuk zwierząt, znanych tu z zaciekłości większej, niż gdzieindziej. Ścigane i tępione zawzięcie przez Mongołów, wilki te rzadko się tu pojawiają, ale może wskutek walki, im wytaczanej, taką pałają nieprzyjaźnią ku rodzajowi ludzkiemu i tak szaloną odwagą, że wpadają do koczowisk i porywają ludzi, a ocknąwszy się wśród pasanego stada owiec lub bydła, omijają często zwierzęta, a rzucają się na pastuchów.

Odległość kilkuset kroków, dzieląca nas od nich, zmniejszyła się zapewne o połowę od czasu ich ujrzenia, bo i my postąpiliśmy naprzód staj parę, i one poskoczyły ku nam w kilku potężnych su-

---

<sup>1)</sup> Chińczyk.

sach, jak to widać było po gwałtownem migotaniu ogników—ślepi. Poskoczywszy tak jednak, całe stado zatrzymało się w jednym miejscu nieruchomo, utkwivszy ślepie swoje w karawanę naszą, jakby mierząc siły przeciwnika i gotując się do walki ostatecznej. Jedna chwila, a straszne czekało nas natarcie w gotującym się z ich strony skoku. Czasu nie było do stracenia. Zrzuciłem szybko welniane rękawice z rąk, a zapewniwszy się, że jatanagan wisi mi u boku, olstry zaś od rewolwerów odpięte, pochwyciłem z ramienia winczesterkę, wskoczyłem na konia i stanąłem w jednym szeregu z mulnikami. Nimbo tymczasem, wydawszy rozkazy wielbłądnikom i podprowadziwszy ich z wielbłądami na jedną linię z nami, stanął przy nich i zaczął im pomagać w szybkim wykonaniu planu taktycznego, które przygotowało wielką niespodziankę dla naszych nieprzyjaciół. Taktyka ta polegała na tem, że jednego wielbłąda jęto forsonie szarpać za kółko metalowe, wiszące mu w nozdrzach, a drugiemu nacierać takim samym kółkiem z niemniejszą forsą nos i pysk jego. Operacya ta nad miarę bolesna dla nich wywołała z ich strony krzyk tak donośny i przeraźliwy, że kiedy składałem się do strzału, wilki uczyniły zwrot nagły i w szalonym popłochu jęły co żywo umykać z placu. Zadowoliliśmy się tylko posłaniem im na pożegnanie jednej kulki winczesterskiej i dwu strzał, wypuszczonych z łuków mulniczych.



Uwolnwszy się w ten sposób od nieproszonych towarzyszy podróży, przeszliśmy raźnie pierwszą bałkę i po kilku minutach ocknęli się na garbie drugiej, z kąda już dostrzec mogliśmy szarzejących licznych namiotów koczowiska mongolskiego doliny Czarnych wód.

Mimo pory spóźnionej niezwykle ruch panował w obozie. Z poza odsłoniętych w wielu namiotach opon biło światło roznieconych ognisk, przy których migotały postaci ludzkie, bądź wychylające się z wnętrza i spozierające w przestwór doliny z przysłoniętymi nad oczami dłońmi, bądź wskakujące na konie i pędzące w różnych kierunkach po przez całą dolinę obozu. Mimo nas też przemknęło kilku jeźdźców z dzikim wizgiem i wraskiem, w pędzie szalonym pochyłonych głowami poniżej karków końskich, jakby wzrokiem przebieg chcieli szary mrok nocy, z wyciągniętymi w prawicach arkanami.

„Ścigają, Nimbo?“ — zapytałem harującego obok mnie z niecierpliwością Mongoła.

— „Ścigają; przydałaby się skóra...“ — mówił, zwracając ku mnie swój nastroszony i kudłaty łeb futrzany, a bachmatowi swemu dodając łydki, to znów wstrzymując go i szarpiąc mu niemiłosiernie cugle, tak, że narowisty a gorący z natury bachmat tańczył przy mnie jak panienka, zdradzając świerzbączkę swego jeźdźca do wzięcia udziału w pościgu za wilkami.

Była to niespodziana a forsowna oblawa na naszych niedawnych napastników, urządzona przez Mongołów z obozu, którzy, zaalarmowani naszym strzałem, zawczasu rozbiegli się na wszystkie strony, aby bądź zamknąć wilkom drogę do odwrotu, bądź ich dogonić i swoim zwyczajem pojmać je żywcem na arkany.

„Nie pójdziesz stąd,“ — przerwałem Nimbie — „przecie wiesz, że bez ciebie nie urządzimy noclegu; a i tak dostaniesz odemnie kilkaset sapeków za wczesne natarcie pysków wielbłądzich“.

— „A-ja, a-ja, co sapeki, to nie żywa skóra wilcza!“ — odmruknął z niezadowoleniem Nimbo, dając szczupaka w głąb obozu, aby tam wybrać właściwe i dogodne miejsce dla naszego namiotu.

Po pewnym czasie, kiedyśmy stanęli na miejscu wybranem, czuć jeszcze było rozdrażnienie Mongoła w wibracyi okrzyku, z jakim wygłosił donośnie:

— „*Sokk! Sokk!*“

Na komendę tę posłuszne wielbłądy w jednej chwili przykucnęły zgodnie ku ziemi, poddając ludziom swe bary do rozjuczenia.

Chińczyk, który przybłąkał się do nas, a raczej przydany nam był przed burzą, sprytny i układny, widząc we mnie człowieka obcego, zmiarkował snadź, że dobrze byłoby pozyskać sobie takiego przybysza, a może i wyzyskać, bo jał współzawodniczyć z Nimbą w rozporządzeniach przygotowawczych do urządze-

nia noclegu i nadskakiwać mi z niezmordowaną i godną podziwienia usłużnością:

„Pozweli Wielmożność starszego brata zsa-  
dzić siebie z konia? Tak tu mokro, a tyle znuże-  
nia doznało się w drodze. Nieprawdaż? O tak,  
o tak, wiem ja, co to znaczy podróż po tych nie-  
wygodnych stepach, tak różnych od wygod naszej  
wspaniałej stolicy. Wszak zapewne i pod niebem  
zachodniem lepsze są wygody. O tak, o tak, wiem  
ja, słyszałem o wygodach Europejczyków“.

— „Ależ dziękuję starszemu bratu; wszakże star-  
szy brat sam jest znużony i zapewne zirytowany  
spotkaniem niemiłym wilków“.

„O nie, o nie, to bagatela“, — zapewniał Chiń-  
czyk, usiłując zatrzeć rozmową historię niemiłą  
z warkoczem swoim, — „bynajmniej, wcale nie;  
my ludzie pracy przywykliśmy do różnych nie-  
wygód“.

„Hej, wy, hola tam!“ — wołał dalej bez znu-  
żenia do zbliżających się ku nam Mongołów z ko-  
czowiska. — „Cóż to? niema tam nikogo między  
wami, aby pośpieszył z uprzątnięciem przeszkód  
na przyjęcie dostojnego męża z pod nieba zacho-  
dniego? Hola, czy wiecznie macie być barbarzyń-  
cami!...“

— „Czego się tu tak rozbijasz, mokra kuro  
pekińska!“ — odtrącał go ze złością Nimbo, któ-  
remu raczej przeszkadzał niż pomagał w przygo-  
towaniach.



„Jak to widać zaraz, żeś ty nie składał żadnego egzaminu w szkołach! Wszyscy ludzie są braćmi — nieprawdaż, panie? — ale jedni postępują tak, drudzy owak, jedni mają oglądę, drudzy surowość obyczajów; wszak tak, ludzie z pod nieba zachodniego mają oglądę?“

„Wiele i u nas zależy od towarzystwa, wykształcenia i dobrego przykładu“.

„Wybornie, przewybornie, tak, tak, wiele zależy od wykształcenia, ale się nie dziwić, że tego brak tym biednym Cau-ta-dzym“ — dodał, zbliżając mi się do ucha.

„Ach, jak mokro starszemu bratu, jak łatwo się zaziębić!“ — pytlował dalej językiem bez znużenia, dotykając jedną ręką sukni moich, a drugą otrzepując mi je chustką fularową, jak gdyby wilgoć, którą były przesycone suknie, można było otrząsnąć jedwabiem powiewnym.

Mongolowie tymczasem, raźnie uwinąwszy się bez żadnego hałasu, urządzili znośny, a nawet wygodny nocleg. Miejsce, przeznaczone na namiot, okopali rowem, odprowadzili wodę, wilgotny grunt ścięli, przysypali grubą warstwą słomy, okładając jej wałkami całą stronę dolną namiotu, który rozpięli mocno, dzieląc na dwie połowy: jedną przeznaczoną dla mnie i Nimby, drugą — dla reszty ludzi z karawany, przy których umieszczono nasze konie i zwierzęta juczne. Wewnątrz namiotu porobiono niby sofy z przykryciem skór i kobierców,

a po środku na usypanym suchym żwirze i grubej warstwie ubitego popiołu nałożono suchą *argole*<sup>1)</sup> i szybko rozniecono ognisko, dymiące wprawdzie, ale wprowadzające ciepło i ogień ożywczy, tak potrzebny dla nas.

Na ogniu rozwieszono sagan z wodą. Gdy jednak przyszło do gotowania herbaty, okazało się, że cały zapas jej wraz ze skrzynką, którąśmy wzięli z Pekinu, zagubiono: musiała gdzieś wypaść z juków przy rozjuczaniu owego wielbłąda w błocie. Strata to była dla nas niepowetowana. Obecny przy tem komisant chiński, który się wciąż uwijał w namiocie jak gęś szara i rozpakowywał tłumok mój z bielizną suchą, starał się pocieszyć nas po swojemu:

„Jaka szkoda“, — mówił z ubolewaniem — „że dotychczas niema mojego pryncypała! Ma on herbatę przednią z Chan-kioi i Fu-czeu-fu; byłby służył nią starszemu bratu. Pobiegnę, dowiem się, ażali nie powrócił, a wy tymczasem — dodał, zwracając się do naszych ludzi, — zgotujcie dla siebie *pan-tan!*“

I wybiegł z namiotu.

Przyrządzono *pan-tan*, czyli po prostu mąkę owsianą, rozbeltaną w ukropie, która przy okrasie z wędlin, przywiezionych przez nas, smakowała mi

---

<sup>1)</sup> Krowieniec i wogóle nawóz bydłocy wysuszony, jedyny opał, jakiego używają na stepach.

w owej chwili bardziej od najwykwintniejszej zupy europejskiej gdzieindziej. Madere, bordeaux i szampan razem zastąpiło nam wyborne wino mongolskie — *kumys*, którego przyniósł mi w kamionce poważny Mongol z obozu, widocznie jeden ze starszyzny koczującego tu plemienia suniuckiego, bo się przed nim wszyscy z uszanowaniem rozstępowali po drodze:

„*Mendu!* Niech pokój towarzyszy twemu pobytowi wśród nas!“ — mówił, podnosząc na znak powitania obie ręce złożone do czoła; a biorąc od towarzyszącego mu wyrostka parę kamionek i stawiając je u wezłowia łoża mego, dodał:

„Nie pogardzaj skromnym darem stada naszego i oby cień twój dobroczylny rozpościerał jak najdłużej szczęście w obozie naszym!“

Powstawszy dziękowałem mu z szacunkiem i życzliwością, prosząc, aby raczył usiąść przy mnie, ale przyłożywszy ponownie ręce do czoła, pożegnał się, tłumacząc mi, iż wie, jako potrzebuję spokoju i wywczasu.

Dowiedziałem się później, że on to był jednym z duchów opiekuńczych, które czuwały nademną i kierowały przygotowaniem do mego noclegu.

Kamionkę z kumysem włożono w popiół ciepły ogniska i po chwili wyborny musujący napój rozgrzewał i orzeźwiał skrzeplę i znużony organizm.

Nie na tem jednak był koniec uczy. Rychło nadbiegł Chińczyk z cegłą herbaty mongolskiej,



ofiarując mi takową z tuzinem nieodłącznych komplementów, a w zamian za nie nie pogardził przyjęciem sowitego wynagrodzenia w sapekach brzęczących.

Pokruszywszy kawałek tej cegielki, zagotowano go w kociołku aż do czerwoności, poczem wrzuciono grudkę soli, zagotowano wrzątek raz jeszcze, a gdy płyn ściemniał, dolano doń mały skopek mleka i mieliśmy rychło wszyscy po kilka dużych czarek napoju sycącego, stanowiącego najpierwszy przysmak mongolski, który nie usprawiedliwia wprawdzie smakiem dawanej mu nazwy herbaty, ale może tak dobrze zastąpić pierwszą lepszą zupełną, jak każdy inny surogat.

Przejsście nagle z atmosfery zimnej do ciepłej, przesyconej dymem argolów i oparem saganów, — te płyny bądź toniczne, bądź jak kumys i herbata podniecając z początku w sposób zdradziecki, a następnie rozmarzając, ciężyły powiekom jak olów. Snu jednak zażyć niepodobna było. Poza namiotem naszym w obozie rozlegał się znów tętent kopyt końskich, hałas i krzyk ludzki, połączony z rżeniem duszących się zwierząt. Nimbo wbiegł rozpromieniony do namiotu, wabiąc mię i nagłąc do wyjścia... To jeźdźcy mongolscy wrócili z pościgu za wilkami, wlokąc za sobą na arkanach zdobytych niepoślednią — trzy wilki żywe z owego prawdopodobnie stada, które nam stawilo czoło na grzbiecie pierwszej balki.

Trafiłem na tę chwilę tryumfu, kiedy pośrodku obozu rozpalono wielkie ognisko i przy niem rozłożono pokotem wszystkie trzy trofeje łowieckie. Każdemu z wilków zakneblowano pysk, związawszy mu go powrozem z sierci wielbłądziej, którego dwa końce przymocowano do dwu kołów drewnianych, wbitych w ziemię w kierunkach przeciwnych. W taki sam sposób każdą łapę przytwierdzono również do ziemi, tak szczelnie i mocno, że wilk ani drgnąć nie był w stanie. Rozpoczęła się operacya zdzierania żywcem skóry. Do każdego zabrano się po dwu Mongołów, z których jeden przytrzymywał wilka, a drugi, z ostrym kozikiem w ręce, przeprowadzał skalpowanie. To odbywało się dość szybko i wprawnie: jednemu z wilków rozpoczynano skalpowanie od tylnych części, dwu innym od łbów. Z początku wilki zachowywały się spokojnie, potem zaczęły chrapać i rzeżeć, a kiedy po ściągnięciu kawałka sporego skóry, oprawca jednemu z nich zgrzebnął kozikiem płat warstwy tłuszczu i ten odrzucił w ogień, gdy buchnął płomień, a tłuszcz w nim zaskwierczał, ślepie wilka nabiegły krwią, zęby zacisnęły się i wpiły w mięso pyska tak gwałtownie, jak gdyby miały je na wylot przebić i potoczyła się zeń piana, z krwią zmieszana; dwa inne wilki, szarpnąwszy się, ryknęły głosem konwulsyjnym, stakatowym, po którym nastąpiło charczenie i wycie tak straszne, tak okropne, że włosy mi się na głowie je-

żyły, a w uszach świdrem kręciło. Setka psów obecnych w obozie, z wielkim wysiłkiem powstrzymana rękoma otaczających ogniska Mongołów, wtórowała wyciu wilczemu własnemu wyciem, warczeniem i szczekaniem długim a przeciągłym, które się zlewało razem we wrzawę piekielną, zagłuszając donośny gwar ludzki.

Cała operacja nie trwała nawet kwadransu, potem część Mongołów ustawiła się — w kierunku wylotu obozowego ku stepom — w dwa szeregi z płonącymi w ręku żagwiami i pomiędzy nie puszczono zwolnione z uwięzi wilki, które w skokach szalonych pomknęły precz z obozu i znikły rychło w ponurej ciemności nocy.

.....

Nazajutrz zbudziła mnie muskająca fala świeżego, czystego powietrza, która płynęła od napół uchylonej opony namiotu. Otwarłem oczy i ujrzałem zaglądnącą mi do wnętrza namiotu nieśmiałą, na pół przechyloną poza oponę postać ludzką. Strumień światła zewnętrznego, wpadając przez otwór, igrał z żółtą barwą sukni tego wczesnego gościa, odsłaniał głowę ogoloną i twarz smagłą, młodzieńczą, ocienioną brwiami czarnymi, z pod których świeciła para oczu czarnych, lekko skierowanych w stronę moją, a jednocześnie posłyszałem głos stłumiony, o akcencie tybeckim:

*„O-mi-ta-fa! O-mi-ta-Buddhu!“*



A! — pomyślałem sobie — dobra wróżba: wysłannik nieba, lama.

On zaś, nie słysząc żadnej odpowiedzi, odezwał się ponownie z mongolska:

„*Amor!*“

— „*Mendu!*“ — odrzekłem — „bądź pozdrowion kapłanie Buddy, proszę do wnętrza!“

Lama, pochylając głowę, wsunął się do namiotu, prowadząc małego 10-letniego chłopczyka, który trzymaną w ręku miskę drewnianą z serem, masłem i jagodami, a przysłoniętą kawałkiem gazy, postawił przy łożu mojem.

„Stryj mój przez tego oto syna swego, a ucznia mego, pozdrawia was i prosi, abyś dostojnym cieniem swoim nie ominął namiotu jego; czekać cię będzie z herbatą“.

Tym stryjem lamy był właśnie ów Mongol poważny, który wczoraj był wyraził kamionkami kumysu czujność swą i troskliwość o mój spokój.

Po upływie pół godziny, załatwiwszy się z toaletą, wyszedłem z namiotu. Dzień był piękny i pogodny. Z jasnego błękitu słońce złoćiło dolinę, którą okrywały setki szarych namiotów z rojącą się wśród nich ludnością męską i niewieścią.

Z winczesterką, przewieszoną przez plecy, i z toporkiem w ręku dla opędzania się licznym a olbrzymim kundysom szedłem, poprzedzany przez Nimbę, w to rojące się mrowisko ludzkie, witany

prosto i otwarcie, bez ceremoniałów chińskich, przez grupujących się po drodze Mongołów, z których każdy zapraszał do swego namiotu. Dziękując za gościnność, uważałem za swój obowiązek przede wszystkim złożyć wizytę stryjowi łamy, Tokurze.

Namiot mongolski przypomina kształt cylindru szerokiego do wysokości połowy wzrostu ludzkiego, poczem u góry rozwija się i przybiera formę ściętego stołka albo umbrelki lampowej, której szkielet tworzą pręty lub krokwie drewniane, zachodzące jedna na drugą i ściśnięte u góry jak pręty parasola. Całość, okryta wołokiem albo grubą tkaniną wełnianą, ma u góry ruchomą klapę dla wypuszczania dymu, otwieraną i zamykaną powrozem, którego drugi koniec uwiązany u drzwi. Te ostatnie są prostym otworem zasłoniętym oponą grubą; wąski to otwór i niski z progiem u dołu drewnianym, czyli kłodą dość wysoką, tak, że wchodząc do namiotu, trzeba podnieść nogę w górę i jednocześnie pochylić głowę.

W ten sposób i ja też wszedłem, pozostawivszy przed namiotem toporek i całe swoje uzbrojenie; wchodzić do wnętrza przybytku Mongola z bronią lub kijem byłoby największą dla niego obrazą i brakiem wszelkiej ufności.

„Mendu! Pokój niech będzie z wami!” — rzekłem, pozdrawiając obecnych.

— „Amor! Mendu!” — odpowiedziało z poza

ogniska kilka głosów męskich i jeden niewieści, zapraszając mię dalej do wnętrza.

Postąpiłem dwa kroki naprzód w stronę lewą od ogniska: prawa przeznaczona dla kobiet i byłoby wielką nieprzyzwoitością skierowywać się w tę stronę; tam ich przybytek i tam też się mieszczą wszelkie przybory gospodarcze: wielka kadź czy urna z gliny palonej na wodę, pni drzewa wydrążonego w kształcie kublów na pomieszczenie różnych produktów nabiału. Poza ogniskiem i wielkim trójnóżkiem żelaznym, na którym wiecznie stoi (lub wisi) kociołek, bardziej ku stronie lewej stała stara kanapa, wykładana wojłokami i kilimkami, a obok niej jeszcze bardziej na lewo — rodzaj szafy kwadratowej, zawierającej w sobie szatnię i różne drobiazgi, służące do życia i ozdoby tego ludu skromnego. Wierzch szafy służył jako ołtarz domowy, na którym stał mały posąg Buddy z drzewa złoconego. Bóstwo było w postawie siedzącej, przykucniętej, z nogami na krzyż złożonemi i okutane aż do szyi kitajką żółtą. Przed niem symetrycznie ustawiono dziewięć małych czareczek mosiężnych, przeznaczonych na codzienną dla bóstwa ofiarę z wody, mleka, masła i mąki. Kilka ksiąg pobożnych w języku kościelnym, t. j. tybeckim, uzupełniało ozdobę tej pagody domowej. *Chara-humu*, mąż czarny, świecki, popełniłby świętokradztwo, gdyby swemi nieczystemi rękoma profana dotknął się tych świętych rzeczy; przywi-



lej to mężów o głowach golonych, t. j. lamów, poświęconych służbie bożej. A że każda rodzina, każdy namiot posiada swoją pagodę domową, musi więc mieć i dla obsługi jej swego łamę, będącego jednocześnie przedstawicielem inteligencji, przewodnikiem moralnym i nauczycielem młodego pokolenia. Są to lamowie t. zw. świeccy, różni zarówno od wędrownych, jak od klasztornych, chociaż na równi z jednymi i drugimi otrzymują wykształcenie i wyświęcenie w wielkich klasztorach budhajskich. Taki lama jest wyrocznią dla Mongola i cieszy się powszechnym szacunkiem. Rząd chiński, upośledzając własnych, chińskich bonzów, wielce proteguje lamów mongolskich; stąd w każdym prawie rodzie, w każdej niemal rodzinie jest własny lama, który składa oczywiście śluby czystości i bezżeństwa. Stan taki leży w widokach polityki chińskiej, która w ten sposób pragnie wstrzymać rozrost straszego dla niej szczepu mongolskiego. A że zbywający wskutek tego nadmiar liczebny kobiet marnowałby się i zeszedł na bezdroża, przeto Mongołowie, choć nie są Muzułmanami, popierającymi wielożeństwo, z natury rzeczy musieli je zaprowadzić u siebie, salwując w ten sposób względy etyczne.

Uzupełniały umeblowanie wnętrza namiotu liczne rogi koźle, umocowane do krokwi drewnianych, a na tych rogach wisiały ćwiartki wołowiny

i baraniny, pęcherze z masłem, obok kołczanów ze strzałami, luków i rusznic.

Posadzono mię po prawicy Tokury, który siedział naprzeciw ogniska. Było nas osób sześć w namiocie i każdy z obecnych, wydobywszy z zawieszonej u pasa torebki szczyptę tabaki do wachania, musiał nią częstować sąsiadów na prawo i na lewo ze słowami:

„Niech ci służy na szczęście i zdrowie!“

— „Czy pastwiska są tłuste i obfite?“ — zwróciłem się do gospodarza, rozpoczynając szereg zwykłych w takim razie pytań konwencyonalnych, zastępujących rozmowę o pogodzie w naszych towarzystwach.

„Jako tako, zawczesny tylko deszcz.“

— „A stada wasze w dobrym stanie?“

„W dość dobrym.“

— „Klaczę dobrą przyszłość rokują?“

„Wcale nie złą.“

„Spokój towarzyszył ci w drodze?“ — rozpoczął ze swej strony Tokura, zadając mi pytanie:

„Nad jaką krainą rozpościerał się twój cień dobroczynny?“ i t. d.

Po wymianie wzajemnej tego rodzaju myśli żona Tokury w milczeniu wyciągnęła rękę do każdego z gości po kolei i każdy z nas musiał podać jej własną drewnianą czarkę lub miseczkę, zawieszoną u pasa, które ona, napelniwszy je herbatą z mlekiem, zgotowaną w saganie na sposób wczor-

rajszy, podała nam napowrót. Jednocześnie przysunięto mi jako gościowi ze stron dalekich, którego chciano wyróżnić w sposób niezwykły. — masło, talarki sera, mąkę owsianą i proso prażone, a ułożone w drewnianych skrzyneczkach werniksowanych.

Biesiada rozpoczynała się na dobre, gdy ją przerwały niemile dla nas wieści. Najpierw wszedł koniuch Tokury z zawiadomieniem, że wilki w nocy zjadły kupca chińskiego wraz z koniem. Żał mi było tak grzecznego kawalera, który z wyszukaną galanterią chińską, nie bez życzliwości ludzkiej, wczoraj wśród groźnego rozpasania się żywiołów, dał nam zapomnienie osamotnienia naszego i czar uspołecznienia ludzkiego.

Minut kilka nie upłynęło od tej wieści, gdy wpadł do namiotu jeden z mulników naszych, krzycząc przestraszony, że mi skradziono bachmata mego.

W okamgnieniu wszyscy obecni w namiocie Mongołowie za przykładem gospodarza zerwali się na równe nogi i wybiegli do obozu.

Przyprowadzono przedemnie właściciela namiotu, w którego sąsiedztwie najbliżej był rozbity mój namiot, oraz stadko koni jego, składające się z pięciu sztuk i kazano mi wybierać najlepszego z nich jako wynagrodzenie za konia skradzionego. Odpowiedzialność taka sąsiada jest prawem zwyczajowem, którego wykonania ściśle przestrzegają



Mongołowie, z którego wszakże nie uważałem za rzecz godziwą korzystać mimo nalegań wszystkich zebranych, starszyzny i samego owego sąsiada. Pozostawiono sprawę w zawieszeniu i w oczekiwaniu wyników pościgu za złodziejem.

Jednocześnie z wydaniem rozkazu sprowadzenia owego 5 sztuk stadka sąsiedzkiego Tokura, zwracając się do naszych ludzi, zapytał:

„*Kitat* był między wami?”

— „Był”.

Tu opowiedziano, jak wyglądał, jak przyłączył się do karawany naszej, pozostawiony w niej przez nieboszczyka, zjedzonego przez wilki kupca, jak do północy nadskakiwał w namiocie z usługami itd.

„Gdzie *Kitat*?” — wołał groźnie Tokura.

Chińczyk ulotnił się jak kamfora.

Mongołowie spojrzeli po sobie i wnet kilkunastu z najbliższych przebywających wskoczyło na stojące w pogotowiu przy namiotach konie i rozlecieli się na wszystkie strony po obozie; to się zbierali w gromadę, to znów rozjeżdżali się w różnych kierunkach, pochyleni na kulbakach ku ziemi, po której sledzili wytężonym wzrokiem śladów jak najwprawniejsze wyżyły. Nareszcie zjechawszy się jeszcze raz w jedno miejsce, pocwałowali stamtąd w jednym kierunku w step.

„Chodźmy do namiotu! Wszystko zapowiada się dobrze: wpadli na trop” — mówił Tokura, zapraszając do przerwanej uczty.

Uczę wznowiono kumysem, a następnie największym specyalem, na jaki się zdobyć może Mongoł w przyjęciu gościa, — ogonem baranim.

Rozmowa z powodu podejrzenia o kradzież, spełnioną przez Chińczyka, weszła na tory stosunku Mongołów do narodu centralnego, za jaki się mają Chińczycy w stosunku do ludów, hołdujących cesarstwu niebieskiemu. Obecni nie szczędzili utyskiwań na przemyślność, podstęp i wytrwałość, z jakimi spekulanci chińscy, osiedleni w miastach Mongolii lub włóczący się po obozach i stadach, umieją eksploatować zbyt łatwowiernych synów stepu. Nie obeszło się bez jaskrawych wycieczek przeciwko władcom Pekinu i wspomnień z przeszłości, z czasów kiedy dzisiejsi panowie byli pod władzą potomków Czyngischana. Spokojne twarze Mongołów na to wspomnienie ożywiały się coraz bardziej; kiedy żona Takury podała *kuamien* — ciasto wyciągane na wzór naszego makaronu, a ja zapytałem, czy w Mongolii żyje wspomnienie o tej rzezi mongolskich załóg w Chinach, której hasło dali Chińczycy w XIV. wieku, posyłając sobie ciasto w dzień święta *Jue-Peng*, najstarszemu siwobrodemu Mongołowi, siedzącemu obok, zapalały oczy gniewem; podnosząc drżącą pięść do góry, zawołał:

„Nie wszyscy u nas pamiętają o tem święcie zdradzieckiem, które przerwało ciąg władztwa

naszego nad Kitatami. Ale nadejdzie dzień zemsty, zapisany w księgach naszych wielkich łamów: krew ojców naszych zostanie pomszczoną“.

Tokura, wtórując mu gestem, dodał:

— „A wówczas w obliczu słońca zażądamy od Kitatów rachunku za krew mongolską, którą rozlali w ciemności swych domów“.

. . . . .  
Po upływie trzech godzin powrócili Mongołowie z Nimbą. On prowadził mego bachmata, a oni wlekli związanego za ręce w tył Chińczyka i zdechłego wilka, jednego z tych, którego oskalpowano w nocy. Wystraszony i posiniały Chińczyk, spostrzegłszy mnie i na moje żądanie uczuwszy się zwolnionym z więzów, zwrócił się z brawurą i swadą do Mongołów:

„Hola, cóż to? Od jakiegoż to czasu krępować macie ludzi uczciwych, chcących wprawić do jazdy konia tego zacnego brata starszego, a naszego dostojnego gościa? Nieprawdaż, jesteście wszyscy braćmi i nie powinniśmy wzajem sobie krzywdy wyrządzać?“

— „Zapewne, że nie powinniśmy,“ — rzekłem z naciskiem.

„Przewybornie, ślicznie, tak, tak, dobrze powiedział starszy brat..“

I byłby się dalej rozwodził nad zasadami miłości braterskiej, gdyby mu Mongołowie nie przerwali gwałtownie. Wobec zbyt jawnych poszlak



kradzieży, dokonanej na gościu i cudzoziemcu, chciano go skazać sądem doraźnym na śmierć. Wobec jednak stanowczego z mej strony protestu i próśb ograniczono się na tem, że po wymierzeniu mu kary jego własną laską bambusową przywiązano mu wilka zdechłego do szyi i wygnano go haniebnie z obozu.

---

TA-CAU.  
SYLWETKA CHIŃSKA.

---

Dom Cung-luna w Pekinie, niedaleko wału tatarskiego — jak większa część domów zamożniejszych — ukryty poza murem ulicy, niczem nie zdradzał wykwintu swego za zewnątrz. Podziwiać to ustronie mogliśmy dopiero wtedy, gdy się furta za nami zamknęła i ocknęliśmy się w wielkim dziedzińcu, którego środkiem zwierciadliła się jasna i spokojna tafla sadzawki. Jedną stronę onej, wrzynając się półwyspem klinowym, otaczał ogród o dwu jeno drzewach wyniosłych, a zresztą zasadzony miniaturowymi krzewami, dzikimi i owocowymi, tudzież olbrzymiemi roślinami wazonowymi. Klomby i gazony, wijące się tu fantastycznie, zasiane były kobiercami kwiatów i poprzerzynane strumykami mikroskopijnymi, przez które poprzerzucane były takichże rozmiarów mostki bambusowe i marmurowe. Jedne z gazonów odświe-

żały się wodotryskami, inne znów polyskiwały malutkimi, o rozmiarach długiego stołu basenami wody, napełnionej mnogością pływających w niej rybek złotych i srebrnych.

Z drugiej strony sadzawki przylegał do niej dom mieszkalny, którego cały fronton środkowy kryła długa weranda, zniżająca się ku wodzie, a za pawilony krańcowe służyły dwa kioski o łamanych i wywiniętych dachach, podtrzymywane kolumnadą misternie rzeźbioną i przystrojone w ogromne latarnie rogowe, które lśniły jak zwierciadła, a przysłonięte były nieco po bokach draperiami jedwabnymi, haftowanymi w przepyszne wzory wschodnie. Ściany werandy składały się z papieru przejrzystego o rysunkach smoczyc „al giorno“ i ujęte w szereg ruchomych ram bambusowych, które mogły być dowolnie rozsuwanymi, zastępować otwory na okna i dawać przyływ powietrza świeżemu, lub zasuwane i chronić znajdujące się we wnętrzu werandy rośliny egzotyczne od zimniejszego powietrza wiatru; a mimo to dawały przez papier przejrzysty tyle światła, że w dzień słoneczny byłoby nawet rażącym, gdyby go w razie potrzeby nie przysłaniano lekkimi portyerami jedwabnymi.

W chwili gdy, okalając sadzawkę, zbliżaliśmy się do werandy, w jednym z kiosków ujrzeliśmy 14-o lub 15-letnią panienkę w otoczeniu kilku kamerystek, z których jedna zabawiała ją muzyką.



„Córka pana domu!“ — szepnął nam przewodnik, odwracając wzrok swój od niej i kierując go ku kioskowi przeciwległemu.

Miała na sobie płaszczyk z ciężkiej makaty, osłaniający całą jej postać; widzialną była zaledwo połowa jednej nóżki, wysuniętej z pod płaszczyka i opartej na poduszeczce, a tak nikłej, że ją śmiało zaliczyć godziło się do klasycznej skali chińskiej lilii złotych<sup>1)</sup>. Główkę ocieniał kapelusz w kształcie dzwonu, ubrany gęsto kwiatami sztucznymi, które stanowią słabą stronę kobiety chińskiej, zarówno młodej dystygowanej i arystokratycznej pani, jak starej żebraczki, któraby bez nich nie odważyła się wyjść na ulicę. Panna Lunówna, trzymając w jednej ręce wachlarz, a w drugiej pęk świeżego kwiecia tuberozy (symbolu namiętności w pojęciu europejskiem!) patrzyła na nas spokojnie i śmiało, jakby jej wcale nie dziwił widok „barbarzyńców“ europejskich. Jenó, gdyśmy przechodzili mimo niej, skinęła na kamerystkę, aby zaniechała muzyki. My, nie wiedząc, czy mamy ją pozdrowić ukłonem, woleliśmy za przykładem przewodnika — odwrócić wzrok od kiosku i udać, że nie widzimy damy, tam siedzącej.

Cung-lun-laoje — dostojny piśmiennik, filozof, mandaryn, — spostrzegłszy gości przez okno we-

---

<sup>1)</sup> t. j. tak małej, aby ślad jej na ziemi miał formę delikatną kwiatu lilii.

randy, wybiegł pośpiesznie na ganek, a następnie na ścieżkę przed werandą i wśród ukłonów ustawicznych zawołał:

„Jakże się raduje „książe nieba mojego“<sup>1)</sup>, że tak dostojni i szlachetni goście z pod „nieba zachodniego“<sup>2)</sup> raczyli rozpostrzeć cień swój dobroczynny nad tym niegodnym i mizernym przybytkiem!“

Był to mężczyzna wzrostu średniego, dobrej tuszy, z inteligentnym wyrazem twarzy, dość zresztą okrągły, któremu dodawały powagi złote okulary, przysłaniające oczy jego. Mimo przeszło pięćdziesięciu lat wieku elastyczność ruchów i wdzięczne pełne gracyi lansady, które towarzyszyły jego ciągłym ukłonom, nadawały postaci tej świeżość i młodzieńczość, połączoną z elegancją.

— „Zaszczytnym i przyjemnym było obowiązkiem naszym złożyć osobiście uszanowanie tak uczonemu i pełnemu zalet mężowi, jak starszy brat...“

„Na Konfucyusa! Co starsi bracia raczyliście powiedzieć! Toć ja dwa tysiące razy niegodnym się czuję, aby zamglone gwiazdy czoła mojego<sup>3)</sup> oglądały promienne oblicza wasze“.

Przy wstąpieniu na werandę rozpoczęło się

---

<sup>1)</sup> Serce.

<sup>2)</sup> Z Europy.

<sup>3)</sup> Oczy.

zwyczajne certowanie o pierwszeństwo wejścia. Laoje z domu wołał:

„Cztery tysiące razy niegodny jestem zmiatania kurzu z przed stóp waszych“.

I mówiąc to zniżał wachlarz w prawej ręce ku ziemi, jakby w bojaźliwej chęci zamienienia słów swoich w czyn.

Gdy po kwadransie ilość tysięcy „niegodziwości“, pomnażając się stopniowo w ustach jego, urosła do dziesięciu tysięcy, weszliśmy nareszcie na werandę, a stamtąd wśród tyłuż i takich samych ukłonów i zakłęk — do salonu bawialnego.

Ta komnata, mimo gustownego umeblowania, mimo wiszących u stropu klasycznych latarni chińskich, mimo sof, zwierciadeł i kwadratowych stolików lakowych, sprawiała wrażenie rozkosznej cieplarni: tyle tam było roślin i kwiatów w wazonach i żardynierkach, a nawet pnących się zwójkami fantastycznymi po meblach i obramiających wdzięcznie portyery jedwabne z drukowanymi na nich sentencyami Konfucjusza lub wierszami samego pana domu.

Z pomiędzy takich to splotów bluszczu, gardenii, róż, storczyków i złocieni, wynurzyła się ku nam z głębi salonu drobna, smągła postać jakiegoś mandaryna, udekorowanego przez „Syna nieba“ guzikiem błękitnym, a przez „Ojca nieba“ długim czarnym warkoczem, który jak wahadło w zegarze ściennym kołysał się w prawo i w lewo



poza plecami swego właściciela, ilekroć tenże, wymijając w różnych kierunkach żardynierki salonowe, w żywych lansadach posuwał się ku nam.

Po wzajemnych ceremonialnych ukłonach i prezentacyi, nastąpiła w dalszym ciągu zwykła w takich razach wymiana informacji między nami, laojem i mandarynem:

„Szlachetne imię Waszej Dostojności starszego brata brzmi właściwie pod Jego niebem?“

— „Niegodnie obdarzono mię mianem Hua-szana“.

„Mniemać należy, że Dostojność Wasza odpowiednio do wielkich zasług, o których świat głosi tak zaszczytnie, piastuje godność stosowną?“

— „Wielki nasz *Ojciec* i *Matka* <sup>1)</sup> raczyli obdarzyć sługę swego najpierw dostojnością niezasłużonem *liang-tai* <sup>2)</sup>, a obecnie *hacfan tinga* <sup>3)</sup> pod Se-czeu-fu“.

Powstawszy z miejsca i powinszowawszy takiego zaszczytu, rzekłem:

„Uszy Waszej Ekscelencyi są długie i znamionują zdolności niepospolite“.

— „Oh, oh! Nie zasłużyłem sobie na tyle pochwał“.

Gdy względem nas załatwiano się z takiemiż

---

1) Rząd w imieniu Cesarza.

2) Intendent.

3) Gubernator lub prefekt.

pytaniami, zwróciliśmy się do laojego domu, oświadczając, jako z upragnieniem czekaliśmy dnia tak szczęśliwego.

— „Witam raz jeszcze szlachetnych panów jako dawnych przyjaciół i pragnę się dowiedzieć o wieku ich“.

„Przeżyliśmy nie bez pewnej korzyści lat nie wiele. A Dostojność Wasza?“

— „Eh, nie warto nawet wspominać“.

„Pozwoli starszy brat zapytać“ — wtrącił mandaryn, zwracając się ku mnie, — w jakiej okolicy położony jest pałac Waszej Dostojności?“

— „Nad brzegami Wisły licha chałupa nie byłaby godnym mieszkaniem nawet dla kuliów Waszej Ekscelencji“.

— „Jak szlachetne zdrowie przezacnej małżonki Waszej Dostojności?“ — zapytałem gospodarza.

„Smutny cierń mój nie tkwi w tej chwili we wnętrzu domu“.

— „A Waszej Ekscelencji?“

„Stara miotła moja została w domu“ — odrzekł mandaryn.

— „Czy księżęta-następcy Waszej Dostojności mile spędzają czas swój w domu?“

„Losy obdarzyły mnie jedną antylopą, która zapewne przebywa teraz w kiosku, jednym wołem i jednym brzydkim robakiem, którego po drodze życia uczy teraz pełzać doświadczony ogrodnik

w winnicy świętego naszego mędrca — Konfucyusa“.

Podczas herbaty, którą niebawem zaczęto obnosić, dowiedzieliśmy się, że mandaryn Hua-szan jest kolegą i przyjacielem Cung-luna, a został przez tego ostatniego zaproszony do Pekinu z miejsca odległego o parę set mil, aby podziwiać parę nowych odmian chryzantemów, które udało się Cung-lunowi wyhodować w swojej cieplarni. Mandaryn skwapliwie pośpieszył uczynić zadość wezwaniu przyjacielskiemu tembardziej, że sam był miłośnikiem kwiecia, zarówno cieplarnianego, jak małżeńskiego, i przy tej sposobności pragnął — jak nas zapewniał przewodnik — przypomnieć swemu przyjacielowi układ, zawarty między nimi przed laty kilkunastu, o skojarzeniu związkami małżeńskimi syna jego z panną Lunówną. Okoliczności tak się dobrze złożyły, że w tymże czasie wypadło mu składać w pałacu cesarskim podziękowanie za złożenie z urzędu liang-taja i za nominacją na urząd hacfan-tinga.

Myśmy ze zbiegu tych okoliczności korzystać wszechstronnie zapragnęli, aby być i w pałacu cesarskim i na godach weselnych i przede wszystkim podziwiać zdolności ogrodnicze naszego laojego. O chryzantemach jego mogą dać wyobrażenie te okazy londyńskie, które u nas na wystawach jesiennych bywają podziwiane. Zwłaszcza odmiana *boule d'or* żywo mi przypomina okazy Cung-luna,



jeno że te ostatnie były może nawet większe i dochodziły rozmiarów średniej głowy kapusty; fryzura listków kwiecia taka sama, jak w londyńskich, a zabarwienie przedstawiało się w trzech głównych odmianach: jeden egzemplarz miał wszystkie listki kwietne koloru *viel or*, a bodaj nawet *bronze antique* z podszewką białą; druga odmiana miała listki ciemnego szafiru, prawie czarne; trzecia, odwrotnie, z masą listków złotawych a czubkiem granatowym; z pozostałych dwu odmian, pielęgnowanych oddzielnie, jedna była zupełnie granatowa, druga zupełnie złotawa.

Cung-lun, pominąwszy kwiat odmiany pierwszej, zatrzymał się przy drugiej i trzeciej, przesadzonych do wspólnej żardynierki, i wpijając wzrok swój w oba kwiaty, umilkł i nieco się zadumał.

Znając miłość mistyczną Chińczyków dla kwiatów, a spostrzegłszy, iż mamy do czynienia z jednym z takich miłośników, nie śmieliśmy przerywać milczenia. By się jednak ono nie wydało zbyt przeciągłym, odkaszlnąłem parę razy. Cung-lun przeniósł wzrok swój z drugiej i trzeciej na czwartą i piątą odmianę, rosnące oddzielnie, potem zdjął okulary i, przecierając oczy, na pytanie moje o pochodzenie tych chryzantemów jał opowiadać historię z przed 50-ciu lat, przechowaną w tradycyi familijnej obu rodzin — Cung-luna i Hua-szana.

Podług tej tradycyi pewnego dnia jesiennego podczas wezbrania wody, panna Lu, babka Hua-

szana, przechodząc przez wąską kładkę potoku, wlewającego się do Jan-ce-kiangu, straciła równowagę i wpadła do wody. Przechodząc podówczas brzegiem rzeki, pan Hu, dziadek Cung-luna, pośpieszył na pomoc tonącej i, zanurzywszy się, pochwylił ją za splot włosów głowy. Prąd wody był tak gwałtowny, że porwał i uniół daleko kobietę; tylko w ręku ratującego pozostał kosmyk włosów złotawych, z którymi dostał się na ląd i stracił tam rychło przytomność. Rybacy nadbrzeżni wyciągnęli wkrótce zwłoki panny Lu i złożyli je obok leżącego bez czucia młodzieńca, zaczem dali znać o całym wypadku rodzicom obojga, którzy mieszkali opodal w sąsiedztwie w dwu domach ziemiańskich. Kiedy obie rodziny przybyły na miejsce wypadku, nie zastały tam ani panny Lu, ani pana Hu, jeno natomiast dwa rozkwitłe chryzantemy, z których jeden miał kwiaty złotawe, drugi — ciemno-szafirowe.

„Od tej pory — kończył Cung-lun — na rodzimym, którego przodek nie zdołał uratować swojej narzeczonej, ciąży obowiązek pielęgnowania tych chryzantemów, tudzież hodowania onych z usilowaniem wyprowadzenia odmian, wcielających najpierw następstwa zamierzonej podówczas sytuacji małżeńskiej, a następnie rozwoju wstecznego, mającego przygotować powrót do indywidualności każdego z chryzantemów i wcielenia onych napowrót w kształty ludzkie“.

— „I jak się udały Waszej Dostojności te usiłowania?“ — zapytałem laojego, spojrzawszy mimowolnie w stronę ogrodu, gdzie hodowano kilka drzew karłowatych, strzyżonych w kontury postaci ludzkich.

„Rodzicom moim udało się z drobnych kilkunastu kwiatów na każdym krzaku wyprowadzić po jednym wielkim i wspaniałym, kształtu i wielkości takiej, jaką oto widzimy, a mnie poszczęściło się przez ciągle krzyżowanie zaznaczyć charakter łączności, którą oto przedstawia kwiat złotawy z czubkiem ciemnym i ciemnawy ze złotawym.“

— „Rozumiem. A oto te odmiany, czwarta i piąta, zaznaczają powrót do indywidualności, który, jak widzę, dokonał się w zupełności“ — rzekłem, spojrzawszy na obie odmiany i na stojącego w zamyśleniu mandaryna.

„Nie zupełnie“ — odparł powolnie Cung-lun.

I mówiąc to, zbliżył się ostrożnie ku kwiatom obu ostatnich odmian, a zanurzając kolejno palce swej ręki w bujnych zwojach kwiecica z taką pieczołowitością i miłością, jakby je zanurzał w kędziarach dzieci własnych, zawołał:

— „Widzisz, Dostojność Wasza?“

Pod poruszeniem ręki laojego rozchyliły się zupełnie ciemne — jak mniemałem — listki jednego kwiatu, a pomiędzy nimi dojrzałem jeden listek złotawy, na główce zaś złotawej — jeden ciemny.

Odkryciu temu towarzyszyło wejrzenie błagalne



mandaryna, na którego spojrzawszy poważnie, ale z życzliwością laoje, kończył:

— „Być może, uda mi się wyprowadzić całkowitą indywidualność, zanim wyrośnie robak mój i muszka Jego Ekscelencyi“.

.....  
Ponieważ parę razy już nam wspomniano o spadkobiercach czci i mienia laojego, zapragnęliśmy ich poznać. Oczywiście, o tem, aby bodaj tylko ujrzeć pannę Lunównę, niepodobna było marzyć. Kobiety w Chinach nie traktują haremovy, jak na Wschodzie muzułmańskim: ma ona wiele swobody i niekiedy wielką czcią bywa otaczana; ale krom przypadku lub interesu poza dwojgiem własnych oczu przebywać w towarzystwie kobiety przyzwoitej jest nieprzyzwoitością, jest *shoking*, co — poza sferą ludową — wybacza się tylko studentom i ich przyjaciółkom, rekrutującym się przeważnie z *demi-monde*'u: tym wolno pokazywać się publicznie nawet bez blanszu i różu.

Chodziło więc nam przynajmniej o poznanie „robaczka“ laojowego, oczywiście nie przywołanego do nas, lecz zaskoczzonego niespodzianie, w jego własnym gniazdku, przy zabawie lub nauce. Ale nie byliśmy pewni, czy na to nam pozwolą przepisy etykiety chińskiej, normującej każdy krok, każde poruszenie, każdy uśmiech gości i gospodarzy domu.

Zrzuciłem pychę z serca i zapewniwszy laojego o życzliwości dla całego jego domu, a więc i dla

małego „robaczka“, jałem przedstawiać, że zarówno chęć poznania jego, jako też sprawy wychowania i kształcenia, które — sądząc po rezultatach, zwłaszcza rodzinnych, moralnych i społecznych, — powinnyby w wielu razach być wzorem dla Europejczyków, skłaniają nas do prośby o pozwolenie odwiedzenia małego „księcia-dziedzica“ w jego własnych apartamentach, w nadziei, że nam ta prośba nie będzie policzona na karb prostej ciekawości.

„Wszystcy ludzie są braćmi, a starsi z nich w godności mają prawo rozkazywania młodszym. Co więcej — każde zaledwo pomyślane życzenie pierwszych powinno być rozkazem uszczęśliwiającym drugich, nieprawdaż? Czyż nie tak myślą i czują ludzie pod niebem zachodniem? Ale będąc ludźmi tak wysokiej sprawiedliwości, powiedźcie sami, Dostojności Wasze, czy tak mizerne stworzenie, jak ja, mogę być godnym, abyście mnie uszczęśliwili? Czy godziwą jest rzeczą, aby wasz zaszczyt spływał na wstrętne i poziome istoty, pełzające po dalekich, opuszczonych i zaniedbanych przestworach dzikiej jaskini mojej? Powiedźcie!“ — mówił jednym tchem Cung-lun wśród ukłonów, pełnych elegancyi i zaprawionych to niby humorem, to znów uprzejmym a słodkim uśmiechem na twarzy, tak nim zamaskowanej, że w rysach jej stanowczo nic wyczytać niebyło można, co się kryło na dnie duszy mówiącego.

Czy w tej mowie była istotnie gotowość do

usług na skinienie nasze, czy zwykła grzeczność komplementów chińskich, czy niechęć, czy szyderstwo z niższości — w rozumieniu jego — kultury europejskiej, czy śmiech z niezajomości etykiety chińskiej?

Myśmy zmuszeni byli brać mowę jego za dobrą monetę i odplacać mu taką samą, usiłując jeśli nie prześcignąć go, to przynajmniej dorównać mu w hojności.

By jednak zniewolić go do kroku stanowczego i opuszczenia zakłętogo koła li tylko słownych komplementów, choćby za cenę stracenia równowagi w etykiecie, zaczęliśmy ostrożnie, niepostrzeżenie i niby mimowolnie poruszać się w kierunku dalszych apartamentów w głębi domu, co nam z tem większą przychodziło łatwością, że od czasu ekspozycji chryzantemów, dla oglądania onych jeszcze jednej odmiany, posunęliśmy się od żardynierek salonowych ku werandowym.

Faktycznie więc byliśmy już na werandzie, przy której końcu prowadziło wejście do dalszych ubikacji rodziny laojego.

Cung-lun, zabiegając nam, ze swym nieodstępnym wachlarzem, drogę w prawo i w lewo, wśród ciąglego demonstrowania swych dla nas względów, opóźniał oczywiście pochod naprzód; że jednak wykonywać był w stanie tę pełną wdzięku demonstrację tylko w ruchu, w ciągu którego mógł rozwiniąć spory zasób etykiety chińskiej, a wąskie



przejście wśród żardynierek i wazonów werandy nie pozwalało mu na oflankowanie i odciągnięcie nas z drogi, my zaś nieznacznie wciąż go parliśmy naprzód, więc, ciągle cofając się, w końcu, może mimowoli, ocknął się na drugim końcu werandy u wejścia do korytarza i izb, zajętych przez dzieci, dokąd już siłą inercyi prowadzić sam musiał. Czynił to bez zdradzenia na twarzy niechęci najmniejszej, która by u kogo innego mogła wywołać natarczywość naszą, i wciąż jednakowo uśmiechnięty, wdzięczny, kłaniający się.

Przeszedłszy od werandy przez długi ciemny korytarz, w końcu onego ocknęliśmy się w drzwiach, które prowadziły na wewnętrzne podwórze rozległe, zabudowane ze wszech stron w kwadrat oddzielnymi parterowymi domkami, czy pawilonami, które łączyły się wzajemnie galeryami lub werandami. Dawniej — jak nam opowiadał później przewodnik — było tu ludno i gwarno, zwyczajem bowiem inteligencji i mieszczaństwa chińskiego mieszkał tu razem ród cały, składający się z przeszło trzydziestu osób. Po śmierci ojca Cung-lunowego, który był patryarchą rodu tego, dwaj synowcowie wynieśli się ze swemi rodzinami gdzieindziej. Starszy syn umarł, zostawiwszy wdowę i dwoje sierót na opiece Cung-luna, który w ten sposób stał się jedynym posiadaczem gniazda ojcowskiego, mając z pierwszej żony dwudziestoparoletniego syna, już żonatego i dwoje dzieci z drugiej żony.

Na linii środkowej zabudowania, naprzeciw korytarza, przez który weszliśmy na dziedziniec, wznosił się okazały nad inne pawilon, zbudowany na podobieństwo pagody, z wejściem środkowym po kilku stopniach, oraz z drzwiczkami bocznymi, przez które właśnie idąc, ocknęliśmy się znów w takim samym korytarzu jak poprzednie. Przeszedłszy mimo paru drzwi zamkniętych od strony prawej, spostrzegliśmy — jak laoje zatrzymał się przy większych drzwiach od strony lewej i, stanawszy w pełnej pietyzmu postawie, oparł z pokorą czoło o marmurowe onych drzwi obramienie. Padające od stropu korytarzowego światło było migotliwe i za skąpe do uwydatnienia drobnych złotawych liter chińskich, zdobiących arabeskami cały niemal przestwór alkowy i drzwi, ale wystarczało do odczytania napisu tybeckiego z wielkich liter, lśniącego pod górnym fryzem od drzwi:

*Om, mani padme, bum!*<sup>1)</sup>

— Ah! — pomyślałem sobie — nasz laoje jest lingwistą, zna język tybecki i widocznie nie pogardza kultem buddhaizmu, mimo zaliczania się do klasy piśmienników (literatów), chętnie przechwalających się przed Europejczykami, że uznają tylko

<sup>1)</sup> Dosłownie: *O, skarbie w lotosie, amen!* — Słynna formuła symboliczna buddhaizmu, którą można sparafrazować w zdaniu: „O, gdybym stał się doskonałym i mógł utonąć w istocie Buddy, Amen!”

czystą etykę i filozofię Konfucjusza, wolną od wszelkiej obrzędowości, którą wraz z kultem budhaizmu pozostawiają tłumom.

„To *dżoss!*“ — rzekł głosem stłumionym przewodnik, wskazując na owe drzwi.

Tak! A więc tam-to przybytek kultu przodków, tam w zastępstwie popiołów stoją ich tablice genealogiczne, tam co rana i wieczora zgromadza się rodzina cała dla złożenia im hołdu czci, dla rozmyślań lub modłów, wreszcie dla odczytania pewnych wersetów z księgi Konfucjusza lub *Silvae rerum* z życia przodków.

Gdyśmy przechodzili przez salę sąsiednią, wchodził do niej drzwiami przeciwległymi jeden z członków tej rodziny, ów wspomniany laojego syn żonaty. Wracał do domu po paru tygodniowej nieobecności i z podróży po prowincyi. Nam oddał ukłon wdzięczny, spostrzegłszy zaś ojca, posunął się ku niemu żywo i na powitanie uderzył czołem o ziemię przed stopami jego, poczem stanął w postawie kornej i pełnej uszanowania.

Jak u nas byłoby niegrzecznością czytać przy gościach listy choćby najpilniejsze, tak samo w Chinach ciężkiem wykroczeniem przeciw etykicie byłoby witanie się z dzieckiem. Laoje więc, jak przed chwilą, puszczając nas przodem do poprzecznego kurytarzyka, skorzystał był z tej zwłoki, aby zatrzymać się kornie przed podwojami sali przodków, tak też teraz, otwierając nam drzwi do izby szkol-



nej, pozostał w tyle i położył rękę na głowie przybyłego syna pierworodnego.

Przed nami tymczasem z drugiej strony odsłonił się inny widok. W małej izbie szkolnej, której ściany, tapetowane od podłogi do stropu, okryte były ozdobnymi arabeskami wypisów i wersetów moralnych z różnych mędrców chińskich, stał stół lakowy pośrodku. Nad nim na ścianie w obramieniu z liści lotosowych, widniały kontury twarzy męskiej, ułożone również z liter chińskich; poznać w niej łatwo wizerunek Konfucjusza. Przy stole stojące dwa taboreciki zajęte były przez dwie postaci ludzkie żyjące, a tak nieruchome, iż zdawały się z kamienia wykute. Jedną był siedzący trzydziestoparoletni mężczyzna, ubrany w długą suknię błękitną z pelerynką na ramionach, a na głowie w piusce, z pod której zwieszał się na plecach długi spleciony warkocz włosów czarnych. Od strony przeciwległej dość wąskiego stolika wspiał się na nim, oparty łokciami o blat, a kolanami o swój taborecik, chłopczyzna 8- lub 9-letni, również w sukience długiej, w takiej samej piusce i z takim samym, jeno jasnym warkoczem. Z twarzyczką zachmurzoną, a raczej zafrasowaną natłokiem pracy mózgowej, wpatrzony był w tabliczkę, na której mistrz za pośrednictwem wachlarza zwiniętego wskazywał mu z powagą milczącą litery i znaki kalendarza astrologicznego. Obok leżał zwój wy-

pisów z księgi mędrca chińskiego San-ce-kinga, ucznia Konfucjusowego.

Wejście nasze nie spowodowało żadnej zmiany w dotychczasowej pozycji obu tych istot: zarówno były nieruchome i milczące; mistrz wciąż zachowywał uroczysty z odcieniem asketyzmu i cierpliwości wyraz twarzy, trochę tylko, nieznacznie poruszonej znakiem pytania; uczeń tak samo cierpliwie przywoływał na pomoc siłę pamięci i kombinacji do odcyfrowania znaku astrologicznego. Nareszcie po paru minutach wygłosił hasło „trzech pochodni“, na co mistrz dał odzew w zdaniu: „Obowiązek jest jednakim dla wszystkich ludzi u góry i u dołu“. Tabliczka opadła swą płaską powierzchnią na stół, obadwaj jednocześnie zerwali się z miejsc swoich, jakby dopiero teraz spostrzegli wchodzących gości. Nauczyciel, rozwinąwszy swój wachlarz, zaczął się klaniać z ugrzecznieniem i mówić o zaszczycie, spływającym na niego z odwiedzin; uczeń zaś, spojrzawszy na niego, jakby we wzroku mistrza pragnął zaczerpnąć informacji i instrukcji, pobiegł najpierw do ojca i rzucił mu się do nóg, a następnie począł klaniać się i miąć swoje rączęta jako dowód grzeczności powitalnej czy pożegnalnej.

„Wolno zapytać“ — odezwał się Cung-lun — „czy już skończona lekcya kalendarza?“

— „Rzekłeś, laoje,“ — odpowiedział mistrz z werencyą. „*Robak* po rekreacyi pójdzie do czytania

rozdziału o pięciu żywiołach i pięciu cnotach; potem ćwiczenie o sześciu gatunkach zboża.“

„A *sikory*?“

— „Młodszy kończy w tej chwili zapewne lekcję geografii, starszy będzie po *robaku* miał lekcję przepisów grzeczności“.

Mowa tu była o dwu synowcach, pozostających na opiece i wychowaniu Cung-luna, z których jeden sześciolatek nie opuszczał jeszcze babinca, drugi ośmioletni był już rozłączony z matką i pobierał niektóre lekcje wspólnie z synem lao-jego, a do innych przedmiotów miał oddzielnego nauczyciela.

Poprosiliśmy mistrza o pozwolenie zatrzymania na chwilę małego *robaczka*, którego odpowiedzi na nasze pytania nacechowane były taką powagą, trafnością zdań i rezolucją, mimo grzecznych formuł, w jakich je wypowiadał, że z trudnościąby mu dorównał rówieśnik jego europejski, choćby jeden z najzdolniejszych.

A gdy pożegnawszy się z nami, wybiegł żywo do ogrodu, aby skorzystać z paru chwil rekreacji, spostrześliśmy, jak przechodząc przez komnatę sąsiednią, zwolnił kroku, uważnie spojrzawszy w stronę przejrzystej ściany, zatrzymał się chwilę i w podskokach wybiegł dalej.

Drzwi od tej komnaty stały otworem. Jedna z ścian przylegających do *dżossu* była z papieru woskowego, tak przeświecającego, że z poza niego



dość wyraźnie zarysowały się kontury stojącej tam trumny.

„W roku przyszedł, — odezwał się Cung-lun, spostrzegłszy moją uwagę, tam skierowaną, i stając się powolniejszym w informowaniu „barbarzyńców nieba zachodniego“ — powinienem właściwie posłać robaka swego, którego raczyliście Dostojność Wasza zaszczycić swem wejrzeniem, do szkoły publicznej. Postanowiłem wszakże zatrzymać go jeszcze dwa lata w domu i dopiero później oddać go do kolegium cesarskiego. Wymagania naszego *hiao*<sup>1)</sup> dążą ku temu, aby dzieci, patrząc ciągle na symbol *szczęśliwości*<sup>2)</sup> całunowej, pamiętały zawsze o swych przodkach i o tem, że pierwszym ich obowiązkiem uczcić cienie swych ojców“.

.....  
Po powrocie na werandę i do salonu, gdy czas już był spóźniony, zabieraliśmy się do wyjścia. Spostrzegłszy to laoje, posunął się ku nam z oznakami najwyższego zdziwienia.

<sup>1)</sup> Wyraz chiński *hiao* stosuje się zarówno do wyrażenia pojęcia religii, jakoteż wychowania i wykształcenia; nauka jest tam uważana jako kult.

<sup>2)</sup> Napis *szczęśliwości* wryty jest na trumnie, stojącej przed oczami uczniów w izbie szkolnej. Do szkoły publicznej oddają tam dziecko najczęściej dopiero w 10. roku życia, a do tego czasu kształcą w domu; że zaś Cung-lun postanowił był oddać syna swego znacznie później, a 10-ty rok życia jeszcze nie nadszedł, aby *robakowi* zbliska pokazywać trumnę, stawiał mu więc tymczasem przed oczy cień jej konturów.

„Jakto? Co wasza Dostojność czynić zamierzacie? Czy podobna, abyście zostawili mnie w mniemaniu, że chcecie skrzywdzić sługę swego i wyrządzić mu obrazę? Wszakże obiad czeka na was!“

— „Ach, Dostojność Wasza złożył nam tyle dowodów gościnności, że doprawdy dalsze jej nadużycie byłoby z naszej strony wprost dowodem złego wychowania“.

„Co to za mowa? Czy ja zasłużyłem na to? Ani słyszeć nawet nie chcę o odejściu przed obiadem“.

Wiedzieliśmy doskonale, że obiadu wcale dla nas nie było i że zaprosiny Cung-luna były prostą formalnością grzeczności chińskiej. Chińczycy prawie nigdy nie przyjmują u siebie w domu prywatnym obcych ludzi, a zwłaszcza cudzoziemców, na obiedzie. Panie przyjmują tylko w ten sposób swoje przyjaciółki. Chińczyk zaś, jeżeli chce kogo uczcić, to go zaprasza do restauracji.

Przyjąć zaproszenie do domu znaczy narazić się na ośmieszenie i posądzenie o brak wszelkiej znajomości etykiety. Na tyle byliśmy wtajemniczeni w arkana tej etykiety i o tem zapewne wiedział Cung-lun. Mimo to nie przestawał nalegać.

„Ależ zostańcie, zostańcie, błagam was, dostojni bracia starsi!“ — błagał ciągle.

— „Nie możemy, doprawdy nie możemy“.

Po kwadransie takich nalegań i równie uporczywej odmowy, rzekł:

„Więc przynajmniej przyjąć raczcie grzanego wina!...”

Wiedzieliśmy, że i to również było komedią. Mimo to przywołał ostentacyjnie służącego i wydał mu głośno a dobitnie rozkaz przyrządzenia wina.

— „Radzibyśmy, z duszy radzibyśmy, ale nie możemy”.

„Wszakże wydałem już rozkaz przyrządzenia! Sądzę, że nie zechcecie przecież pogardzić ofiarą tak cenną?”

Aby stanowczy położyć kres dalszym naleganiom, uciekliśmy się nareszcie do ceremonii *cyng-cyng*, to jest gniecenia i ściskania rąk własnych, co odpowiada zwyczajowi europejskiemu ściskania rąk cudzych.

To wszakże nie był jeszcze koniec ceremoniału: wyczerpywała go dopiero chwila ostatnia, na ganku, aż do samych wrot. Laoje chciał nas odprowadzić, a myśmy go prosili, aby się nie fatygował, przyczem, idąc z wachlarzem, wciąż się upierał. W ten sposób certowaliśmy się jeszcze z kwadrans, po którego upływie ocknęliśmy się nareszcie na ulicy, zmęczeni, zziązani i jak myszy spoceni całym przebiegiem przyjęcia.



II.

Nazajutrz Cung-lun, oddawszy nam wizytę, zaprosił nas uroczyście na obiad, tym razem naprawdę, oczywiście — do restauracyi.

Ponieważ mieszkaliśmy z tej strony wału, opającego dzielnicę tatarską miasta, a *tyng-son-sampan* (statki kwieciste) i *świątynie szczęścia*, słynne restauracye z salonami recepcyjnymi, znajdowały się dość daleko stamtąd, bo poza pałacem cesarskim, należało więc wziąć pojazd albo lektykę. Do drugiej trzeba było pozwolenia władzy, a pierwsze w europejskim stylu, utrzymywane staraniem kompanii angielskiej, zanadto daleko miały swą stację. Przyszedszy więc do bramy *Cjen-menu*, zgodziliśmy stojące tam dwa wehikuly miejscowe.

Służący z całą galanterią chińską otrzepał nas z kurzu swym wachlarzem z piór ptasich i wsiedliśmy do wnętrza.

Woźnica szedł obok pieszo.

*Cjen-men* jest jednym z najwspanialszych i największych bulwarów w świecie. Szerokość jego wynosi przeszło 60 lokci, a długość prawie milę. Takich bulwarów dzielnica tatarska Pekinu posiada jeszcze ośm, a przeryniają ją w linii prostej od północy na południe i od wschodu na zachód. Do każdej od wału miejskiego, opasującego całe miasto, prowadzą bramy ufortyfikowane, wznoszące się

ponad murem wału na przeszło 40 łokci, a będące każda istotną twierdzą (starego systemu) z koszarami, strzelnicami, oddziałem żołnierzy i t. d. Do bulwaru zaś cjen-meńskiego na południe miasta i naprzeciw pałacu cesarskiego prowadzą aż trzy takie bramy, z których środkowa otwiera się tylko dla cesarza. Bastyon, broniący ich, zbudowany jest w półksiężyc i w bocznych swoich pasażach przedstawia istne targowisko życia ludzkiego na wzór najciaśniejszych ulic dzielnicy chińskiej.

Tu tandeciarze z przewieszoną przez ramiona starzyzną krzyżują się wśród nawoływań z właścicielem przenośnej dyoramy; obok kabalarz horoskopów, zgorszony swadą oratorską jakiegoś Demostenesa ulicznego, który go zagłusza swoją filipiką i odciąga od niego tłum gapiów, grozi mu pięściami; o kilka kroków stamtąd dwaj drągale wciągają sznurek z unoszącym się ponad wieżą bastyonu latawcem, którym się bawią, jak małe dzieci; dentysta uliczny, wstrzymując sznurek, ciągnie pacjenta swego do operacyi w niszy, w której wygodnie chce się ulokować obok wędrownego właściciela garkuchni; ten znów, usmarzywszy świeżą psią wątróbkę, zaleca dymiącą się jeszcze i buchającą oparem czwórce rosłych kuliów, rzucających z hałasem olbrzymią pakę pod nogi przechodniów; poza nimi przeciskają się dwaj starcy z białemi brodami, unosząc długą tykę, na której wierzchołku

10\*

siedzi jakiś ptak oswojony — może na sprzedaż kormoran do łowienia ryb.

Zaledwo wśród wrzawy przecisnął się tabór z kilkunastu osłów i mulów, objuczonych towarami, a już zdaleka pędzą jeźdźcy z okrzykami i nawoływaniem do torowania drogi zbliżającemu się orszakowi mandaryna.

„*Hon-uh! Hon-usz!...*“<sup>1)</sup>

Ale zaciętrzewiony kabalarz nie słyszy tego wezwania, bo oburzony na właściciela latawca, że go przezwał „jajem żółwiem“, zawija rękawy, okręca sobie warkocz dokoła szyi i rzuca się z wściekłością na napastnika, któremu nadgryza kawałek ucha. Ale tuż nadbiega mandaryn z poprzedzającymi go policyantami, feruje wyrok na miejscu i każdego z obu burzycieli porządku publicznego skazuje na 20 kijów bambusowych; temu zaś, który odgryzł ucho bliźniemu, aplikuje nadto 50 bambusów — za złośliwe uszkodzenie cudzej własności.

Z każdej strony bastionu wznosi się świątynia prawa — *Kwan-sy miao* — poświęcona czci bogini Kwaniny, słynna z swoich wyroczeni. Pytać o los swój lub przyszłość można w pagodzie tylko drogą czolobitności i przykłękań przed posągami bogini. Przez ten czas jeden z bonzów wygłasza modlitwy odpowiednie i trzyma nad płomieniem zarówno cylinder bambusowy, zawierający sto dziewięć pale-

---

<sup>1)</sup> Dalej, naprzód! z drogi.



czek, z których każda odpowiada liczbie karty drukowanej. Proszący wyroczni wyciąga jedną z tych pałeczek i — w zamian za złożoną ofiarę — otrzymuje papier, który mu wypadł w udziale. Setna dziwiąta pałeczka niema znaku; gdy się ją wyciągnie, dowód, że się nie jest w stanie zupełnej czystości ducha, pozwalającym bogini na odpowiedź.

Tu właśnie słynny wódz naczelny armii chińskiej, mongol *Seng-kolin-syn*, zasięgał zdania wyroczni przed wyruszeniem na wyprawę przeciw armii anglo-francuskiej w 1860. roku. Wyszedszy z świątyni, kazał obalić krzyż żelazny, który w przeciągu czasu długiego, mimo wielokrotnych przesładowań chrześcijan, unosił się dotąd nad katedrą pekińską <sup>1)</sup>).

Przebywać musieliśmy kanał, przez który przerucono trzy obok siebie mosty. I tu przejazd środkowym dla zwykłych ekwipaży lub konnej publiczności nie jest dozwolony, a rezerwowany tylko dla pojazdów cesarza i jego orszaku. Za to istnieje tu pewna kategoria pieszych, która obrała na nim stałe swe siedlisko. Jest to bowiem słynny „most żebraków“, którzy setkami wylegiwają się na całej jego przestrzeni, podzieleni na grupy, należąc do różnych korporacji i stowarzyszeń własnych: kalecy z połamaniami nogami, ślepi, może nawet trędowaci, zamożni w strojach dość przyzwoitych i na-

---

<sup>1)</sup> p. Choutzé i relacye Simona, b. konsula francuskiego.

reszcie zupełnie nadzy, mające zaledwo kawałek szmaty zamiast liścia winnego. Tych ostatnich najwięcej. Obok znajduje się sklep z kawałkami i szmatami różnych pstrych materyi, któremi ci nieszczęśliwi osłaniają części swego ciała w razie chłodu wielkiego. W mroźne dni zimowe zbierają tam co rana po kilka trupów ludzi, zmarłych w nocy. Obok jęków, nawoływań w konchy i próśb błagalnych o wsparcie, obok walk o podział rozdanej przez piękną damę jałmużny, słyszeć tam można dyskusye zgromadzonych na posiedzeniu członków tej lub owej sekcji Towarzystwa żebraków; nieco opodal rozdzielają starzyznę wyrzuconą z lombardu, a tuż przy śpiących pokotem wraz z psami widać grupy grających w kości i przegrywających wyżebraną jałmużnę.

Parę razy zbaczać musieliśmy do ulic bocznych, aby zaopatrzyć się w potrzebne nam wachlarze i inne drobiazgi. W jednej z takich ulic posłyszeliśmy znów przeraźliwe nawoływanie galopenów mandaryńskich:

„*Hon-uh! Hon-usz!...*“

To nadciągał orszak jakiegoś znacznego mandaryna.

Za galopenami pieszymi jechali na koniach przegowanych jeźdźcy, powtarzając ten sam okrzyk. Każdy z nich trzymał w jednej ręce lancę, drugą zaś przy pomocy własnego długiego warkocza poganiał konia; dalej szło ośmiu najętych kuliów

czy uliczników, z deskami czerwonymi w kształcie łopat, na których literami czarnymi wypisane były wszystkie godności, tytuły i urzędy, piastowane przez mandaryna. Za nimi w sukniach czerwonych postępowali parami czterej liktorowie, z których pierwsi wydawali dźwięki przeraźliwe na *ło* mosiężnych, a dwaj drudzy nieśli batogi, siekiery, bambusy do skarcenia pierwszego lepszego śmiałka, któryby się odważył przeszkadzać orszakowi lub nie ustąpić mu wczas z drogi: to było dla publiczności; dla samego zaś mandaryna nieśli krom tego łańcuchy, mające temu dostojnikowi przypominać, że w razie niesprawiedliwości lub naruszenia przezeń ustaw obowiązujących mogą jego samego okuć w te łańcuchy.

Następnie tłum kilkunastu kuliów ze sztandarami poprzedzał dwa indywidua, które niosły naprzemian wielki parasol czerwony dla osłony mandaryna w razie, gdyby mu się zachciało iść piechotą; parasol ten ozdabiała potrójna frendzla również czerwona, oznaka wysokiej godności. Dwaj inni za nimi nieśli olbrzymi „wachlarz wstydlivosti” dla osłonięcia dostojnika na wypadek, gdyby musiał zmienić w drodze sute suknie odpowiednio do pogody lub niepogody; w tym celu czterej żołnierze nieśli na drągach kufer z szatami. Dalej znów widać było parasol czerwony z dwiema frendzlami; następnie ośmiu galopenów poprzedzało



lektykę, niesioną również przez ośmiu ludzi. Orszak zamykał oddział ośmiu żołnierzy z oficerem na czele.

Na skrócie ulicy spotyka się ten orszak z jakimś mandarynem pieszym, również wysokiej godności, poprzedzonym przez liczną służbę i galopistów. Na widok jego pierwszy mandaryn każe zatrzymać lektykę, wyskakuje stamtąd pośpiesznie i wśród ukłonów ceremonialnych zaczyna owego pierwszego witać, pytać o zdrowie i zapraszać do swojej lektyki. Tak mu nakazuje etykieta bez względu na to, czy pogoda lub deszcz, śnieg i słońce. A ta etykieta zabrania drugiemu przyjęcia zaproszenia; z wielką grzecznością i układnością, ale niemniej stanowczo, odmawia propozycji. Natenczas pierwszy zaklina się na wszystkie świętości, że dopóty nie wsiądzie do lektyki, dopóki drugi nie uda się w dalszą drogę; a drugi tak samo zapewnia go, że się nie ruszy z miejsca, dopóki pierwszy nie wsiądzie do lektyki. Ta wymiana wzajemnych propozycji i grzeczności trwa już kilkanaście minut, w ciągu których zatamowany został ruch całej publiczności pieszej i jezdnej na ulicy. My zaś nie mogąc doczekać się końca ceremonii, zaledwo z wielkiem usiłowaniem zdołaliśmy wydobyć się z tłumu i puściliśmy się w swoją drogę.

### III.

Przebywszy z kilometr bulwarem Cjen-menu, skierowaliśmy się w jedną z ulic poprzecznych, gdzie po kilku minutach zatrzymali nas galopem, wysłani przez naszego Amfitryona. Stanęliśmy u podwoi „świątyni szczęścia“, czyli jednego z najwykwintniejszych zakładów gastronomicznych stolicy, do którego wejście — siłą tak często zderzających się kontrastów wschodnich — prowadziło przez kuchnię. Tym razem wszakże nie sędzę, aby ten kontrast był przypadkowym lub przeprowadzonym w chęci ubliżenia gustowi estetycznemu człowieka, ale raczej gwoli spokojności jego sumienia higienicznego i dyetycznego. Chińczycy uważają za rzecz godziwą, aby gość spożywający obiad czy śniadanie w restauracyi, miał możność i prawo skontrolowania kuchni i uspokojenia skrupułów swego żołądka. Gdyby u nas chciano wprowadzić taki zwyczaj, pytanie: jaki procent restauratorów zrzekłby się koncesyi na restauracye?

W kuchni powitał nas najpierw pierwszy kuchmistrz, otoczony całym sztabem kucharzy, kuchcików, piekarzy, cukierników i t. d. z obnażonymi do pasa torsami i z czystymi serwetami pod pachą. Przechodzić musieliśmy pomiędzy stosami konserw, sałaty, ryb pływających w basenach, homarów, gniazd jaskółczych, wśród oparów woni

i skwierczenia różnych mięs w rondlach, potrawek, przysmaków. Szczególniejszą uwagę naszą zwróciła różnaitość drzewa, używanego w kuchni do palenia. Z danych wyjaśnień przekonaliśmy się o wysokim stopniu rozwoju kunsztu kulinarnego u smakoszów państwa niebieskiego. W bardzo wielu razach używają tam odmiennego gatunku drzewa do gotowania każdej potrawy. W ciągu doświadczeń wiekowych przyszli kucharze chińscy do przekonania, że n. p. wieprzowina najsmaczniejszą bywa, gdy się ją upiecze lub zgotuje przy ogniu z akacyi; drzewo morwowe sprzyja pieczeniu kurcząt, bambus lub buk baraninie, jodla lub smerek do gotowania herbaty lub kawy i t. d.

Wprowadziwszy nas na podwórze wewnętrzne, kuchmistrz z głębokimi ukłonami oddał nas w ręce właściciela tej świątyni gastronomicznej, a ten znów z wachlarzem w ręku, powitawszy nas przemową odpowiednią, zaprowadził do pawilonu lewego, gdzie u drzwi czekał już Cung-lun z uprzejmym uśmiechem na ustach, powitaniem i ukłonami bez końca:

„Dostojności wasze musiały mieć daleką, przykrą i nużącą drogę wśród różnych naszych werstepów?”

— „Zasłużyliśmy na to” — odrzekliśmy stosownie do ceremoniału.

.....  
Apartament wybrany dla nas miał oszkloną



ścianę zewnętrzną od strony pełnego kobierców kwiecistych ogrodu z wodotryskami, skałami sztucznymi, mostami miniaturowymi z bambusu, sadzawkami złotych i srebrnych rybek i t. d., a składał się z mniejszego gabinetu, przeznaczonego do uczyty i zastawionego stołem, tudzież drugiego salonu do zabawy, oźwierciedlonego, z bogatymi kobiercami na podłodze, przepelnionego bronzami, porcelaną kosztowną o pejzażach i figurach, ubranego kwiatami i meblami z takim przepychem, na jaki nie zawsze się zdobędzie pierwszorzędny tego rodzaju zakład paryski.

Towarzystwo nasze składało się z nas trzech Europejczyków, Cung-luna, tudzież mandaryna Hua-szana i jeszcze jednego młodego dandysa pekińskiego, którego nazwiska nie pamiętam. Dwaj ostatni czekali w wielkim salonie.

Po ukłonach i wzajemnej prezentacji, musieliśmy wymienić z dandysem cały szereg tych troskliwych pytań i odpowiedzi, jakie dnia poprzedniego wymieniliśmy z Cung-lunem i mandarynem, a więc: jak czcigodne imię i nazwisko? jaki szlachetnie spędzony wiek życia? gdzie pałac dostojności? dostojna małżonka? miłe książątka-spadkobiercy imienia, cnót i tradycyi? i t. p.

Szerokie na oścież drzwi do gabinetu stały otworem. Weszliśmy tam w chwili, gdy do salonu wkroczył zastęp sześciu muzykantów, zamówionych przez Cung-luna. Otoczony krzesłami i fotelami wielki

stół okrągły, lakowany na czarno, nie miał obrusa ani serwet, zamiast których leżały kawałki kwadratowe ciemnego papieru jedwabnego. Serwis składał się z małych miseczek czy spodków, zastępujących talerze, pałeczek z kości słoniowej, zaostrzonych u jednego końca i służących zamiast widelca, tudzież kopystek porcelanowych zamiast łyżek. Wino, zlekka ogrzane, temperatury letniej, stało w imbrykach kruszcowych, a przy nich małe czarki o niespełna dwu calach średnicy i wysokości. Cały stół zastawiony już był herbatą i deserem, od którego uczta się rozpoczęła, a który składał się z 30—40 dań: migdałów lukrowanych, orzechów w cukrze, ziarek kawonowych palonych, gruszek w cienkie talarki, moreli i innych tego rodzaju cukrów, bakalii i owoców.

„Odkryjcie głowy!“ — uprzejmie wezwał Cung-lun wprowadzonych do gabinetu i zasiadających do stołu gości.

— „Postępujemy sobie w sposób niegodny: daruj nam tę zbrodnię!“ — odrzekliśmy podług zwyczaju, przeprasząc w ten sposób Amfitryona za nadużycie danego przyzwolenia — zasiadania do stołu z głowami odkrytymi.

Oczywiście nie zasiedliśmy, upłynął od wezwania może kwadrans czasu, który zużyć musieliśmy na dopełnienie ceremonii wzajemnego odstępowania foteli.

Mimo tej ceremonii humor swobodny zapano-

wał odrazu w towarzystwie. Czuć było po żartkich dowcipach biesiadników chińskich i europejskich atmosferę o wiele lżejszą od tej, jaką dnia poprzedniego wytwarzała powaga domu rodzinnego, tradycja jego i cienie całego zastępu przodków, czuwających z przybytku dżossowego i z pod tablic genealogicznych nad powagą ogniska rodzinnego. Cung-lun okazywał resztkę powagi. Okraszanej lekkim a uprzejmym uśmiechem, jak ów wielki ochmistrz dworu wiedeńskiego, wzywający gości zaproszonych do stołu cesarskiego, aby się swobodnie rozgościli, zanim cesarz przybędzie z głębi pałacu do sali jadalnej:

*„Machen sie sich bequem, meine Herrn!“*

I Cung-lun, powiadam, wezwał nas do zażycia swobody, w literalniejszym znaczeniu od wiedeńskiej: ulżenia swym sukniom, dając nam ze swymi obu rodakami przykład zachęcający. Sam z mandarynem pozbył się szat zwierzchnich, pozostając przy żupanie; ale dandys poszedł dalej i w całej pełni skorzystał z wolności, ocknąwszy się rychło w koszulce tylko siatkowej na ciele, czyli — jak u nas mówią — rozebrał się do rosołu, chociaż zupa, a raczej szereg zup był jeszcze daleko, bo miał — zwyczajem chińskim — zakończyć obiad; ale gorąco panujące w gabinecie, wzmożone nadto herbatą, miało usprawiedliwić to dekolowanie swobodne.

Humor swobodny z towarzyszeniem głośnych



wybuchów śmiechu jest nieodzowną przyprawą i nawet koniecznym warunkiem etykietałnym każdej takiej uczyt chińskiej. Śmiać się głośno przy stole jest oznaką dobrego tonu i przyzwoitości, wymaganą na równi z przepisami (przestrzeżaniami i u nas) takimi, jak unikania zbytnej skwapliwości przy jedzeniu, picia małymi łykami, nie młaskania językiem, nie ogryzania kości, nie przeladowywania jamy ustnej, a należytego żucia kawałków i t. p. Natomiast wolno, nawet godzi się wywoływać, w braku naturalnego, sztuczne odbijanie ustami, jako dowód pochlebny dla gospodarza, że się jadło obficie i że uczyta smakowała gościowi.

Po sprzątnięciu herbaty podano przekąski zimne, składające się z ryb solonych, marynat, rodzyneków, solonych migdałów, kompotu ostrego i jabłuszek rajskich, krewetek, konserw z raków morskich, żywcem wkładanych do spirytusu ogrzanego poprzednio z jałowcem, wreszcie *song-szoa*, albo kwiatów chleba; są to jaja kacze, trzymane dopóty w wapnie, aż białko skrzepnie, zachowawszy przejrzystość żelatynową, stwardniałe zaś żółtko przybiera barwę zieloną i nabiera lekkiego zapachu amoniaku.

Gdy te i tym podobne potrawy zniesiono i ustawiono razem na stole, a każdy z biesiadników leżącymi przed nami ćwiartkami papieru, nadziawszy je na swoją pałeczkę z kości słoniowej, skontrolował czystość własnej czarki, filiżanki i mi-

seczki, — Cung-lun powstał z zajmowanego przezeń skromnego taboretu i napełnił wszystkie czarki winem z prosa, a następnie czerwonym grzanem, podniósł własną czarę do wysokości oczu i wezwał obecnych do wychylenia czary. Potem własnymi palczkami zaczął nakładać każdemu kawaleczki różnych owych konserw. Obowiązkiem biesiadników wywzajemnić się gospodarzowi uczyły, a gdy tego nie czyni, należy prosić o przebaczenie i okazać przynajmniej ruchem odpowiednim pochopność do wywzajemnienia się; zastępuje to podziękowanie należne za grzeczność gospodarza.

Lecz oto kapelmistrz w salonie, pociągnawszy kilka razy smyczkiem po strunach skrzypiec i poczekawszy na odzew wężoskórnej gitary, wchodzi do nas i z ukłonem przedstawia spisany na tabliczce z kości słoniowej repertuar sztuk, z których każdy biesiadnik może wybrać i wskazać odpowiednią.

Rozpoczyna się koncert: na to hasło wchodzi właściciel hotelu, a za nim kuchmistrz, z prośbą o rozkaz dysponowania obiadu. Każdy z biesiadników wskazywa potrawy ulubione, a w końcu Cung-lun każe dodać te z potraw, o których przypuszcza, że je biesiadnicy pominęli ze skrupułów lub w obawie kosztów nadzwyczajnych.

Po kilku chwilach zaczynają wnosić pierwszą seryę potraw, już pokrajanych, a niektóre na fajerkach i żarowniach, aby zachowały całą świe-

żość i ciepło należyte: potrawkę z krabów żółtych, potrawkę karpia z imbierem, gąsienice smażone, kaczkę na bulionie, kurczę pieczone, jaja sadzone gołębie i czajcze, oczy i flaczki baranie, przetarte czosnkiem, korzenie nenufarowe w cukrze...

Wszyscy biesiadnicy jednocześnie, korzystając z udzielonej im swobody, zanurzają swe pałeczki w rondlach, półmiskach i wazach.

Wino krąży obficie dokoła, podniecając apetyt i dobry humor. Natchniony wspomnieniem młodości, Cung-lun recytuje ustęp własnego poematu o „wierzbach płaczących“ wśród powszechnych zachwyków uwielbienia.

Zachęcony tem powodzeniem dandys deklamuje trawestację jednego z poetów przeszłowiecznych, ale zwilża ją tak często winem, że wprowadza wszystkich w podziw.

„Zdolności pańskie dorównują pańskiemu geniuszowi“ — wołamy, winszując szczerze talentu i tęgości głowy.

— „Nie zasłużyłem na tyle pochwał“ — odpowiada, wychylając znowu czarękę.

Mimo kuchni wyśmienitej obfitość, a raczej liczba potraw była tak wielką i tak utrudzającą, że odpoczynek słusznym się wydał niektórym biesiadnikom. Jakoż była to chwila odpowiednia do zapalenia papierosów i fajek. Dandys zaś skorzystał z niej, aby w sąsiedniej niszy na kanapie po-



ciągnąć kilka haustów ulubionego Chińczykom opium.

Czasu mu jednak zabrakło, bo nastąpiła druga serya potraw: skrzele rekina, potrawka z krewetek, jaskółcze gniazda, pokrajane w cienkie talarki i przyprawione jajami, młode wróble, koniki polne, sztyunki (ryby) smażone, szpik barani, latorośle bambusowe w sosie, wreszcie lód opiekany. Ten ostatni przysmak lukulusów chińskich przyrządza się w ten sposób, że kucharz, położywszy pewną ilość drobnych kawałków lodu na przetaku bambusowym, zanurza go w płynnym cieście, urobionem z jaj bitych, cukru i przypraw mocno korzennych, poczem taki lód, obłany ciastem, nagle z wielkim pośpiechem wsuwa w piec pełen wrzącego i płonącego smalcu. Cały kunszt kucharza polega na tem, aby mógł dokonać procedury i podać na stół te osobliwsze pączki lodowe wpięrow, zanim lód stopnieje. A że nie każdemu ta sztuczka się udaje przeto filiżanka takiego *lodu piezzonego* kosztuje nieraz około 30 franków.

Gdy pan C., Francuz z naszego towarzystwa, włożył w usta kąsek tego przysmaku, poparzył się, a chcąc szybciej rozgryść zawartość, natrafił na opór chrupającego lodu. Dandys, spostrzegłszy zaambarasowanie i skrzywienie się łakotnisia, uśmiechnął się złośliwie i dla zamaskowania śmiechu począł się gwałtownie wachlować i popijać haust za haustem wina.

Cung-lun zaś, zadowolony z arcydzieła kulinarnego, zwrócił się do nas z propozycją:

„Może tancerzy? a może tancerek?... Raczcie, Dostojność Wasza, rozkazywać, a rozkazem waszym uszczęśliwicie mnie!... Hej, hola tam, niema tam kogo, ktoby się dowiedział, w której części Pekinu przebywają tancerze i tancerki *Mwanu* i *I'*), aby ich tu sprowadzić gwoli uciechy naszych czcigodnych i dostojnych gości?!“ — dodał głosem podniosłym i ostentacyjnym.

Wiedzieliśmy, że to propozycja tej samej wartości i szczerości, jak owa w domu Cung-luna odnośnie do obiadu i wina. Tem goręcej przeto protestowaliśmy przeciw hojności laojego, nie pozbawionej pewnego charakteru złośliwego, jakoby mającego świadczyć, że skoczki rekrutują się tylko z Europejczyków.

— „W Algierze i niektórych krajach Wschodu“ — odezwałem się w ciągu wzajemnego przekomarzania się — „widywałem tancerki z ludu miejscowego, występujące na zgromadzeniach i w domach prywatnych. U nas w Europie patrzymy na tańce przeważnie w teatrze“.

„To dziwna“ — zauważył dandys — „jak sprzeczne i niedokładne bywają u nas wiadomości

---

<sup>1)</sup> Cztery ludy barbarzyńskie, mieszkające dokoła państwa niebieskiego zwały się: *Mwan*, *I*, *Jung* i *Tih*; mianem dwu pierwszych nazywają teraz często ludzi pochodzenia niechińskiego — a zwłaszcza europejskiego.

z pod nieba zachodniego. Mnie naprzykład mówiono, że tam prawie w każdym domu zabawa nie obywa się bez tańców.

— „Tak, ale mniej patrzymy, a bardziej sami tańczymy“.

„Tak?“

„Przed obiadem, czy po obiedzie?“

— „Zwykle przed kolacją i po kolacyi“.

„I czyż niema innej gimnastyki dla ułatwienia trawienia?“

— „Ależ my nie dla trawienia tańczymy, jeno dla zabawy“.

„Daruje Wasza Dostojność“ — mówił mandaryn z niedowierzaniem — „ale nie przypuszczam, abyście nas mieli za tak prostodusznych prostaków. Chcę wierzyć, że Wasza Dostojność gwoli dobrego humoru żartuje. Niema nic pięknego w tego rodzaju skokach i podrygach, które są właściwością ludów barbarzyńskich, albo zgoła dzikich; Europejczycy zaś — o ile słyszałem — zanadto są ucivilizowanymi, aby mieli znajdować przyjemność w tego rodzaju zabawie z czasów pierwotnych ludzkości“.

Nasze wyjaśnienia przerwało rozporządzenie Cung-luna, ażeby wnoszono dalsze potrawy. Oparliśmy się temu z całą stanowczością i prosili o ryż, czyli dowód zakończenia uczy. Podano więc następnie tylko jeszcze pięć razy sześć gatunków



zupy, po której przeszliśmy do salonu, przyłożywszy poprzednio do twarzy swoich serwety, zmaczane w ukropie (dla ujęcia złej woni i ekshalacyi, tudzież dla odświeżenia się) i nawachlarzowawszy się po nich do syta.

Przy herbacie i owocach suchych grę naszą w szachy i *tric-trac* przerwały wiwaty i głośna biesiada z salonu sąsiedniego, przedzielonego od nas cienką, może papierową ścianą. Oburzony tą przerwą Cung-lun, posłał garsona, ażeby się dowiedział o przyczynie hałasu.

„*R-hwan-kie!*“ — zawołał uroczyście posłaniec, przynosząc odpowiedź.

— „To co innego“ — odrzekł spokojnie Cung-lun.

Okazało się, że podczas naszego ucztowania w gabinecie weszli do apartamentu, przylegającego do salonu naszego, dwaj Chińczycy w towarzystwie kilkunastu przyjaciół, którzy mieli być świadkami zawarcia ślubów przyjaźni braterskiej między owymi dwoma. W tym celu wydano właśnie ucztę, na której — gwoli ściślejszego zacieśnienia węzłów przyjaźni i rozpostarcia jej na następne pokolenia — kojarzono śluby dowolnie między przodkami obu przyjaciół, podług ksiąg genealogicznych każdego z nich:

Praprababkę jednego przeznaczono na żonę praprawujowi drugiego, a ciotkę ostatniego ojcu drugiego i t. p., a każdemu wygłoszeniu takiego

skojarzenia fantastycznego owych nowożeńców towarzyszyła obfita libacya wina.

Tak więc i koniec naszej biesiady nie obył się bez wywołania cieniów przodków, obecnych przy każdej dobie życia Chińczyka.

## CHAS-PUSZOWIE.

MATERIAŁ SZKICOWY DO NOWELI PERSKIEJ.

(Z notatki obcej).

---

Czem kawa w Turcyi, a herbata w Persyi, tem chleb i tytoń tu i tam: podniesienie cen obu tych przedmiotów potrzeby codziennej wywoływa zawsze zamęt wśród ludności ubogiej i nieraz prowadzi do rokoszu.

Anglicy, lekceważąc te stosunki, wyrobili byli sobie u szacha monopol na tytoń; powstała ztąd drożyzna, która wywołała rozruchy ludowe i znie-woliła władcę do odwołania koncesyi, a gdy Anglicy zagrozili rządowi jego procesem, odrzekł:

„Wolę tron, niż monopol tytoniowy“.

Przyszła kolej na chleb. Po suchej zimie, mokrzej wiosnie i suchem lecie wyprzały zasiewy i nastal głód. Codziennie na ulicach Teheranu zbierano po kilka trupów zagłodzonych. Za bochenek chleba płaciło się tyle, co w przeszłym roku za owcę,



a i tak trudno go było zdobyć. Lud szemrał na dozorców bazaru chlebnego i na spekulujących chodźów bogatych, posądzając ich o ukrywanie zboża w śpichlerzach, aby je tem drożej później sprzedawać. Na kilkakrotne zapytanie szacha wielki wezyr odpowiadał:

„*Elhamd-ul-illah* (dzięki Bogu) mamy teraz chleba podostatkiem; była wielka drożyzna, ale już przeszła“.

I poprzestał na tem, że paru piekarzy kazał na parę dni przygwoździć za uszy do drzwi ich własnych piekarni, a jednego młynarza oprowadzić po ulicach na sznurku, przewleczonym mu przez nozdrza.

Gdy chleb tymczasem nie spadał w cenie, a szczególnym zbiegiem okoliczności i tytoń podrożał, — dotychczas zaś niebyło zwyczaju przygwałdzania *tiutiunczych* i *tembekcych*<sup>1)</sup>; — gdy pewnego dnia znaleziono na ulicach aż dziesięć trupów, skostniałych z głodu i zimna, z których wprawdzie połowa była Farsami, czcicielami ognia, przybyłymi aż z Chorasanu ze skargami do króla królów, ale połowa, na Allaha, prawowiernych Szyitów, — gwałt się zrobił w stolicy i na prowincyi.

Nastał posępny wieczór zimowy w Teheranie, wieczór trzeciego z rzędu dnia, w ciągu którego połowa sklepów z tytoniem była zamknięta, a *da-*

---

1) Sprzedający tytoń i *tembekę*, używaną do nargili.

*rugha* <sup>1)</sup> nie mógł się uskarżać na zbytek zajęć: chleba w bazarze na sprzedaż niebyło wcale.

Była godzina 7-ma lub 8-ma, zbyt wczesna w mieście europejskiem, dość późna — w muzułmańskiem. Sklepy i bramy oddawna pozamykane; co żyło ludzkiego, od paru godzin tuliło się przy manganach z żarownikami wśród czteru ścian izby. Na ulicach panowała cisza, niczem nie zamącona. Spóźnionego przechodnia mogła pierwsza straż nocna przytrzymać i uwięzić, jeśli nie powiedział hasła nocy, znanego tylko policji.

Naraz — wśród tej ciszy głębokiej rozległ się z dachu pewnej łaźni odgłos bębna, który wkrótce powtórzyły wszystkie w mieście łaźnie. Mieszkańcy strwożeni poznali w tem hasło alarmu. Wszak takim bębniem wzywa się tylko wiernych moslemistów do ablucyi przed sanym wschodem słońca, ale teraz! Ten i ów z trwogi jeszcze bardziej zabarykadował zaryglowane drzwi swego domu; ale znaleźli się i tacy, którzy wychylili się na ulicę z ciekawości, żądzy wrażeń lub łupu. W liczbie tych ostatnich pośpieszyli, poukrywani w różnych kątach miasta i przedmieść rzezimieszki i rabusie.

Ulice wkrótce zapełniły się tłumem. Pierwsze wyskoczyły ze swych popielisk łaźiebnych całe bandy półnagich nędzarzy, mężczyzn i kobiet z dziećmi, okrytych zaledwo tu i ówdzie szmatą

---

<sup>1)</sup> Nadzorca bazaru, komisarz targowy.

lachmana, a zresztą czarnych lub upopielonych, z dzikim wrzaskiem domagając się chleba.

Na czele rokoszu stanęli chas-puszowie.

Stawili się w komplecie ze sztandarem cechowym, na którym widniał obraz chudego żebraka z wyciągniętą ku niebu ręką.

\* \* \*

Chas-puszowie stanowią odrębną warstwę społeczną w Persyi, przypominającą lazzaronów neapolitańskich, mniej wprawdzie leniwych, ale śmielszych, zuchwalszych i — uczciwszych. Rekrutują się z ludzi pozbawionych pracy, albo żebraków. Podobni bywają do derwiszów żebrzących, ale nie związani żadnemi ślubami zakonnymi, jeno własną organizacją. Chodzą w lachmanach grubych, zaledwo część ich ciała okryć mogących. Gdy który z nich znajdzie lub wyżebrze parę galganów, jednym przewiązywa biodra dokoła, tak, że strzępek zwiesza się do kolan, a drugi przewiesza przez lewe ramię, okrywając niedostatecznie górną część ciała.

*Chas-pusz* — to miano człowieka bogatego, noszącego futro sobolowe — dano też przez ironię tym nędzarzom, którzy sami z dumą, niepozbawioną świadomej jowialności, wskazują swoje uzyskane tą drogą powinowactwo z możnymi tego świata. Na ciętości w mowie nie zbywa im nie-



kiedy, język miewają uszczypliwy, dający się nie jednemu we znaki. Żywią się jak ptaki niebieskie, a raczej — jak psy wschodnie, żyjące bez właścicieli na ulicach miast, — odpadkami, wyrzucanymi z domów i restauracyi. Gdy odpadków zabraknie, a głód doskwiera, idzie chas-pusz do hali targowej, przystępuje śmiało do ulicznej garkuchni i tonem, niedozwalającym odmowy, woła:

„Haracz chas-puszowi! Po sowitej uczcie w pałacu swoim radbym coś przetrącić lekkiego!“

A otrzymawszy parę kaczanów marchwi osmażanej albo kawalek wygotowanej głowy baraniej, pędzi galopem napowrót i, jeśli po drodze nie spotka towarzysza cechowego w położeniu gorszem, z którym się wypadnie podzielić jałmużną, zatrzymuje się dopiero w kryjówce swojej, gdzie spokojnie w skupieniu ducha spożywa zdobyte przysmaki.

Kryjówką taką, schroniskiem dla chas-pusza w lecie bywa beczka, stojąca na ulicy, krużganek meczetu lub najczęściej dach płaski hal bazarowych, gdzie chas-puszowie pomagają stróżom nocnym w strzeżeniu sklepów i kramów. W zimie schronienia im użyczają przedsienia łaźni, tak licznych w Teheranie jak meczety. Mowa tu, oczywiście, nie o przedsieniach frontowych, lecz tylnych, gdzie się mieszczą piece olbrzymie do ogrzewania tych przybytków rozkoszy i oczyszczania się muzułmańskiego. Ogromna ta przestrzeń w jednej

części przeznaczoną bywa na przechowanie materiału opałowego, t. j. drzewa lub słomy, w drugiej z niszami — na suszenie bielizny kąpielowej, w trzeciej — na ciepły popiół, wyrzucany z pieców, a ponieważ pali się dzień i noc, takiego zaś paliwa jak słoma dużo się zużywa, wznoszą się tu całe kupy a nawet góry popiołu. Gdy się im przyjrzeć zbliżając, dostrzega się często o świcie, na całej tej przestrzeni obok psów zanurzone postaci ludzkie nagie lub pół obnażone — dzieci, kobiet i starców: to są przedstawiciele nędzy ostatecznej, bez ratunku, szukający noclegu pod osłoną opiekuńczą instytucji publicznych.

Lecz chas-puszowie są wytrzymali i siedliska dla siebie obierają w niszach, przeznaczonych do suszenia bielizny, gdzie temperatura jest znacznie niższą, gdzie niema popiołu ciepłego i miękkiego ani dla ogrzania się, ani na podścielisko, gdzie przeto zadowolić się muszą garścią zwykłej słomy. Tu odbywają mniejsze i przedwstępne narady cechu swego, dla spraw zaś ważniejszych i definitywnych zgromadzają się na majdanie za miastem.

Tam też i teraz zapadły uchwały ostateczne co do rokoszu, który obalił wielkiego wezyra.

\* \* \*

Na czele tłumów stanęli dwaj chas-puszowie: stary Achmed, odgrywający rolę pojednawczą, i młody Dżafar, trzymający w jednej ręce dziecię-znajdę, którem się opiekował, a w drugiej ów sztandar cechowy. Wśród luny płonących pochodni, uwiązanych do długich żerdzi i podniesionych w górę, cały tłum ruszył ku bazarowi z groźnymi, przeciąglymi okrzykami, z których w zamęcie za- ledwo rozróżnić można było słowa:

„*Ja, huh, hakk!*“<sup>1)</sup>

Poza bazarem wznosił się wspaniały dom chodźy Rahima, największego przedsiębiorcy i handlarza zboża. Tu przybywszy tłuszcza rozbiła wrota, wtargnęła do wnętrza domu i wywlokła stamtąd Rahima na ulicę. Stary Achmed, pokazawszy go tłumowi, zawołał:

„Gdyby ten chodźa nie był tak łapczywym, my- byśmy nie cierpieli głodu; pozbawił nas chleba i zbu- dował sobie pałac. Zniszczcie to plugawe siedlisko grzechu i zagrzebcie jego samego pod ruinami!“

To mówiąc, zdjął z własnej nogi ciężki chodak, okryty żelazem, i uderzył nim w głowę Rahima. Za tym przykładem poszła tłuszcza; obalono ofiarę zemsty na ziemię, a wyrywając kamienie z przed domu, ciskano je na chodźę, żywcem go kamionując; inni zajęli się tymczasem wylamywaniem drzwi

---

<sup>1)</sup> O, Boże, sprawiedliwości!



i okien, niszczeniem sprzętów i burzeniem domu, z którego po godzinie zostały tylko ruiny.

Nadbiegającą policję przywitano gradem kamieni.

Z przed domu Rahima tłum udał się do Saida, bogatego właściciela składu tytoniu, a stamtąd do darughi: obu wraz z ich domami spotkał taki sam los jak Rahima.

\* \* \*

Nazajutrz wypadki nocy były przedmiotem powszechnej rozmowy. Czy szachowi dano znać o nich, nie wiadomo. Otaczający go dworacy zależnem czynią składanie mu tego rodzaju relacji od dobrego humoru pana.

Był to piątek, dzień, w którym szach ma zwyczaj wyjeżdżania na przechadzkę za miasto z całym dworem. Pochód wyruszył przed południem, otwierał go cały szereg mułów, objuczonych namiotami, sprzętami kuchennymi i zapasami żywności, bo szach zamierzał zjeść śniadanie za miastem. Dalej szły pojazdy i karety z haremem, otoczone całym legionem eunuchów, którzy krzyczeli w niebogłosy:

„*Kur szou!... Kur szou!*“<sup>1)</sup>

Na ten odgłos wszystkie drzwi i okna od ulicy zamykały się, a nawet na płaskich dachach stojący

---

<sup>1)</sup> Bądźcie ślepymi, zamykajcie oczy!

przypadkowo mężczyźni musieli się kryć i odwracać wzrok swój od niewiast pałacowych.

Nareszcie ciągnął wspaniały orszak samego szacha, poprzedzony oddziałem biegnących naprzód z mieczami i maczugami czerwonych *farraszy*, którzy wołali głosem donośnym:

„*Bro... bri!*“<sup>1)</sup>

W ulicę, którą przejeżdżał ten orszak, wtargnął naraz z impetem z sąsiedniego zaułka tłum obdartych nędzarzy.

„*Bro... bri!*“ — krzyknęli groźnie *farraszowie*, podnosząc maczugi swoje w górę.

Ale tłum nie dał się powstrzymać groźbą, a jeden z ciżby, przedarłszy się naprzód, podbiegł do szacha, uderzył czołem i pocałowałszy ziemię, zawołał:

„*Chas-puszowie mają prośbę*“.

Gdy nikt z ludu nie śmiał się nigdy zbliżyć do osoby monarchy, *chas-puszowie* nieraz to czynili. Szach chętnie ich słuchał, a na ich dowcipne lub cięte słowa odpowiadał garścią rzuconego pomiędzy nich złota lub srebra. Wstrzymał więc i teraz konia. *Dżafar* z dzieckiem na ręku zbliżył się, ucałował ziemię i rzekł:

„*Chas-puszowie nie przychodzą dziś do ciebie, Zillullah*<sup>2)</sup>, po złoto i srebro, jeno po żelazo!“

---

<sup>1)</sup> Precz z drogi!

<sup>2)</sup> Cień Boga.

Nasr-ed-din zachnął się na koniu.

„Po żelazo na szyje swoje; przychodzą obwinać siebie przed majestatem Twoim o zbrodnię, którą dziś w nocy popełnili“.

Szach potrząsł głową pytająco, a na twarz jego wystąpił wyraz zdumienia.

Dżafar mówił dalej:

„Dawniej był zwyczaj, iż nasi królowie, niedowierzając językom pochlebców, a pragnąc sami dowiedzieć się o potrzebach ludu, przebierali się za derwiszów, albo nawet ot tak jak my — nieszczęśliwych chas-puszów i szli pomiędzy lud. Gdy teraz zwyczaj ten ustał, potrzeba albo go wznowić albo, skoro Mahomet — niech będzie imię jego pochwalone! — nie chce iść do góry, aby góra poszła do Mahometa, aby król-królów pozwolił ludowi stawać przed Jego świętym obliczem. Że niekażdy wypadek dochodzi do miłościwych uszu monarchy, oto dowód: wczoraj na tej samej ulicy padło dziesięć trupów ludzi z głodu, a wieczorem zamordowano Rahima, Saida i darugę jako sprawców głodu“.

Opowiedziawszy na rozkaz szacha szczegóły owych scen krwawych, Dżafar tak zakończył:

„Jednym z owych mordujących zbrodniarzy był *bende*, stojący teraz z tem dzieckiem przed Tobą, Zillullah, a drugimi oto ci smutni nędzarze, stojący za farraszami. Sądź nas teraz, Zillullah, jak uznasz w mądrości i sprawiedliwości twojej za stosowne!“



— „Idźcie do ognisk waszych, winni będą ukarani“ — rzekł szach i skinął ręką na orszak, aby ruszono w drogę.

Nazajutrz w. wezyr otrzymał dymisyę i poszedł pod sąd; oddzielną zaś komisję wyznaczono do załatwienia sprawy.

---

## U PIEŚNIARZA I W ENDERUNIE.

NOVELA PERSKA.

---

Na starym szlaku z Ispahanu do Teheranu, w odległości pięciu parasangów od tego ostatniego miasta, samotnie harcujący jeździec wstrzymał nagle rumaka i, przysłaniając oczy ręką prawą, utopił wzrok badawczy we wschodnich przestworach nieba. Tam ponad srebrzącą się w rosie porannej linią gęstych zarośli wzbil się w górę sokół siwy i kapał się długo w świeżych blaskach słońca wrześniego, to gubiąc się i tonąc w błękicie, to zniżając lot swój ku ziemi i nieruchomo z rozpostartemi skrzydłami zawisając przez długie chwile wyczekiwania ponad łąnem, dzielącym gościniec od zarośli.

„Znuży ją, na Allaha, dzielny ptak, znuży jako żywo! A gdzież Szach-zade?“ — mówił do siebie z uśmiechem jeździec, zniżając dłoń od oczu ku lekkiemu zarostowi, który ocieniał wdzięcznie jego twarz śniadą.

I powiódł wzrokiem ku odrzynającej się od lanu wyrazistej linii krzaków.

Sokół tymczasem wzbil się raz jeszcze lotem strzały w niebo i znikł z oczu zupełnie. Po chwili rozległ się urywany, przeraźliwy krzyk czapli, zalopotały skrzydła ptasie i z szumem powietrza spadł sokół ze zdobyczą w szponach pod nogi nadbiegającego sokolnika.

Z zarośli wybiegła sfora psów, skowycząc radośnie, a za nią wysunął się orszak jeźdźców, zbrojnych w kordelasy i flinty, wraz z mułem, objuczonym zwierzyną.

Na czele jechał poważnie pan orszaku na ciszym dzianecie — słusznego wzrostu, okazałej tuszy 50-letni mężczyzna. Ciemne oczy jego, rozjaśnione widokiem trofeum łowieckiego, które spadło o parę kroków, zmrużyły się i przesłoniły rzęsami czarnymi na widok zjeżdżającego z gościńca jeźdźca obcego; ponad przystrzyżoną i ufarbowaną w modny kolor złotawy brodą drgnęła warga dolna, z poza której błysnęły dwa rzędy gęstych białych zębów, rozchylające się do pytania rzuconego strzelcowi:

„Dżafar! Kto tam?“

— „Proch nóg Twoich, władco, *muterrib*<sup>1)</sup> z Szyrazu“ — odrzekł strzelec z pochlebstwem panu swemu.

„Tak! ale chyba zbyt twardy i gryzący jak

---

<sup>1)</sup> Pieśniarz, muzyk.



proch dyamentowy. Dlaczego nie nazwiesz go raczej *szaiem*<sup>1)</sup>, skoro takim się mieni?“ — pytał książkę, lekko pochylając głowę, a zwróciwszy się do jeźdźca, który z ukłonem zbliżał się ku orszakowi łowieckiemu, dodał głosem podniesionym:

„Bądź pozdrowion, mirzo Szaffi!“

— „Godniej od sługi Twego pozdrowiła już Cię jutrzienka złota i srebrnopióry ptak zdobyczą, w hołdzie złożoną dostojnemu Szach-zademu Abbasowi mirzie!“ — odrzekł poeta, przykładając rękę do czoła i ust, oraz kładąc nacisk na ostatnim wyrazie.

„Miałżeby zazdrościć mirza Szaffi Abbasowi-mirzie<sup>2)</sup>, lub też choroba *Babbi*<sup>3)</sup> przykuła go do siodła, że tak utyka na mirzach?“

---

<sup>1)</sup> Poeta.

<sup>2)</sup> Wyraz *mirza* postawiony po imieniu oznacza dostojność książęcą, a przed imieniem — tytuł, dawany każdemu człowiekowi wykształconemu.

<sup>3)</sup> Mirza Ali-Mohammed z Szyrazu, przezwany *Bab* (brama, t. j. brama niebios, prawdy i zbawienia; *babà* zaś — z turcka = dziad, przodek; wschodnia gra słów w tekście), wykształcony na filozofii Awiceny, a przejęty tradycją rodzinnego staroperskiego przedmuzułmańskiego mazdeizmu Zaratustry, został przy końcu pierwszej połowy wieku XIX-go mistrzem i założycielem sekty i szkoły panteistyczno-mistycznej i stronnictwa reformistycznego *babistów*. Negując nietylko formalizm, ale i dogmatyzm urzędowego szyityzmu i wogóle poniekąd muzułmanizmu, babiści uznają w etyce zasady altruizmu, posunięte do najwyższego stopnia, równouprawnienie kobiet, a nawet cześć dla nich; występują jako zwolennicy postępu i piękna;

— „Rzekłeś Wasza Wysokość, a słudze Twemu w żaden sposób nie przystaloby Ci przeczyć, bo w takim razie jużby dawno zsiadł z konia, aby odpowiednio do godności Twego rodu królewskiego<sup>1)</sup> złożyć ci hołd winny z tej ziemi czarnej, którą

---

w życiu społecznym, ekonomicznym i politycznym przeciwnikami są asketyzmu, nie negują demokratyzmu, niekiedy nawet do krańcowości go posuwając, jednocześnie zaś wysoko cenią dobrobyt, pracę i estetyczne a rozumne używanie bogactw i darów tego świata. Jako energiczni apostołowie tej nauki wystąpili: mułta Hussejn, zwany Buszrewich, chodża Mohammed-Ali i słynna z piękności, uroku i wymowy kobieta *Zerrin-Tadê* z Kazwinu, zwana „*Gurret-ul-ajn*“ (rozkosz oczu). Posądzeni o sprzysiężenie i zamach na życie szacha Nasr-ed-dina przy wstąpieniu jego na tron, zostali babiści jednej z grup wpędzeni bezbronni na podwórze ministeryjne i wycięci w pień rękoma urzędników. Mimo wstrętu mistrza odpierania siły fizycznej również siłą brutalną babiści, atakowani w kilku miejscowościach na prowincyi przez wojska rządowe, bronili się rozpaczliwie, aż zostali rozbici, a główni ich przywódcy skazani na śmierć, nie wyłączając samego mistrza i Zerriny, która spłonęła na stosie. Odtąd występowali mniej jawnie i nie zbrojnie, niekiedy doznając opieki, jak n. p. wychodźcy ich w Bagdadzie, pod rządami późniejszego wielkiego wezyra Turcyi i twórcy konstytucyi ottomańskiej — Midhata baszy, aż znów głośnymi się stali podczas śmierci Nasr-ed-dina, za której sprawców ich poczytano. Obszerniejszy wykład o babizmie i babistach miał autor noweli (rychło po zgonie onego szacha) w Kole artystyczno-literackiem we Lwowie; do początkujących zaś zwolenników babizmu zaliczył też poetę, hohatera tej noweli.

<sup>1)</sup> Słynnego Nadyr-szacha.

zraszasz znojem i potem dostojnych trudów Twoich, a osłaniasz purpurą...“

Odpowiedziawszy na kalambur księcia tak cierpką a bogato przysłonioną przepychem kwiatów wschodnich ironią, poeta pochylił się na siodle i wskazał ręką purpurowe ślady krwi na ziemi od drgającej jeszcze czapli, z której w tej chwili sokolnik wyrwawszy pióro, podawał je ze czcią i głębokim ukłonem Abbasowi mirzie.

„Piękne pióro, nieprawdaż?“ — przerwał książę.

— „Korona godna króla, a zdobycz Nemroda“.

„Winszujesz sąsiadowi krowy, aby ci Allah dwie dał“.

— „Cobym z niemi robił? Poeta ani ssać, ani doić nie potrafi“.

„Wasza Miłość możebyś pragnął pióra orlego? A mnie się zdaje, że ci najwłaściwsiem pióro synogarlicy“.

— „Brak mi wspaniałych haremów, ani mam czem je zaludnić dla gruchania, chyba czemś pożyczanem“.

„Stworzyć i zaludnić je własną fantazyą nie trudno dla poety“ — ironicznie uśmiechnął się książę.

— „Chyba jeśli jest podsycana łaskawością i blaskiem szczodroty Waszej Wysokości“.

Abbas mirza przygryzł odętą wargę i na pożegnanie zabierającemu się do odjazdu poecie rzucił pytanie:

„Dokąd jedziesz teraz Wasza Miłość?“



— „Ty wiesz <sup>1)</sup>, mości książe“.

„Tak, zapewne, wiem, ale chciałbym posłyszeć z ust Waszej Miłości“.

— „Tam tylko być pragnę i mogę, gdzie sięga wzrok i władza Waszej Wysokości“.

.....

Gdy Abbas mirza, po skinieniu poecie ręką, przejechał w poprzek gościńca teherańskiego i oddalił się o staję drogi od miejsca rozmowy, skinął na jednego z farraszów <sup>2)</sup> i odezwał się doń tonem surowego rozkazu:

„Bacz pilnie, dokąd pojedzie ten kąsający *len-gerbas!*“ <sup>3)</sup>

Mirza Szaffi tymczasem, odjechawszy gościńcem ku Ispahanowi, po kilku minutach drogi, gdy mu orszak łowiecki znikł z oczu, zwrócił w bok, zatorczył kołem owe zarośla, skąd przed pół godziną podziwiał lot sokoła i, tam przystanąwszy, obejrzał się i zaklął:

„*Peder suchte* <sup>4)</sup>. Za kiesę swych dźwięcznych tumanów <sup>5)</sup> chcesz nietylko dźwięków mych pieśni, ale i pokory, uczucia, myśli! Hola, Szach-zade!

---

<sup>1)</sup> Zwykły na Wschodzie sposób grzecznej odpowiedzi wysokiej stanowiskiem i godnością osobie, która ma być wszechwiedzącą.

<sup>2)</sup> Zbrojny sługa.

<sup>3)</sup> Kuglarz, żongler.

<sup>4)</sup> Ojciec spalony, zgorzały, t. j. syn zgorzałego, nicpoń.

<sup>5)</sup> Moneta złota = 10 franków.

Haremów nie mam, mą skromną wszakże izbę zaludnię nie samą fantazją głodną, ale śmiechem żywym twojej Dżeirany; cienie nocy rozprószą mi nie tylko promienie księżyca, ale i ogień żarzących się oczu tej, którą zmusiłeś być żoną twoją. A tobie, mości książę, życzę tymczasem powodzenia na łowach!“

I spiąwszy konia, zjechał znów na gościniec i pomknął w kierunku Teheranu.

## II.

Dwie godziny pozostawało jeszcze do zachodu słońca, gdy mirza Szaffi, wjeżdżając na spienionym koniu do stolicy perskiej, skierował się wprost w ulicę, prowadzącą do seraju Abbasa mirzy. Na przeciwległym końcu jej w odległości półtoratysiąca kroków od pałacowych zabudowań księcia, wśród linii domów ze sklepami i handlami — znajdował się jednopiętrowy pawilon z szerokim oknem na ulicę — własność mirzy Salmana, przyjaciela poety. Tu się zatrzymał mirza Szaffi, a oddając konia wyrostkowi, rzekł:

„Biegnij żywo, *baczè*<sup>1)</sup>, do mego mieszkania i przynieś mi stamtąd *daire*!“<sup>2)</sup>

---

<sup>1)</sup> chłopeze.

<sup>2)</sup> Rodzaj tamburyny.

Sam zaś, uczyniwszy *ab-dest* bez *namazu* <sup>1)</sup> z odświeżeniem całej głowy, oraz posiliwszy się przyńsionem z pobliskiego hanu kebabem i owocami, — pociągnął parę kłębów dymu z kalianu nieobecnego przyjaciela i stanął przy otwartem, do połowy zakratowanem oknie, z dairą w rękę.

Przesunął palcami kilka razy po strunach dla przygrywki, wziął głośniejszych parę akordów pełnych, przycichł, zadumał się, uderzył mocniej w struny, przeprowadził po nich cichy z kilku nót motyw, któremu dał odzew w piersiach własnych *mezza voce*, i po zlocistych falach powietrza popłynęła w niebo jedna z tych dźwięcznych, pełnych tajemniczego czaru piosnek metalicznych, które ponad ziemią wibrowały jak pieśń skowronka, budząc zapal i wstrzymując oddech w piersiach słuchaczy, na całej przestrzeni od Szyrazu do Teheranu — dla pieśniarza szyraskiego.

Mirza Szaffi stał na najwyższym szczeblu tych licznych na Wschodzie pieśniarzy, z których jedni zajmują stanowiska prostych wykonawców obcych utworów i obcych melodyi w pieśni i muzyce, drudzy dorabiają muzykę do słów, inni podkładają muzykę pod słowa... To nie tylko *hach-assooh* i *hach-hanooh* — jak zowią śpiewaków i improwizatorów w Aderbedżanie i pod Araratem, ale i *aszych!* Sam był muzykiem i kompozytorem, sam piewcą,

---

<sup>1)</sup> *Ab-dest* umycie rąk, nóg i t. d.; *namaz* — modlitwa.



sam wreszcie poetą twórczym, poetą-improwizatorem, pieśniarzem siły i zapału, wielbionym zarówno przez możnych, jak przez tłumy ludu. Męszczyźni go podziwiali i lubili, kobiety szalały za nim.

Nic tedy dziwnego, że nim skończył pierwszą piosnkę, już tłumy ludu stały przed oknem, zaniechawszy zwykłego gwaru ulicznego, zapatrzone w oblicze pieśniarza, wsłuchane w każdy dźwięk pieśni, w każde słowo, wydobywające się czystą wyraźną deklamacją ze świeżych, silnych piersi męskich.

Mirza Szaffi wychylił się przez okno, spojrział w głąb ulicy z jednej i drugiej strony, a dostrzegłszy zdala wzbijające się tumany kurzu, uderzył znów w struny i na motto gazeli Hafiza:

„*hasza ki men bemeusim-i gül terk-i mej künem*“ —  
igrając ostatnimi wyrazami wiersza, rozsunął pieśń świeżych czarów, syntezującą pragnienia męskie bogactwem wdzięków kobiety i bukietem jej własnych pragnień:

Broń Boże, bym po wino sięgał zamiast róży!  
Co mi po wczorajszym słońcu lub jutrzejszej burzy  
Kiedy ona,  
upojona  
rosą nocy,  
dzisiaj tylko  
jedną chwilką  
jest w mej mocy?!...

Zaledwo wszakże dwie zwrotki prześpiewał, rozległ się turkot mnogich kół wraz z okrzykiem:

„*Kur szou! kur szou!*”<sup>1)</sup>.

Okrzyk był słaby i nieśmiało naśladowujący hasło eunuchów królewskich. Zwiastował on przejazd ulicą żon i odalisek księcia Abbasa mirzy. Toteż zgromadzony na ulicy lud nie upadł na ziemię — jakby to był uczynił na widok żon i odalisek królewskich — i nie zakrywał oczu rękoma, jeno poprzestał na dyskretnem usunięciu się z drogi w zaułek, prowadzący z głównej ulicy wzdłuż bocznej ściany domu mirzy Salmana. Kolasy przejechały zwolna ku serajowi szach-zadego, oprócz jednej, która się zatrzymała przed handlem ormiańskim bławatnych towarów europejskich, znajdującym się na drugim rogu zaułku i ulicy głównej.

Z kolasy wychyliła się dama, okryta przejrzystym białym jaszlakiem i skinąwszy na eunucha, poleciła mu wejść do handlu i przynieść do wyboru dwie sztuki wskazanej materii lyońskiej; a sama cofnąwszy się w głąb kolasy, uchyliła z twarzy rąbek jaszłaku i głowę skierowała w stronę okna mirzy Salmana. Tam profilem do ulicy, a oczyma ku kolasie zwrócony pieśniarz, uderza-

---

<sup>1)</sup> „Bądźcie ślepyimi, zamknijcie oczy!” Okrzykiem tym biegnący przed pojazdami żon szacha eunuchowie lub farraszowie ostrzegają lud, aby nie ważono się podnieść oczu na wybranki króla-królów.

jąc w struny, *mezza voce* nucił zwrotkę trzecią  
pieśni:

Patrz — jak łonem  
zapłonionem  
cała z drzeniem  
to się tuli,  
to rozchyła  
pod mem technieniem!...

I wzrok jego zbiegł się ze wzrokiem wpatrz-  
onej i wsłuchanej w niego kobiety, stopionem czworga  
oczu spojrzaniem w jedną błyskawiczną, gorącą  
a niemą rozmowę, która, ilustrując pieśń poety,  
była zrozumiałą tylko dla tych dwojga rozmawia-  
jących i porozumiewających się nią serc:

I raz jeden...  
jeszcze jeden  
czarem włada...  
Już?... już blaknie,  
mrze... zamiera...  
i opada...

.....  
Rzezaniec czarny pojawił się na progu handlu.  
.....

No, teraz podaj wina! Nie chcę zwiędłej mary;  
I wspomnień i zapomnień czaru chcę z tej czary <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Wiersz ten kreacyi autora noweli, a włożony w usta Szaffiego — po raz pierwszy oddzielnie wydrukował *Kuryer codzienny* w Warszawie 22. lutego 1891. roku.



Po powrocie rzezańca, załatwieniu rachunku o materyę i odjeździe damy do seraju, mirza Szaffi skinął na *bakkala* <sup>1)</sup>, stojącego na ulicy w pierwszym szeregu słuchaczy, zapraszając go do izby:

„Ago!“ — odezwał się do wchodzącego — „prawda, tyś słuchał pieśni?“

— „T'-t'-t'!“ — cmoknął kupiec, przechylając z zadowoleniem głowę na prawo i lewo.

„A czyś pomyślał o tem, że biedny pieśniarz może być znużony i potrzebuje odświeżenia sił swoich?“

— „*Bi-dżanem!* <sup>2)</sup> Chyba Allah mógł myśleć za mnie, bo moja myśl była całkiem spętana pieśnią... Ale co Wasza Miłość rozkażesz ?

„Owóz, gdy się rozpęta myśl twoja, co — mniemam — powinnyby nastąpić bardzo rychło, bo oto widzę ostatnie promienie słońca zachodzące za widnokrąg i muezyn niebawem wstąpi na minaret — owóz zechcesz posłać do domku pętającego cię pieśniarza — sorbetu, rahat-lukum, różnych bakalii i dzban wina hamadańskiego — dla obmycia rąk...“

— „Niech się pomnaża laskawość Twoja dla sługi Twego; stanie się zadość rozkazom Waszej Miłości!“

„A odeślij też zarazem, ago, tę *daire*!“

---

<sup>1)</sup> kupca korzennego i bakalii.

<sup>2)</sup> Na moją duszę!

— „Niech zaszczyt tego posłannictwa spadnie tylko na przemawiającego do Ciebie, na osobę sługi Twego!“

I to mówiąc, Mehemed Hussein ujął podaną mu dairę z wielką czcią i ostrożnością do rąk własnych, unosząc ją przed sobą na ulicy wśród tłumu słuchaczy, którzy dotykali z pietyzmem czarodziejskich strun narzędzia mirzowego.

### III.

.....  
„Ach, *dżanem*<sup>1)</sup>), jeszcze jedną czarę tego płynu złotawego!“ — mówił mirza Szaffi, siedząc na sofie, do stojącej przed nim Dżeirany, której kibić wiotką objął jedną ręką, gdy drugą podnosił do ust kryształowy kielich wina.

— „A zapomniałeś, *dilen*<sup>2)</sup>), że

broń Boże, bym po wino sięgał zamiast róży?“ —

odparła z przymileniem Dżeiran, otaczając obu rączkami szyję poety i nachylając się tak blisko ku twarzy jego, że ją paliła swym gorącym, przyspieszonym po tylko co przerwanych płasach odde-

---

1) duszko moja!

2) serce moje!

chem. — „Nie, nie, nie pozwolę, chyba połową tego płynu zwilżysz usychającą z pragnienia „rózę!“

I przychyliła usta ku brzegom puharu, który Szaffi podniósł ku niej, sam tuląc swą głowę do jej piersi.

„A jak ci serce bije gwałtownie! Z tem wszystkim pewno nie mocniej, niż przed godziną, kiedyś się przemykała przed odźwiernym eunuchem enderunu?“ <sup>1)</sup>

— „Eh nie, *nuri czeszmem!* <sup>2)</sup> Moja czarna Mardżana tak przyzwyczaiła go do podawanego przez siebie hasła „b'ül-b'ül“ <sup>3)</sup>, że kiedyś i ja dziś podała się za słowika, był najpewniejszym, że ma przed sobą Mardżanę, i otworzył furtę, nie zaglądnając mi nawet w oczy“.

„Ach, gdyby w nie spojrział, temu słowikowi o tak ognistym wzroku!“

— „Zresztą jaszmak tak gruby, a Mardżany feredżę, którą wzięłam na siebie zna tak dobrze...“

I przerywając dalsze opowiadanie, zręcznie odwinęła się na jednej nodze, a uderzywszy w kastaniety, podała poecie do rąk dairę.

Przerwana przed chwilą piosnka znów się nawiązała do wtóru strun srebrno-brzmiących, a przy ich dźwięku tancerka rytmicznym posuwistym ruchem płynąć i wic się zaczęła tanem dookoła ścian

<sup>1)</sup> haremu.

<sup>2)</sup> Świecie oczu moich!

<sup>3)</sup> Słowik.



komnaty pieśniarza... Słabe żółte światło kagańca mieszało się z bladymi drżącymi promykami światła księżycowego, które, przedzierając się nieśmiało przez zakratowane okna izby, to muskały zaczarowaną twarz pieśniarza, to się czepiały splotów war-koczy hebanowych tancerki, wibrowały po jej smukłej, ujętej w krótki złocisty stanik kibici, to gubiły się w zwojach i fałdach jej szmaragdowych szalwarów, opiętych poniżej kolan złocistymi bransoletami. Gdy taniec w takt wesolej, swobodnej piosnki przechodził z powolnego i posuwistego w wir szybkich, gorących, szalonych rzutów, promyki owe migotały po niej jak robaczki świętojańskie przed oczyma cwałującego jeźdźca. Gdy zaś wśród wesela i swobody pełnych akordów struna jedna dairy w takt żalosego motywu pieśniarza naraz zadrgała urywanym, tęsknym, żalącym się jękiem niewolnika wschodniego i tancerka, wstrzymując się w szalonym wirze ruchu, drgała w wyprężonej postawie niemal nieruchoma na miejscu z przyłożoną jedną ręką do serca, a drugą do głowy, — promyki świetlane całowały jej piersi i rękę, ścieliły się po złotych kajdanach niemal do stóp samych i odrzucane — refleksem biegly ku dairze, spływały po jej strunach i całowały gorącą twarz pieśniarza.

Gdy po jednym z takich niemych pocałunków zabrzmiała znów nuta rażna, gorąca i Dzeiran puściła się w płas skoczny szalonej swobody, zako-

latano gwałtownie do drzwi komnaty, które też rychło się rozwarły, ukazując w progu wylężnione przewracające się białkami oczy czarnej niewolnicy Dżeirany.

Zamilkły dźwięki, taniec skamieniał.

„Mardżana!“ wyrwało się razem z ust pieśniarza i tancerki.

— „Co się stało?“ — zapytała Dżeiran trwożnie.

„Szach-zade powrócił z łowów!“ — brzmiała odpowiedź urywana.

— „A przecież go dziś widział, jak ciągnął z całym taborem pod niebo wschodnie!“

„...Powrócił...“ — bełkotała Mardżana.

— „I?...“

„Chce u ciebie, pani, spędzić czas aż poza zorzę poranną“.

— „Kto ci to powiedział?“

„*Chodźe-baszy*<sup>1)</sup>, idąc od szach-zadego z tą wieścią do ciebie, pani, spotkał mię w podwórzu. Powiedziałem mu, że pani śpi, a gdy się obudzi, to zawiadomię o tem“.

— „A jakże tu się dostałaś?“ — indagowała dalej Dżeiran — „przecież dwa razy *b'ul b'ul* przechodzić nie mógł przed odźwiernym?“

„Przełazłam od strony ogrodu przez mur“.

— „Oj ja nieszczęśliwa!...“ — biadała Dżeiran.

„Jeszcze niema nieszczęścia“ — odezwał się

---

<sup>1)</sup> Szef rzezańców.

mirza Szaffi — „przecież nieraz miałaś już podobne kłopoty, z których potrafiłaś wyjść zwycięsko. Czy kto jest u księcia teraz?” — zapytał, zwracając się do niewolnicy.

— „Są chanowie i begowie, i...” — jęła wyliczać imiona ich.

„A gdzie są?”

— „W *defler-chane*“<sup>1)</sup>.

„To możesz sobie iść, Mardżano, albo zaczekaj w sieniach na panią!... A ty, moje życie — ciągnął, zwracając się do Dżeirany, — uspokój się: ci czolobitnicy posiedzą bardzo długo, zanim w końcu w nagrodę otrzymają kawę, lub herbatę i pilaw, tak że szach-zade nie wcześniej jak w parę dopiero godzin po północy zawita do ciebie...”

— „No, tak, ale ja muszę przynajmniej na dwie godziny przedtem być już u siebie, aby się przygotować na jego przyjęcie”.

„A więc wypomadować się, wyperfumować, wyszminować, wymalować, wykosmetykować, wyolejkować... — recytował z przekąsem poeta. — Cemu ty tak choć raz do mnie się nie wybierzesz? Czy się obawiasz, aby róż i jedwabie twoje nie otarły się o ubogie ściany pieśniarza?”

— „Szaffi!”

I dwie lzy duże sperliły się na oczach kobiety.

---

<sup>1)</sup> Kancelarya.



A gdy on, przyciągnąwszy ją ku sobie, spijał je ustami swemi, —

— „Bo ja wiem — mówiła, już uśmiechnięta, — że ty mię kochasz taką, jaką jestem“.

„To prawda, życie moje. Ci despoci haremuwi radzi oglądać ofiary swych żądź tylko w pstrej i sztucznej poczwarkowej maskaradzie, gdy Szaffi woli blask tych ognistych oczu i te okalające je a czarowne łuki brwi naturalnych...“

I począł znów okrywać pocałunkami oczy kochanki.

„Słuchaj, Džeirano! Klnę się na te twoje oczy czarodziejskie, na piękno twoich warkoczy, że dni tych nicponiów są policzone. Nauka wielkiego Babiego zyskiwa coraz więcej w kraju naszym apostołów i wyznawców. Przyszłość do nas należy. A wówczas te liche osobistości szach-zadych, chanów, begów nie będą mogły przeciążyć swych żołądków, ani wysysać potu i krwi nieszczęsnego ludu, ani gromadzić bogactw w swych skarbnicach kosztem niedoli innych, ani zaludniać haremuw swoich najpiękniejszymi kobietami...“

Mówił to z takim przejęciem się i zapalem, jak gdyby mu chodziło tylko o prozelitkę, nie o kochankę. Nareszcie przypomniał sobie, że w sieniach czeka służąca.

„Idź więc, Mardżana czeka — kończył z cierpkim uśmiechem — idź, a za chwil kilka będziesz już w objęciach innego. Idź i przygotuj się do

przyjęcia łask od władcy swego. Ale gdy raz kobieta zdobędzie prawa swoje, znikną pieśczoły wymuszone. Do tego czasu musisz ulegać, gdyż jesteś tylko — niewolnicą“.

#### IV.

Dżeiran szczęśliwie i bez przygód powróciła do swego pawilonu, który zajmowała w głębi seraju Abbasa mirzy obok pawilonu innych żon i odalisek.

Po różanej kąpeli, olejkach balsamicznych i całej dwugodzinnej torturze kosmetycznej, przez którą przejść musiały ręce, twarz, oczy, brwi, paznogie, usta, — niedawna tancerka pieśniarza szyraskiego weszła do komnaty recepcyjnej tak przeobrażona, tak zmieniona, że Szaffi z trudnościami ją poznał. A jednak metamorfoza ta nic nie ujęła z jej wdzięków, jeno przedstawiła je w innym tonie, w innym oświetleniu, może nawet bardziej efektownem, bardziej ułudnem, i widocznie jej samej, wykształconej i wychowanej na toalecie wschodniej, wielce się podobała, bo zbliżywszy się do zwierciadła i przejrzawszy się w niem, zawołała:

„Ach, gdyby mię Szaffi taką zobaczył!“

A przeszedłszy ku oknu, rozwartemu na rozkoszny ogród haremowy, oblany światłem zachodzącego księżyca, utonęła wzrokiem w jego promieniach, igrających z fontaną, a myślą w ma-

rzeniach o skromnej komnacie pieśniarza. Z zadumy wyrwał ją głos szczebiotliwy Lejli, drugiej żony księżęcej:

— „Zabiegłam na chwilę powinszować ci szczęścia i zaszczytu. Ciesz się i bądź dumną, że szach-zade'go wybór padł dziś na ciebie — mówiła z chichotem rumiana o czarnych oczach blondynka, kładąc ręce na ramionach Džeirany, okrytych szalem kaszmirskim.

„Zazdrościsz mi, Lejlo?!“

— „Ach, jeszcze jak! Ale wiesz czego?... Żeś była u swego pieśniarza“.

„Cóż kiedy *bajram*<sup>1)</sup> tak rzadko bywa!“ — westchnęła Džeirana, otulając się mocniej szalem od chłodu nocnego“.

— „Mój jeszcze rzadziej. Jam swego nie widziała od pięciu miesięcy“.

I obie przyjaciółki zaczęły się wzajem zwierzać ze swoich ideałów, marzeń i przykrości.

— „Co za *szejtan*<sup>2)</sup> opętał Abbasa, że dziś tak nagle wrócił z lowów, na których miał jeszcze dziesięć dni zabawić i że z tobą zamierzył dziś czas spędzić?“

„Nie wiem. Coś się w tem kryć musi, może podejrzenie, że spotkał się dziś z Szaffim. Ale

---

<sup>1)</sup> jako święto uroczyste.

<sup>2)</sup> Szatan.



i to prawda, że już od trzech miesięcy nie był u mnie.

— „Cyganka usidlila go zupełnie i całe miesiące przebywa w jej towarzystwie.

„Jest też piękną istotnie“.

— „Eh, *dżanem*, co mi to za piękność z sadzą! Nawet jej taniec, gra i śpiew nic szczególnego. Przecież i ty, Dżeirano, ładnie tańczysz. Nie, ja ci powiadam: Churszyda jest czarownicą“.

„Co ty mówisz?!“

— „Wybiła swą niewolnicę i ta przez zemstę opowiedziała mi wszystkie jej praktyki i z tem białem dzieckiem zamiast czarnego i z tym eunuchem białym, który zniknął nagle i...“

Długą szepciem prowadzoną rozmowę przerwał szmer w komnatach sąsiednich. Szach-zade przybywał we własnej osobie, poprzedzony przez dwu czarnych chłopaków, którzy nieśli chińskie latarnie w ręku.

Lejla usunęła się pośpiesznie przez drzwi boczne, a Dżeiran, skwapliwie zerwawszy się z sofy, wyszła na spotkanie swego pana i małżonka, którego ujęła za dłoń i wprowadziła do swojej komnaty.

Abbas mirza, sztywny i poważny, pozwolił się zaprowadzić na przygotowaną dlań sofę, okrytą miękkimi angorami i utonął niemal cały wśród bogatych wezglowi. Dżeiran usiadła przy nim i, przybierając postawę wdzięczną, położyła mu rękę na ramieniu.

„*Āhwal-i-szeryf?*“<sup>1)</sup> — zapytał Abbas stereotypowo.

— „*Ālhamd-ul-illah*“<sup>2)</sup>. Łaska Twoja jest życiem dla niewolnicy Twojej, a uśmiech Twój jej szczęściem“.

„Toteż przyszedłem tu...“

— „Przybycie twoje jest dla mnie tem, czem dla wyschłych i spalonych łąk krople rosy orzeźwiającej“.

„Czy ty istotnie tak mię kochasz?“

— „Kwiat róży blednie przed obrazem kochanka, a pieśń słowika milknie przed jego głosem czarownym“.

Abbas przyciągnął ku sobie bliżej Dżeiranę:

„Jesteś“ — rzekł — bardziej wonną od róży.

— „Różę kapie rosa poranna, a rosą miłości...“

Wracając od Dżeirany, przyjaciółka jej zetknęła się w podwórzu z Cyganką Churszydą, która jak inne niewiasty enderunowe, spłoszone nagłem przybyciem księcia i wizytą jego u Dżeirany, czuwała noc całą. Churszyda, zdala spostrzegłszy Lejlę, biegła z rozwianym warkoczem, wołając gniewnie:

— „Lejlo, a Lejlo!“

Ta zatrzymała się i spojrzała pytająco na cygankę.

---

<sup>1)</sup> Jak twoje zdrowie szlachetne.

<sup>2)</sup> Dzięki Bogu.

— „Klnę się na mogiłę imama Hussejna, że wszystkie włosy z głowy powyrywam Dżeiranie“.

„Co się stało? Czyś oszalała?

— „Jak ona śmie przerywać kolej i porządek wizyt małżeńskich?!“

„Jaką kolej?“

— „Abbas miał być dziś u mnie“.

„Więc cóż dalej? — mówiła Lejla obojętnie. — Przecież go ona gwałtem nie zaciągnęła do siebie“.

Churszyda wybuchła szalem wścieklejszym.

— „Zapewne, gwałtem! Przecież ona wiedziała o porządku. Nauczę ja przestrzegania jego tę włośćkę turkmeńską!“

„Uspokój się, szukasz chyba umyślnie kłótni ze mną! Przecież jeśli ona Turkmenką, to ty Cyganką, a więc rodu wcale nie szlachetniejszego od niej“.

Czarne oczy Cyganki cisnęły błyskawicę gniewu szalonego:

— „Ach ty, nicponiu, bronić jeszcze myślisz tej *weledizny*“<sup>1)</sup> — krzyknęła, zaciskając pięści.

„Tyś sama chyba taką“.

— „Ja?“

Cyganka jak pantera jednym skokiem rzuciła się na Lejlę, zapuszczając palce swych rąk w jej bujne warkocze.

---

<sup>1)</sup> Dziecię miłości.



„Aj, aj!“ — wołała z bólu blondynka, chwytając również warkocz cyganki.

Rozpoczęła się walka, która trwała minut kilka nie bez rozlewu kilku kropli krwi, wśród okrzyków kolejnych zwycięstwa lub porażki, aż jako rozjemca nadbiegł szef eunuchów z naganą czynną i słowną:

„Wstydziecie się przecie przerywać *kief*<sup>1)</sup> władcy swego!“

.....

Nazajutrz Lejla, gdy przyszła uzalić się przed przyjaciółką, że zdziwieniem wielkiem nie zastała ani jej, ani Mardżany; obie niewiasty znikły na zawsze z enderunu Abbasowego. Jedni powiadali, że uciekły do Szyrazu z pieśniarzem; drudzy, że pokutują w *zyr-zeminie*<sup>2)</sup> podziemnym seraju za poszlaki wycieczek nieprawych, znalezione w postaci złotej branzolety Dżeirany u furty serajowej i porwanych strzępów czarnej feredży Mardżany na murze ogrodowym enderunu; inni jednak, do których i niepocieszona po stracie przyjaciółki Lejla należała, utrzymywali z całą pewnością, że zniknięcie obu niewiast było dziełem czarów Cyganki Churszydy, która je uczyniła niewidzialnemi.

---

1) Wczas, *dolce far niente* wschodnie.

2) Loch podziemny.

## PIEŚNIARZE SURP-KARAPETA.

---

Smugi bladych resztek zachodzącego księżyca spływały promykami migotliwymi po śnieżnych wyżynach wielkiego Araratu, tonąc w sędziwych bródach jego. lub rozlewając się pełniejszą falą światła srebrnego po zboczach zachodniego Stożka Małego. Hen płynęła w dal ku zielonej dolinie południa ta fala, zderzając się z falą szmaragdową krzewów winnych i bawełnianych, która pod tchnieniem Eola ze szmerem drżących kropel rosy kończyła pacierz nocny przed brzaskiem zbliżającej się chyżo jutrzenki.

Krom tego szmeru pacierzowego na owem rozdrożu dwu światów słyhać jeno było śpiew słowika przy krzaku różanym i szelest długich białych szat piętnastu postaci ludzkich, które kroczyły w milczeniu dnem głębokiego parowu w kierunku Taronu. Czoło pochodu otwierała postać wyniosła człowieka młodego z przewieszoną przez plecy

lutnią; każdą z rąk swoich po obu stronach prowadził po jednym starcu, tworząc w ten sposób trójkę, poza którą w sześciu dwójkach kroczyło dwunastu starców, uczepionych każdy następny ręką lewą o szatę poprzedniego, jakby przewodnika; prawe ręce opierały się o kostury lub podtrzymywały lutnie *czy kamancze*.

Ponieważ wszyscy byli niewidomi krom młodego Harutyuna, przeto jeden ze starców, przezeń wiedzionych, zagadnął go w chwili ześlizgiwania się ostatniego promienia księżycowego po brózdach araratowych:

„Czy obłoki skłębiły się nad Messysem?“<sup>1)</sup>

— „Już się kłębią, ojcze“.

„Czy wierzący może w nich dojrzeć arki pracójca naszego Noego?“

— „Może, ojcze“.

„Widzisz, synu: to ci *b'ul-b'ül*<sup>2)</sup> wyśpiewał taką łaskę wieszczą, wróżącą ci drogę świetlaną *aszycha*“<sup>3)</sup>.

— „Po co bluźnisz, bracie? — wtrącił starzec, z lewej strony kroczący. — Ty wciąż jeszcze

---

<sup>1)</sup> Araratem.

<sup>2)</sup> z perskiego = *słowik*.

<sup>3)</sup> z aderbedżańskiego = wieszcz, najwyższy stopień pieśniarza wschodniego, posiadającego trzy dary wieszca: tworzenia pieśni, układania muzyki do nich i wykonywania tych utworów; pierwszy stopień — *hach hanoch* (improwizator), drugi — *hach-assoeh* (śpiewak).



wierny nauce Farsów, a myśmy chrześcijanie; toć nie b'ül-b'ül mu wyśpiewał, jeno Surp-Karapet <sup>1)</sup> wymodlił mu łaskę pieśniarską“.

„Jeszcze nie wymodlił: niechże wymodli!“

Szli więc do świątyni tarońskiej Surp-Karapeta, wzniesionej w tem miejscu, gdzie niegdyś stała świątynia pogańskiego Apolona Armenii; szli wprost ze zboru, który utworzyli byli jako przedniejsi w narodzie mężowie pieśniarstwa, sami srebrnowłosi, niewidomi aszychowie, aby wysłuchać młodego pieśniarza, który ani jest niewidomym, ani srebrnowłosym, a przecie odważył się sięgnąć po siedmiostrunną *kamanczę* <sup>2)</sup> aszychów. Niechże uderzy teraz czołem przed grobem Surp-Karapeta, niech wymodli u niego stwierdzenie trzech łask pieśniarskich, niech mu Surp-Karapet przyzna odwagę, jak niegdyś Wahaga, piękno — jak Astrik i mądrość — jak Anahida <sup>3)</sup>).

Skonała w krzaku kalinowym ostatnia pieśń nocna słowika, spłoszonego wdzierającym się przez liście pierwszym promieniem słońca. I wbiegło złote i drząc słało się po stopniach białych świątyni Karapetowej, gdy aszychowie, chyląc czoła pod blaski

<sup>1)</sup> Św. Jan Chrzciciel.

<sup>2)</sup> z perskiego = lutnia lub gęśla.

<sup>3)</sup> w Aweście i piśmie klinowem staroperskiem = *Anahita*, t. j. Niepokalana, bóstwo wodne płodności, a potem mądrości, odpowiadające Dyanie i Minerwie.

jego, nurzali się w prochu przed grobem wszechpotężnego patrona swojego.

Kamancze ich, złożone przed nimi w szeregu, pławiły się również w złotych promieniach, jak srebrne głowy pieśniarzy; a ilekroć Eol, przechodząc tamtędy, poruszał lekkim tchem swoim kolejno struny każdej lutni, aszych jej zniżał czoło ku ziemi, szepcząc słowa modlitwy:

„Życia i duszy mej pieśni, Panie!“

I tak się kornie modliły te starce od wschodu aż do południa słońca, czasami zwracając wypalone oczy ku wyżynom Araratu i tonąc wzrokiem duszy w przestworach świata. A gdy morze gorącego światła białego załało jedną falą całą dolinę, gdy czternaście dziecięcych chłopiąt — przewodników, które przybyły od ognisk domowych, stanęło za szeregiem modlących się, powstali aszychowie, ujęli kostury i kamancze w ręce, a trzymając się każdy przewodnika swego, odeszli w milczeniu, rozpraszając się na cztery strony świata.

Pozostał sam jeden Harutyun, trawiąc długie dni i noce na poście, modlitwie i rozmyślaniu...

Gdy po dniach czterdziestu zastali go na tem samem miejscu, zamodlonego przed promiennym Surp-Karapetem, najstarszy z aszychów, zaczerpnąwszy wody ze źródła i zwilżywszy nią skronie i usta jego, zapytał:

„Jakie imię wymodliłeś sobie?“

— „Sajat-Nowa“ — odrzekł, powstając i ujmując kamanczę w rękę.

„Bądź życiem i duszą twych pieśni, Sajat-Nowo, na chwałę Surp-Karapeta!“

I znów odeszli w milczeniu, aby powrócić po dniach dwudziestu. A gdy wówczas nie zastali pieśniarza na modlitwie, odeszli bezpowrotnie i nie postali nogą po drugich dniach dwudziestu w dolinie, gdzie tysiące zgromadzonego ludu, słuchając natchnionych pieśni Sajat-Nowy, ogłaszały go pierwszym aszychem od Surp-Karapeta.

.....  
Wiek XVIII. nie znał większego aszycha nad Sajat-Nowę. Bożyszcze tłumów, był zarazem ulubieńcem książąt i przedostatniego króla Georgii, Herakliusza II. Tam nieraz w darbazach<sup>1)</sup> jego siedząc, „okolony barwnym wieńcem pięknych księżniczek“, natchnioną pieśnią ormiańską, gruzińską lub perską przykuwał ich samych, a wzrokiem płomiennym — ich serca do siebie. A i sam nie był obojętnym na czar niewieści. W pieśniach jego miłość występuje jak róża, przy której dokoła wszystkie inne kwiaty bledną i woń tracą. Kochanka staje się dla niego wszystkim: bez niej sztuka jego pozostaje dla niego bez podniety, a życie — bez celu. „Gdybym ciebie przez tydzień nie oglądał, porwałbym struny lutni swojej“ — woła w je-

<sup>1)</sup> Salach.



dnej pieśni do ubóstwionej. Dla niej gotów jest na wszelkie ofiary: „choćby spać na kamieniu twardym, byle on leżał przed drzwiami twemi“.

Mimo to nie chce uważać siebie za ślepego jedynie niewolnika wdzięków: miłość swą ceni wysoko:

„wieczne życie da ci jeszcze  
miłość moja, drogie dziewczę“,

bo jest wszechpotężną, wszechwładną, nieśmiertelną, bo zestrzela w sobie żywioły wszego życia, wszechświata, który istnieje tylko w niej, tylko w nim, nie poza nim i znów:

Chcesz-li zstąpić do mogiły,  
Gotów jestem pójść za tobą.  
Co po innych mnie bez ciebie?  
Niech świat wszystek w nicość spłynie,  
Ludzkość cała z głodu zginie,  
Chcę być z tobą, nie bez ciebie.

Czy się jednak dziewczyna przełęka tych światobórczych pragnień, czy się okazała czułą i tkliwą na niedolę zagrożonej głodem ludzkości i odmówiła swego współdziałania, lub może sam pieśniarz wspomniął o własnych ślubach przed Sur-Karpetem, — dość, że go widzimy rychło przedzierzgniętym w filozofa, opiewającego cnotę ludzkości, a niebawem w asketę, zstępującego do celi klasztornej, z której się na świat nie wychylił przez całych następnych 25 lat życia swego.

W Tyflisie tymczasem pojawił się aszych nowy, którego pieśń rozgłosem popłynęła od Kolchidy i skał Prometeusowych aż poza Ararat ku wybrzeżom Wanu i zaniepokoiła starego asketę w Hachbacie. Nie mógł przenieść tego po sobie, aby kto inny mógł go przerosnąć siłą i sławą, aby kto inny zdołał wydrzeć palmę pierwszeństwa jemu, ulubieńcowi kobiet i Herakliusa. Nie mówiąc nic nikomu, chwyta za swoją kamanczę, opuszcza tajemnie klasztor i zjawia się niespodzianie w stolicy królów, Georgii, wyzywając współzawodnika na turniej. Zda się, iż szczęście jeszcze raz mu się uśmiechnęło, a Surp-Karapet nie odmówił mu i teraz swego natchnienia promiennego. Mimo to Sajat-Nowa szuka znów ciszy w klasztorze, skąd się po raz ostatni wychyla w 1795. roku na wieść o wtargnięciu zastępów agi Mahometa chana do Gruzji. Stary aszych pośpieszył do Tyflisu na ratunek swej rodzinie i tu padł pod ciosami Persów <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Z notatki obcej.

## POBRATYMKI W DOLINIE JOZAFATA.

---

.....

Nie wiem doprawdy, dlaczego tam któraś z kongregacyi anglikańskich z powodu karcianego procesu Cumminga wystąpiła była z surową admonicją do księcia Walii — obecnego króla, — strofując go o brak bojaźni bożej. Zaprawdę — książę ten zaliczać się może do najpobożniejszych ludzi na kuli ziemskiej, mając na to dowód namacalny na własnem ramieniu. Zaświadczyć może balwierz jerozolimski, który go tatuował, a który każdemu z podróżnych, pragnących ogolić się i odświeżyć u wejścia do grodu świętego, pokazuje następujący atestat:

„Ja niżej podpisany stwierdzam — jako Franciszek Souvan wyryl krzyż jerozolimski na ramieniu Jego Wysokości księcia Walii. Uczucia przyjemne, doznawane przez Jego Wysokość podczas



tej procedury, zalecają ją osobom, pragnącym miłych wrażeń.

W Jerozolimie 2. kwietnia 1852. roku.

*Vanné,*

kuryer z orszaku J. W. księcia Walii“.

Mimo tak ponętnego zalecenia i nadziei zostania po tatuowaniu *hadżym*, t. j. pielgrzymem, który zwiedził miejsce święte, nie chciałem się poddać żadnej innej procedurze krom ogolenia brody, którego dokonała dość zręcznie, choć łaskotliwie, ręka siostrzenicy owego posiadacza cennego dokumentu angielskiego. Śpieszno mi było podążyć do kościoła franciszkańskiego: *Casa Nuova*, gdzie — w braku czystych hoteli — miało się zapewnioną gościnność i skąd przesłać musiałem jak najpilniej dany mi do patriarchy list polecający.

Niedaleko furty klasztornej spotkałem starego zakonnika w długich sukniach zakonnych, z głową, okrytą czerwonym fezem tureckim. Wychodził z klasztoru zamyślony, z błędzącym na ustach uśmiechem dobrotliwym. Przechodnie zatrzymywali się, prosząc o błogosławieństwo, a jakaś osóбка i dwaj Turcy muzułmańscy zbliżyli się doń z powagą i ucałowali sukienkę jego.

„Kto to taki?“ — zapytałem furtyana.

— „*Il nostro superiore!*“ — odrzekł z dumą braciszek.

I miał być z czego dumnym. Superyor stał na czele zakonników w Jerozolimie, którzy tam położyli zasługi olbrzymie dla chrześcijaństwa i cywilizacji, a wraz z zasługami zjednali sobie równej doniosłości wpływ i uznanie nawet u Turków. To, czego zdobyć nie mogła cała Europa, uzbrojona w ciągu tylu wojen krzyżowych, tylu walk krwawych, zdobyły zakony chrześcijańskie, a w ich liczbie i poniekąd na ich czele ubogi zakon franciszkański, ocalając świątynie i miejsca, drogie chrześcijanom dla ich czci i kultu. Zdobywano nie orężem, niemniej przeto krwią, w której kapali swą pokorę, cierpliwość, jałmużnictwo. Każdy zabytek, każdy ołtarz, każdy kamień wymodlić i wyżebrać należało u zdobywców muzułmańskich tysiącami prośb, modłów, ofiar, żebractwa w szeregu wieków całych; w ciągu tego setki i tysiące tych miłosiernych braci żebrzących ginęły, zostawiając miejsce nowym zastępom, które działały z tą samą wiarą, miłością i pokorą, zakładały schroniska, szkoły, szpitale tak dla chrześcijan wszystkich wyznań, jak dla Żydów i muzułmanów, niosły słowa pokoju, braterstwa i opieki dla wszystkich bez wyjątku, rozbrajały wrogów bezbrzeżną ofiarnością i lekiem, podawanym duszy i ciału w miłości, w najszczytniejszym altruizmie.

Gdy dodamy, że większa część Franciszkanów palestyńskich bywała często pochodzenia francuskiego, że większość w tym kraju szkół chrześcijań-

skich rozwija się pod wpływem francuskim, a opiekę nad chrześcijaństwem stara się tam najsiłniej utrwalić Francya w interesie cywilizacyjnym i politycznym, to zrozumiemy i znaczenie owego pocałunku poczciwych muzułmanów na szatach superyora i obawę owego męża stanu tureckiego, który powiedział do Francuza: „Nie waszej armii, lecz waszych habitów boimy się w Syrii“, — i nareszcie każdorazową przy zaburzeniach w Palestynie postawę energiczną ambasadorów francuskich u Wysockiej Porty.

O zaburzenia takie zawsze łatwo w kraju tyłu religii i aspiracyi politycznych, gdzie wyznawców tyłu obrządków chrześcijańskich spotyka się na każdym kroku, uświęconym tradycją Starego i Nowego Testamentu, — wyznawców, z których każda grupa każdego wyznania lub religii stara się jak najdłużej zachować w swem posiadaniu lub używaniu każdą niemal piędź Ziemi świętej — gwoli zbawienia wiecznego, a nieraz i doczesnego.

.....

Na korytarzu klasztorным spotykałem często dwie stare panny, Terstenianki rodem, dość majątne, posiadające kilka rozkosznych willi i realności pod Tryestem (Terst). Chodziły zawsze smutne, z różańcami w rękę i z szeptem pacierzy na ustach. Towarzyszył im miły i wesoly staruszek, którego nazywały wujciem, a który widocznie spełniał funkcyę czyczerona i towarzysza z musu, dla *deco-*



*rum.* Franciszkanin brat Anzelm, który opiekował się mną przez cały czas pobytu w Jerozolimie, a kilka razy towarzyszył nawet w wycieczkach, na każdorazowe pytanie moje o te panie wzruszał ramionami, poczem dodawał pochwały pod adresem ich miłosierdzia i wielkiej pobożności; w końcu powiedział, że chodzą codziennie do jednego z braci klasztornych, zajętego układem przewodnika drukowanego po Ziemi świętej i jako od specjalisty żądają dokładnych planów i informacji w dolinie Jozafata.

Pewnego poranku ujrzałem je niezwykle ożywionemi i niemal wesołemi. Spostrzegłszy o. Anzelma, z którym właśnie wychodziłem z celi po wypitej wspólnie kawie czarnej, nie mogły się powstrzymać od okrzyku:

— „Mamy go nareszcie!”

„O cóż to idzie?” — zapytałem o. Anzelma.

— „Pewno o lilie na ramieniu, które im miano wytatuować w balwierni, a o które jako niewiasty pobożne i czyste dawno czyniły zabiegi, jeno jako zbyt skromne — wzdragały się poddać operacji męskiej, więc może wytatuowała je siostrzenica balwierza.

Ale szanowny pater był trochę w błędzie. Szło tu nie o same tylko lilie. Rozmową słoweńską i powołaniem się na kilka znajomych wspólnie domów w Tryeście i Lublanie pozyskawszy trochę zaufania tych pań, a zwłaszcza staruszka, dowiedziałem

się od nich, że ucieszyła je awiza pasportów, otrzymana w konsulacie austriackim, oraz poświadczenie jakiegoś urzędnika z konsulatu, że te panie mają wryte lilie na ramionach.

„Więc panie już wracają do kraju?”

— „Eh, nie; *je treba czakati na drugo dobo*“ — odrzekła jedna z siostr, a staruszek dodał:

„*Poprej morejo s pasaportom konzula na desnicy Josafata...*“ — i urwał, zgromiony wejrzeniem drugiej, bardziej milczącej panny.

Nie zrozumiałem na razie — do czego służyć może paszport na dolinę Jozafata, a chęć bliższej informacji zniweczył brat Anzelm, nagłąc o pośpiech z wycieczką do ruin Haram-es-szeryfu. Pożegnawszy więc panie i staruszka, udaliśmy się w stronę góry Moriahu, na której stała niegdyś świątynia Salomona, a dziś wśród ruin i gmachów Haram-es-szeryfu wznosi się jeden z najwspanialszych na Wschodzie meczetów — meczet Osmana, dokąd muzułmanie, poczytując go za najznamienitszą po Mekce i Medynie świątynię, śpieszą tłumnie ze wszech stron świata.

Meczet ten, dawniej zamknięty dla każdego chrześcijanina pod grozą śmierci, dziś otwiera podwoje swoje każdemu chętnie, a tembardziej czczonym tu powszechnie Franciszkanom. Toteż pod przewodem o. Anzelma zwiedziwszy wnętrze świątyni, zbudowanej dokoła skały, o którą według podania miała być oparta głowa patryarchy Jakóba

podczas jego widzenia sennego, zesłiśmy do pieczary podziemnej, aby obejrzyć miejsce dumań i modlitw Abrahama, Eliasza, Dawida, Salomona i Mahometa, który często tu przebywał, wprowadzie w pragnieniach tylko swoich i marzeniach (jak mówią jego przeciwnicy), którego ślady mimo to pokazują prawowierni muzułmanie, a zwłaszcza otwór, który miał przebić ognisty rumak proroka, unosząc go tamtędy na drugą stronę. Od gwałtownego takim skokiem wstrząśnienia skała zerwała się ze szczytu góry Moriahu i byłaby się stoczyła po jej pochyłościach, gdyby nie przytomność umysłu archanioła Gabryela, który ją wstrzymał w biegu i pozostawił tak zawieszoną między niebem i ziemią, a podtrzymywaną tylko gałązką palmową w ręku matek obu wielkich proroków — Mahometa i Jezusa. Gałązki tej i sposobu zawieszenia trudno się dopatrzeć, bo muzułmanie to miejsce osłonili murem, którego nie przebije wzrok nawet ostrowidza.

Po zwiedzeniu muru lamentów, pod którym płakać wolno Żydom nad swoją przeszłością, zatrzymaliśmy się przed stosem kamieni, osłaniających most, który prowadzi na górę Oliwną. Przez most ten w dzień sądu ostatecznego muszą iść ludzie, pragnący dostać się do raju. Ma być wąskim i ranić nogi, jak ostrze miecza; kto nie jest lekkim i wolnym od grzechów, lecz dźwiga ich ciężar na sobie, nie wytrzyma tej drogi i musi runąć.



Nam udało się pod opieką bogobojnego o. Anzelma obejść to miejsce niebezpieczne i zejść bez szwanku w dolinę, zwaną przez naszego mulnika arabskiego Vadi-el-hesr (en-nahr), a przez cały świat chrześcijański — doliną Jozafata.

Był to skwarny dzień ostatnich dni lata i święto pielgrzymki muzułmańskiej na górę Moriah. Wypłoszeni wcześniej stamtąd przez nadciągające tłumy przekupni i moslemitów, udających się na modlitwy do świątyni swojej, byliśmy znuzeni i zgrzani, a żądni jakiegokolwiek ochłody, bodaj najmniejszego cienia drzewa. Przed nami zaś rozlegała się wąska, pusta i jałowa dolina, ogołocona ze wszelkiej roślinności, najeżona jeno wietrzącymi kamieniami grobowymi lub na dalszym widnokregu piętrzącymi się złomami skał. Gdzieś w głębi wyschłego łożyska ukrył się jedyny strumień Cedronu, skąpiąc ochłody ludziom. Ze szczelin grobów wyglądające zielska spalił żar słońca tak, że przedstawiały tylko resztki sterczących zesłych badyli. Jedyny zabłąkany ptak jakiś, spłoszony krokami naszymi, uleciał z tego miejsca smutku i grozy.

Przypomniałem sobie wszakże, że niedaleko musi być tunel i grota ze źródłem dziewicy Maryi (*Ain Sitti Mariam*), słynne z niedawno odkrytych napisów kamiennych, prawdopodobnie z czasów Ezechiasza. Tunel rzekomo przekopano na rozkaz jego celem przecięcia oblegającym Jerozolimę A sy-

ryjczykom dostępu do studziń i źródeł jerozolimskich <sup>1)</sup>).

Pośpieszyliśmy tamtędy i po zwiedzeniu tunelu, a odczytaniu napisu, wróciliśmy do groty i, usiadłszy na kamiennym stopniu skały, krzepiliśmy siły swe daktylami, winem i sorbetem, których zapas przygotował nieoceniony o. Anzelm. Upłynęło dobre pół godziny, gdy po skończonej uczcie, paląc cygara, wśród rozmowy o zamierzonej na jutro wycieczce posłyszeliśmy z zewnątrz nad nami od strony otworu groty i doliny cedrońskiej rozpaczliwy krzyk o ratunek. Wybiegamy po kilkunastu stopniach na górę i widzimy przed sobą starego wujaszka, towarzysza owych pań Terstenianek:

— „*Gorje nam, za Boga jedinoga!* — wołał zalamując ręce — śpieszcie się, drodzy chrześcijanie, z pomocą, bo jedna z pań zemdlą!”

„Jak? Gdzie? Co państwo tu robicie?”

— „Myśmy tu z paszportami konsulatu przyjechali zapewnić się o miejscu na sąd ostateczny... Widzieliśmy zdała was, pobratymcze, i poznaliśmy po wzroście i płaszczu beduińskim... A tu wśród puszczy, gdy zemdląła jedna z naszych, pośpieszyłem tu... dla Boga, śpieszcie się z pomocą!...” — mówił bezładnie lamentujący staruszek.

---

<sup>1)</sup> Kwestyę tę, jakoteż znaleziony napis kamienny tunelu z czasów przekopania onego, wyjaśnia dość skrętnie p. J. W. R. w rękopisie, dotąd niedrukowanym, a zostawionym mi do przejrzania.

Posadziliśmy szybko mulnika na muła, dając mu jedną flaszkę z winem, a drugą z wodą, aby pośpieszył naprzód, a sami, zaopatrzywszy się jeszcze w jedną flaszkę, podążyliśmy za nim piechotą. Staruszek, w drodze uspokoivszy się, mówił:

— „Bo to widzicie, łaskawi panowie, jak wam — a przedewszystkiem *patri reverendissimo* — wiadomo, tu w dzień sądu ostatecznego siła ludu się zejdzie: będzie ścisk straszny. Gdzież tu się pomieścić w tak wąskiej dolinie? Owóż w przewidywaniu wielkich kłopotów bogobojne siostrzenice i panie postanowiły zapewnić sobie tu miejsce na ów dzień straszny i w tym celu wyjednały wizę paszportową na tamten świat od konsula, tudzież poświadczenie o swojej bogobojności, jako im wryto lilie niewinności. Przybyliśmy tu właśnie, aby objąć w posiadanie miejsce wybrane i zakopać w niem nasze paszporty i zaświadczenia...”

„A jakże państwo wróćcie teraz bez paszportów do kraju?”

— „Eh, pan konsul dobry człowiek: powie się mu, że paszporty zgubione, więc wyda inne...”

„No, a jakże was woźni św. Piotra poznają w dzień sądu ostatecznego, aby zapewnić miejsce na dolinie?”

— „Przecież panie mają lilie, wryte na ramionach, a takie lilie nigdy nie zginą na ciele i będą na niem w dzień powszechnego zmartwychwstania; więc się tylko okaże ramiona dla stwierdzenia toż-



samości osób, których zamówienie w tem miejscu zakopane, gdzie właśnie jedna z pań, kopiąc dół, zemdlala ze wzruszenia!\* — mówił staruszek już z uśmiechem zadowolenia, widząc zdala, jak pod strumieniem wody mulnika chora panna powstała i usiadła na kamieniu.

Myśmy, nadciągawszy wkrótce, niewiele mieli do czynienia z pomocą, więc wprawieni w dobry humor jowialnością staruszka, zabawialiśmy panie rozmową ochoczą, nie przeczuwając, że za chwil kilka przydadzą się troski zamówień Jozafatowych dla pań zrządzeniem jednego z tych niespodzianych a tragicznych wypadków, jakie na Ziemi św. nieraz się zdarzają.

Właśnie zajęci rozmową, nie dojrzeliśmy na razie, jak z dwu stron wchodziły w dolinę Cedrońską dwie partye pielgrzymów chrześcijańskich: jedna, dążąc z Jerozolimy do Betlejemu, druga w przeciwnym kierunku, a jednocześnie z trzeciej strony wychodziła ze swojej świątyni po pochyłości góry partya pielgrzymów muzułmańskich, z kramarzami i przekupniami bakalii i sorbetów na czele.

Gromada pielgrzymów maronickich kierowała się ku Getsemani, orszak zaś pątników koptyjskich dążył z przeciwnego kierunku do miasta: i tu i tam na czele jechało kilku jeźdźców z chorągwiami, przodując gromadom, z których każda, nucąc pieśni religijne, postępowała środkiem parowu ce-

drowego, nie chcąc ustąpić pierwszeństwa stronie przeciwnej. Spór, choćby krwawy, prędzej lub później musiał wybuchnąć, a przyspieszył go przypadek.

Osiel jeźdźca koptyjskiego, ulegając tak częstym a zwykłym temu stworzeniu zmianom humoru, a może podniecony widokiem oślicy, zagłuszył śpiewy obustronne przeraźliwym rykiem, i nastawiwszy uszy, mimo oporu powstrzymującego go jeźdźca uderzył z kopyta i puścił się cwałem w sam środek szeregu Maronitów. Ci zaś, bądźto uważając skok za rozmyślną zaczepkę jeźdźca, bądź nie mogąc powstrzymać swoich koni, spłoszonych widokiem i rykiem osła, rzucili się na gromadę pieszych Koptów, rozrywając jej spójność i trując niemiłosiernie jednostki. Powstał krzyk, zamęt, przekleństwa i wreszcie bójka krwawa a zacięta, z całą gwałtownością tych dzieci południa.

Parów w tem miejscu zwięźał się i zataczał łukiem i myśmy, schodząc z poza skał syloańskich, trafili właśnie na pierwszą chwilę starcia i usunęli się pośpiesznie na wznoszącą się nad parowem pochyłość, uważając ją za bezpieczne schronienie dla obu siostr, osłabionych i znużonych niedawnem zajściem własnem, a teraz przełkniętych niespodzianą wrzawą i bojem pielgrzymów. Na nieszczęście, wybrane przez nas stanowisko leżało na drodze kierunku, który wydał się najkrótszym czy najdogodniejszym dla zstępującego od strony Haram-es-szeryfu w dolinę tłumy muzułmańskiego.

Z początku wstrzymał się on obojętnie w swym pochodzie i nieruchomy przypatrywał się walce, w końcu jednak, czy kierowany żądzą rozbrojenia walczących, czy wzięcia w obronę jednej ze stron, puścił się za przewodem kilku bakalów jak lawina w dół parowu. Kilkunastu z nich z okrzykiem przebiegło podle nas, a potracona przez nich starsza z sióstr Terstenianek upadła twarzą na ziemię, uderzając głową o kamień i staczając się po pochyłości parowu.

Być może rana sama nie byłaby niebezpieczną i mimo szybkiego staczania się kobiety możnaby ją było uratować, gdyby nie szalony pęd kilkunastu kawalerzystów tureckich, których wysłano z gubernatorskiego kuluku na Haramie dla przywrócenia porządku w parowie. Nie mogąc powstrzymać swych koni w pędzie, obaliwszy staruszką po drodze, stratowali Tersteniankę na śmierć; z połamanemi żebrami i rozbitą czaszką podnieśliśmy ją z ziemi.

Można sobie wyobrazić te przykre i wstrząsające wrażenia, jakich się doznawać musiało na widok tak krwawej sceny, oraz rozpacz osieroconej siostry, która nadto ratować musiała potraconego, chorego staruszką. Bój cały uśmierzono w ciągu godziny i zapytowie tureccy zaprowadzili do *apsu* (więzienia) kilkunastu pielgrzymów, posądzonych o rozmyślnie wywołanie rozruchu. My zaś kazaliśmy przewieźć zwłoki ofiary niewinnej do kostnicy klasztornej, gdzie też została żyjąca siostra na



straży, a staruszka o. Anzelm polecił opiece swych braciszków klasztornych. Siostra chciała pogrzebać nieboszczkę koniecznie na tem samem miejscu doliny Jozafata, którą obrały obie i zamówiły na dzień sądu ostatecznego, ale musiano jej długo tłumaczyć niemożliwość wykonania takiego zamiaru z powodu, iż w onem miejscu niebyło cmentarza katolickiego. Mimo to zaczęła czynić odpowiednie starania u walego i patriarchy, a choć jej prośbie odmówiono, nie zraziła się tem i wyjechała do Tryestu dla zlikwidowania interesów, zapowiadając rychły powrót i żywiąc wciąż nadzieję, że otrzyma pozwolenie na przeniesienie zwłok, które tymczasem umieściła w wynajętym cudzym grobie murowanym.

Myśmy w owym dniu wypadku krwawego dopiero późno wieczorem mogli zasiąść nieco spokojniej w celi o. Anzelma i przy skromnej wieczerzy pokrzepić ciało i ducha, znużone tak przykremleniami. Mówiliśmy o tym gorszącym dla muzułmanów widoku ciągłych sporów i kłótni w Palestynie między zwolennikami różnych wyznań chrześcijańskich. Podając nam daktyle i wino, braciszek Piotr odezwał się:

— „Nie zawsze tak było na tej ziemi, była ona niegdyś krainą zgody i miłości bratniej“.

„Kiedyż to było, chyba bardzo dawno?“

— „Ano, zapytajcie o to Arabów tutejszych,

którzy skwapliwie i oddawna opowiadają pielgrzymom legendę“.

„Jaką?“

— „Już ona zapisaną jest w księgach. Powtórzę ją tylko. Te miejsca, na których dziś leży Jerozolima z okolicami, były wielką szachownią łanów zboża, uprawianego w pocie czoła. Między wielu posiadaczami gruntów żyli dwaj bracia; mieli w spadku po matce wdowie część tej połaci, na której później stanęła świątynia Salomona, a dziś Haram-es szeryf. Uprawiali rolę wspólnie i dzielili się równo plonem, mimo że jeden był bezzennym, a drugi miał żonę i dzieci. Pewnego razu, gdy nadeszły żniwa i obadwaj, zżnąwszy pszenicę, powiązali ją w snopy i złożyli w dwa jednakiej wielkości brogi, niezonały rozmyślając samotnie w nocy, tak rzecze do siebie:

„Brat mój musi starać się o wyżywienie całej rodziny, ja zaś sam jestem, niesłuszną więc byłoby rzeczą, gdybym zatrzymywał dla siebie tyleż, co on; pójdę na pole, wezmę ze swojej części snopów kilkanaście i przeniosę je na bróg brata tak, aby się nie spostrzegł“.

Wnet też wykonał myśl powziętą.

Drugi brat, nie mogąc długo zasnąć w nocy, trapiiony myślami o bracie, rzecze do żony:

„Brat mój żyje samotnie, nikt mu w trudach nie dopomoże, brak mu towarzyszkii zarówno w pracy, jak w smutku i weselu; niesprawiedliwą byłoby rze-

czą, gdybyśmy taką samą ilość plonu zatrzymywali dla siebie, jak on; wstańmy i chodźmy póki czas do świtu: zabierzemy kilkanaście snopków swoich i dorzucimy niepostrzeżenie do brogu brata!”

Wnet też wykonali myśl powziętą.

Obadwaj bracia spali następnie mocnym snem sprawiedliwych, a gdy się zrana obudzili i każdy poszedł oglądać rolę, niepomiernie się zdziwił, że własnemu brogowi nic nie brakowało, a braterski nie był większym: oba równe. W ciągu następnych kilku nocy każdy powtarzał pierwszą próbę i zawsze nazajutrz znajdowali obadwaj jednaki obraz, aż wreszcie pewnej nocy, wyszedłszy obaj na zwiady, zetknęli się z sobą, niosąc każdy snopy swoje do brogu braterskiego. Takie tedy miejsce zgodnej cnoty i poświęcenia się obu musiało być miłem Bogu i dlatego tu powstała świątynia i miasto święte dla ludzkości, święte zarówno w Starym, jak i Nowym Zakonie, a i dla muzułmanów“.

„Myślałem, że braciszek zechce propagować socjalizm, ale widzę, że to na tem miejscu byłoby zbyt bezcelne, bo ci mądrzy ludzie azyatyccy starej cywilizacji, wypróbowaawszy wszelkich sposobów, rozstrzygają i takie kwestye mądrością — serca.“

— „Albo *apsu* przy Grobie świętym“ — dodał o. Anzelm.

Apsem w tym razie nazwał złośliwie poczciwy o. Anzelm straż żołnierzy tureckich przy bazylice Grobu świętego.



Istotnie, niemilego niejedni doznali wrażenia, gdy, wstępując do tej pierwszej świątyni całego chrześcijaństwa i przechodząc przez sklepiony posępny przysionek nawy kościelnej, widział w tym przysionku kilkanaście fezów czerwonych, tyleż karabinów i filiżanek z kawą obok sofy tureckiej. Ale przyznać trzeba Turkom, że za sprawą losów otrzymawszy straż miejsca świętego, której utrzymać nie potrafił żaden z ludów chrześcijańskich oddzielnie, ani wszystkie razem, nie nadużywają swego przywileju, a przynajmniej bardzo rzadko. Nie wchodzi nigdy do kościoła, przemawiają do chrześcijan, zwiedzających świątynię, z uszanowaniem, zdradzającem cześć dla miejsca i religii, starając się często o rozjemstwo w sporach między różnymi wyznaniem, z których każde w żarliwości swej religijnej stara się jak najdłużej utrzymać w posiadaniu każdego zakątka miejsc świętych<sup>1)</sup>. Że przy takim rozjemstwie i oni niekiedy krew przelewają, to już chyba ubolewać wypada nad tymi, którzy się uciekają do tego rozjemstwa, mimo wszelkiej szlachetności lub ideal-

---

<sup>1)</sup> Przy ołtarzach pamiątkowych miejsc świętych (jak przy żłóbku, Grobie i t. d.) różne wyznania kolejno jedno po drugim mają prawo odprawiania mszy i nabożeństw. Często się zdarza, że wierni jednego wyznania usiłują przedłużyć swą kolej i opóźnić dla innych prawo użytkowania, stąd spory i zwady.

ności pobudek, skłaniających strony sporne do waśni.

U Grobu Bożego — przy końcu owego przy-  
sionka ze strażnicą turecką — byliśmy we czworo  
zaraz po pogrzebie Terstenianki; towarzyszył nam  
wuj-staruszek i osierocona siostra, która, wyprze-  
dziwszy nas, weszła pośpiesznie do drugiej kaplicy,  
kryjącej jaskinię grobową, i tam, ukląkszy przy  
kratach, rzewnie płakać zaczęła, co chwila powta-  
rzając i zawodząc: *jao, jao!*

Nie chcąc przerywać modłów, usunęliśmy się  
stamtąd do pierwszej kaplicy i zatrzymaliśmy przy  
kamieniu, na którym siedzieć mieli aniołowie, kiedy  
odpowiedzieli niewiastom świętym:

*„Już Go tu niema, On zmartwychwstał“.*

. . . . .

Biedna kobieta towarzyszyła nam jeszcze do  
grobu Matki Chrystusowej w dolinie getsemańskiej  
której całą szerokość zajmuje budowa architektury  
mieszanej, należąca do Ormian. Tam uklęka na  
marmurowym stopniu dziedzińca przed kościołem,  
szukając ukojenia żalu swego u „Pocieszycielki  
strapionych“, a my we trzech usunęliśmy się ku  
podnóżu Góry Oliwnej w cień jednego z drzew,  
które były podług podania świadkami cierpień czło-  
wieka-Boga, kiedy w przystępie najboleśniejszego

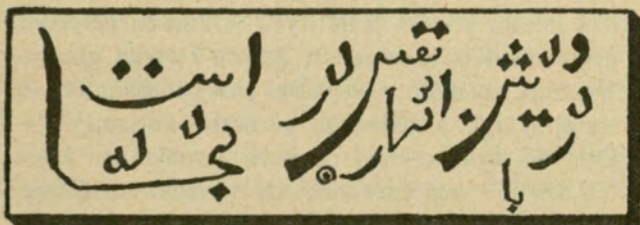
rozzewnienia szeptał te przedziwnej wzniosłości uczucia i poddania się słowa, zdobiące fronton kościoła św. Aleksandra w Warszawie:

„*Ojcze mój, niechaj odejdzie odemnie ten kielich!...*“

---



## DERWISZ KROTOFILNY.



(derviŝ ba neŝ-i-emmaire der müdzadele äst<sup>1)</sup>)

„Więc widzisz, effendi, że mi dokuczyło być derwiszem, a przyjaźń wesola bratanka „króla królów“, ciążyła mi jak trzy oki fig egipskich, które

<sup>1)</sup> Dosłownie: derwisz w szamotaniu się z opanowującą go namiętnością, t. j. derwisz w pokusie. — Humoresce tej, napisanej przez autora podczas ostatniego w Warszawie pobytu szacha Nasr-ed-dina — towarzyszący temuż perski minister oświaty — w przekładzie z polskiego dla swego władcy — taki dodał tytuł perski.

codziennie z rozkazu sahiba zjada mój przyjaciel Meszedi effendi. A przecież figi to rzecz smakowita!”

Tak mówił mi 80-letni jowialny jubiler, Nur effendi, belkocząc wodę w dogasającej nargili, a lewą ręką wciąż poprawiając okulary na nosie granatowo-purpurowym.

Kto zwiedzał Stambuł przed dwudziestu laty, musiał znać Nura effendiego. Idąc do Seraskieratu, jak niemożna było ominąć świeżego z sałatą cykoryową kebabu Meszediego effendiego, tak też trudno było nie zwrócić uwagi na jedyny w tej dzielnicy miasta kram z plamistymi turkusami perskimi, dyamentami z Kimberleyu (co do których uroczyste zapewniał stary sługa sklepowy Ibrahim, że są starej skały), a zwłaszcza „oczkami kociemi“, jakich nie było w całej czarszyi, i rubinami, które tak dzielnie współzawodniczyły z nosem ich właściciela — Nura effendiego.

Ale Nur effendi nie miał powodu do takich utyskiwań na swe dawniejsze powołanie derwiszowskie, skoro, jak się okazało, był ptakiem niebieskim i tylko temu powołaniu zawdzięczał wszystkie swoje obecne klejnoty, nie wyjmując rubinów na nosie.

## I.

W czasach jego młodości, kiedy się jeszcze nazywał Alim-Hassanem i jako syn dostojnych rodzi-

ców perskich mieszkał w Teheranie, o Nasr-ed-dinie jeszcze słyhać nie było, a Fatch-Ali-szach był miłosiernym dla rodu męskiego. Kobiety bywały piękniejsze, niż teraz, o! daleko piękniejsze, ale mniej złośliwych oczu, niż te kocie oczka, wystawione teraz na urągawisko niewiastom w dukanie pod Seraskieratem stambulskim. Niebyło tedy ani komu, ani do kogo iść ze skargą na mężczyzn: kawiarnie stały otworem i Ali Hassan, przebywając w nich lata całe, rozwinął wprawdzie niepospolicie kunszt gawędziarski baśniarza, ale przehulał cały majątek. Pozostał mu tylko pies, wierny sługa Ibrahim, dom na przedmieściu drewniany, którego nikt nie chciał kupić, a przy nim dwie grządki salaty i jedna cebuli.

„Co teraz począć?“ — myślał Ali Hassan, puszczając z wolna białawe kłęby dymu ostatniej porcji tembeki ze swego kaljanu.

Nazajutrz, obudzwszy się z bolem głowy, poszedł z prośbą o pożyczanie 50 rupii<sup>1)</sup> do swego przyjaciela Jusufa, który, zrobiwszy na handlu końmi w Indyach wielki majątek, mieszkał teraz we własnym pałacu, gdzie niejedną wesolą chwilę spędził z Alim Hassanem na rozmowach o huryskach i przy dzbanie hamadańskiego lub szyraskiego wina, oczywiście tak, aby służba nie widziała.

„Co tobie za *nefs* przyszedł do głowy, Ali Has-

---

1) Około 100 franków.



sanie? — odrzekł z zimną krwią Jusuf na pierwszą wzmiankę o pożyczce. — Cóż to, czy derwisz jesteś czy co, żebym ci dawał pieniądze? Jeszcze mi włosy na dłoni nie wyrosły, dzięki Allahowi“.

Ali Hassan, rozczarowany i markotny, wrócił do domu.

„Co ten psi syn zgorzałego ojca mówił o nefsie?... Szkoda, żem nie żądał od niego tysiąca rupii, możeby prędzej dał mi, niż tych marnych pięćdziesiąt!“ — mówił sam do siebie, siadając głodny w kącie odartego z kobierców menderlika i patrząc gniewnie na wygasły z dnia wczorajszego kaljan.

Co począć? Co począć?...

Myślał dzień, dwa dni, tydzień cały; myślał miesiąc, pół roku, rok cały, żywiąc się tylko sałatą i cebulą z grządek ogrodu swojego, a kaljan i kawę pijąc za pieniądze sługi, który je uzyskiwał ze sprzedaży kobierca, darowanego mu przez nieboszczyka ojca Hassanowego. Soczysty kebab, tłusty pilaw, słodkie a wonne sorbety pojawiały się wprawdzie u Jusufa, lecz u Alego Hassana pozostały tylko po nich wspomnienia żalosne. Zamiast nich leżały przed nim: egzemplarz „Tysiąca i jednej nocy“, zostawiony przez nieboszczkę matkę, i Koranu podsuwany mu przez sługę na pociechę w troskach. Ali Hassan, z łysiejącą po tyfusie głową i z pomierzwioną a zaniedbaną brodą, siadywał w porze śniadania i obiadu nad temi księgami i przewracał

kartki palcami wychudłymi, na których wyrosły na cal przeszło paznogie. Wyglądał jak derwisz.

Po roku śni mu się, że siedzi na wzorzystym kobiercu w wielkiej sali pałacu marmurowego; srebrne promienie księżyca igrają swawolnie ze złocistym światłem tysiąca jarzących świec i odbijają się w kaskadzie wody różanej, która dźwięcznym szmerem spływa do basenu z fontany, wzniesionej po środku sali. Zapach róż i lewkonii, zalatujący niewiadomo skąd: od basenu czy ogrodu, przez okno, miesza się z wonią rozkoszną królewskiej tembeki złocistego kaljanu, którego właśnie dopala Ali Hassan, gdy na złocistych tacach rój czarnych niewolników wnosi olbrzymie stopy kebabu, całe piramidy pilawu z ryżem i dziesiątki potraw kuchni królewskiej, na ostatku zaś dzbany sorbetów, nalewanych w kryształowe czary z chińskiej porcelany. Między niewolnikami znajduje się dawniejszy przyjaciel Jusuf, z czolobitnością i pokorą stojący przed nim. Ali Hassan widzi wyraźnie, jak Jusuf podaje mu najpierw na dłoń, porośniętej włosami, kieszę złotą, a następnie po skończonym obiedzie haftowany złotem i jedwabiem ręcznik, którym Ali Hassan po ablucyi rąk wodą nad złocistą misą ociera zwolna ręce; opuszczając salę fontanową, znika w tajemniczych przybytkach enderunu, gdzie, spojrzawszy na orszak odalisek, rzuca na najpiękniejszą z nich ów ręcznik złocisty...

„Niezbadany jest Allah w swych wyrokach,

użyczając ludziom tyle rozkoszy!“ — mówił sam do siebie Ali Hassan po przebudzeniu się, lekko westchnąwszy.

I z wolna próbował otworzyć ociężałe powieki, ale jakby przez mgłę ujrawszy nędzne łoże i pustą ze zabrudzonymi oknami izbę, pośpiesznie zamknął znów oczy, bojąc się stracić z pamięci senne widziadło. Śnił więc dalej na jawie i przywoływał w pamięci wszystkie kolejno obrazy niedawnego widzenia, to wciągając nozdrzami zapach róż i buchający z piramidy pilawu opar, to przysłuchując się szmerowi kaskady różanej, to szelestowi jedwabnych sukien odalisek, to znów dźwiękowi złota Jusufowego, to pieśczośliwemu głosowi Zulejki. Eh nie, to nie Zulejka, to rozkoszna Nissa! Jakie jej oczy wielkie, niby szafiry szacha, jakie jej rzęsy długie, powłóczyste, a zęby jak perły uryańskie! Ależ nie, to Lejla z warkoczem złocistym, promiennym, z oczyma płomiennymi, żarzącymi się jak dwa dyamenty: Derdżar-i-nur i Morze światła, w których gaśnie blask księżycy i ogień słońca, a serce zapala się wulkanem.

„Ali, Ali, a mnie opuszczasz?!“ słychać szept skargi dziewczęcia wiotkiego i białego jak lilia, z załzawionymi oczyma niezapominajek.

— „Ach, nie, nie i stokroć nie. Chcę mieć ciebie... Kocham Lejlę... nie porzucę Nissy... a Zulejka, Zulejka... Chciałbym być szachem — „ucieczką wszechświata...“



— „Szachem?... nie, nie! — odpycha od siebie Ali Hassan tę myśl zbrodniczą... Cóż szach? W ende-runie jego sto, dwieście, trzysta hurrysek... ja chcę mieć więcej. ja chcę mieć wszystkie, ja chcę mieć świat cały, ja — „ucieczka świata...“ A zresztą, czy szach może pić wino wbrew zakonowi proroka?... Kto go zwolni od zakazu?..“

Mimo że Ali Hassan w marzeniach sennych zaludniał czarodziejski swój ogród huryskami, krzakami róż, narcyzów, lili i tulipanów, a wśród nich widział topazowe kaskady hamadańskiego i rubinowe szyraskiego wina, był zanadto wierzącym mużulmaninem, aby chciał choć na chwilę złamać świadomie zakon proroka, a raczej prawnie upozorować przekroczenia przepisów Koranu. Przekraczał je i łamał nieraz na wesolych ucztach z Jusufem. — prawda, ale czynił to z zamrużonemi oczyma, albo wmawiał w siebie, że prorok w danej chwili ma oczy zamglone. A zresztą był wówczas innym człowiekiem!

Ale teraz po tak częstych i długich rozmowach z Allahem i Mahometem za pośrednictwem tej świętej księgi, którą mu podsuwał dbały o zbawienie jego sługa (oby go Bóg pocieszył w jego stratach!), byłoby to zbrodnią, krzywoprzysięstwem, obludą. Ali Hassan chciał być czystym wobec Boga, pragnął teraz patrzeć z czystym sumieniem i czystym okiem ku promiennym jego przybytkom, chciał mieć wolę zostania bez grzechu.

Poza wolą jednak działały dawniejsze nawyki, obrazy z przeszłości, podniecające jego wyobraźnię, i pragnienia tem większe, im większy kontrast z niemi tworzyła jego terażniejsza nędza, pragnienia używania rozkoszy, niehamowanych niczem, żadnymi przepisami, żadnymi ustawami Zakonu i tak wielkich, tak wybujałych, tak nieograniczonych, jak wielką i nieograniczoną była jego fantazya, podniecana wciąż wzrastającym łaknieniem i gorączką.

Przez cały rok swego usunięcia się ze świata i mimowolnego asketyzmu wysilał mózg swój na pogodzenie tych dwu walczących w nim światów, tych dwu sił — woli Koranu i własnych pragnień. Ale mózg, osłabiony czuwaniem, nieodżywiany dostatecznie, a mącony widziadłami fantastycznemi, odmawiał mu posłuszeństwa. Pomógł przypadek i prosta gra słów, wywołanych marzeniem sennem i rozmyślaniem na jawie. Kiedy doszedł do pytania w zakresie wszechwładzy szacha i do wyrazów: „kto go zwolni od Zakonu?” Ali Hassan uśmiechnął się ironicznie i wycedził przez zęby:

„Prosty derwisz swobodniejszy od niego...”

— „Co, co? podchwycił, kto zwolni? der... der...”

Ali Hassan, jakby olśniony niezwyklem zjawiskiem, uderzony niespodzianem odkryciem, zerwał się z łoża na równe nogi, stanął na ziemi wychudły, blady, z płonącym wzrokiem i, drżącą dłonią uderzywszy się po czole, zawołał:

„A... a... a... Derwiszem zostanę!...”

Przez zabrudzone szyby okna wdarł się pierwszy promień wschodzącego słońca, a jednocześnie spłynął po nim do izby żaloszny głos śpiewu muezyna z sąsiedniego minaretu, przywołując wiernych do modlitwy.

„O Allahu, Allahu! Jakiś ty wielki i potężny” — wołał Ali-Hassan, upadłszy na kolana i bijąc się w piersi.

— „Tak, derwiszem zostanę!” — mówił po chwili ciszej, stojąc na tem samym miejscu ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, z tym uśmiechem marzenia, które wywołują obrazy tak dobrze znanego, a przecie nowego i niespodziewanego świata. I widzi przed sobą człowieka zaniedbanego, posępnego, jak kroczy posępnie i milcząco ulicą ze spuszczo-  
nym ku ziemi wzrokiem, powolnie, zadumany, cały zatopiony myślą w świecie zaziemskim, daleki od gwaru walk i niesnasek ludzkich. To wybraniec zakonu żebrzącego! Ślubował bezżeństwo i ubóstwo, zaparł się własnego imienia, wyrzekł wszelkiej własności, imię jego należy do świata duchów, a mienie, jakie zdobył u ludzi, — do murszyda i zakonu. Toć ludzie mu nie skąpią swych darów!

Oto zatrzymał się nagle na ulicy... Czy ten sam? Tak, widocznie, wszak to derwisz. Zatrzymał się? Przechodnie rozstępują się przed nim. Zaledwo potrząsł wiszącą u pasa tykwą, w której się odezwał głuchy łoskot orzechów i dźwięk srebrników,



a przechodnie wstrzymali się i każdy wrzuca do tytkwy miedź i srebro drobne, niekiedy całe tumany, tak, tumany duże, dźwięczne, napelniające rychło całą tykwę po same brzegi. Derwiz idzie dalej.

Podwoje każdego domu stają przed nim otworem, zasłony od drzwi uchylają się, derwiz wchodzi do sali nieproszony i niespodziewany, ale mile i ze czcią witany przez obcych i nieznanym mu ludzi; zajmuje poczesne miejsce, każdy stara się mu usłużyć; różnobarwne i wonne napoje perlą się w czarach kryształowych i leją się strumieniem...

Tak, leją się... krew się leje, to Moharrem, miesiąc skruchy i żałoby. Lud się tysiącami zgromadził pod olbrzymim namiotem na święte widowisko, przypominające walki z niewiernymi Sunnitami i śmierć świętych męczenników. Aktorowie w szatach wspaniałych grą swoją wprowadzają w zachwyty widzów, a derwiz postępuje wśród aktorów i jataganem kraje sobie żywe ciało na twarzy i czole, aż krew strumieniami spływa na cześć świętych męczenników Hussejna i Hassana.

Ali Hassan drgnął, potrząsnął głową i ręką odpedzał od oczu to przykre wspomnienie krwawego widowiska.

...To nie krew, to wino rubinowe przelewa się przez brzegi czary. Pije je tylko derwiz, nikt inny pić go nie może.

Ali Hassan uśmiechnął się i cmoknął ustami.

„Tak, derwisz tylko pije, pije jawnie i wiele. Jemu wszystko wolno, to człowiek natchnienia“.

Natchnienia? Zapewne. Oto zjawił się na placu Dżumaja. Lud się skupił dokoła niego i chce słuchać z uwagą słów jego. Cisza panuje tak głęboka, że słyhać trzepotanie skrzydeł gołębia, unoszącego się nad głową derwisza i następnie w trwożnem oczekiwaniu tulącego się do nisz maurytańskiego meczetu. Wszystkich oczy wpatrzyły się jak w tęczę w bladą i przejrzystą od umartwień i postów twarz derwiszową: mieni się ona, promienieje, drży. Derwiszowi w słup oczy stają, wyciągnął jedną rękę przed siebie, drugą na chwilę przysłonił twarz i w ekstazie ducha zaczął proroctwa ściągać z nieba na lud, w barwach tęczowych przedstawiać pomysłność grodu i państwa, zwycięski bój z niewiernymi, szczęście i raj na ziemi.

Innym znów razem, oburzony niegodziwością ludzką, jął wyrzucać grzechy ludu, przypominać dawniejsze nieszczęścia. Białka mu się wywróciły i krwią nabiegły, z ust, pianą okrytych, wybiegły złowieszcze proroctwa klęski i nieszczęścia. I gdy lud, trwogą przejęty, zaczął bić się w piersi i głowy, kobiety jęczały i płakały, derwisz uniósł się ponad tłumem i znikł wraz ze stadem gołębi, odlatujących trwożnie i w popłochu z miejsca, dotkniętego jego kłatwą.

I znów się zmienił obraz. Do namiotu derwiszowego ciągnie cała procesya niewiast: jedne szu-

kają rady w chorobie ciała, inne duszy; ta pragnie szczęścia i prosi o talizman życia; owa bezdzienna błaga, aby ją derwisz uwolnił od tej hańby i sromoty; a ileż to żądnych czułości i spragnionych kwiatu tego uczucia, bez którego wszystkie inne są zielskiem brzydkiem i bezowocnem! Derwisz na wszystko ma radę, każda odchodzi od niego z pociechą, szczęściem i wdzięcznością. O tak, z wdzięcznością..

Serca niewieście są czule, umieją one być wdzięcznemi, gdy zechcą; a gdyby która nie zechciała, to jej wola ugiąć się musi przed potęgą derwisza, bo jego talizman szczęścia przyniesie niedolę. Toć on nie potrzebuje czekać, aż czarny rzezaniec otworzy przed nim podwoje haremu: alboż i bez tego czadra na każdej twarzy niewieściej nie rozchyła się przed nim jak kwiat zawilca przed słońcem? Alboż która chanum poważyla by się oprzeć ponęcie zakłść jego? Najpiękniejsze mogą się słaniać ku niemu, jak motyl nocny do płomyka świecy, a wić się dokoła niego, jak bluszcz dokoła dębu. On może pić tak pełną czarę rozkoszy, jak tylko wybrani w raju.

I słusznie. Kto gotów czuć za miliony, ten ma prawo do używania rozkoszy za miliony. To nie człowiek śmiertelny, to mąż tchnienia nieśmiertelnego, to wybraniec *nefsu*.

„Nefsu?... a ja mamli nefsu?“

I Ali Hassan schwycił się oburącz za głowę



rozpaloną, przez którą błyskawicą przemknęły wszystkie w jednej tęczy przejawy natchnienia derwiszowego i prorocत्व jego i uzdrawianie chorych skinieniem ręki lub tchem nuffusów, i wzrost kwiecia w oczach widzów na rozkaz jego, i ta święta ofiara z krwi własnej w teatrze Moharremu, i cały świat cudów, opromieniający go aureolą świętości.

„Gdzie mój nefś?“ — powtórzył z krzykiem rozdzierającym, gniotąc konwulsyjnie głowę i zaciskając zęby rozpaczliwie...

— „Niema nefsu!“ — wyszeptał po chwili z jękiem bolesnym.

Ręce mu opadły bezwładnie, głowa zawisła na piersi, nogi chwiać się poczęły i Ali Hassan, zsuwając się na kolana, upadł w śmiertelnej niemocy na ziemię.

## II.

Troskliwy o zdrowie pana swego Ibrahim karmił go teraz jaurtem<sup>1)</sup>, które dostawał w zamian za sałatę i cebulę z ogrodu pańskiego. Ali Hassan przychodził powoli do siebie; już siadywał na menderliku i palił kaljan. Uczuwał jednak od czasu do czasu smutek i jakieś bełkotania wewnątrz.

„Ibrahimie,“ — pytał trwożnie Ali Hassan — czy ty nic nie słyszałeś, jak we mnie szemrało?

---

<sup>1)</sup> Kwaśne mleko bawole.

Czy mi się przysłyszało, czy może sąsiedzi nasi klócili się?”

— „Nic, panie mój, jeno mi się zdaje, że bawolica, która nam mleko dała, musiała się złościć, gdy się ocielila. Trzeba zmienić bawolicę“.

Zmieniono i nic nie pomogło. Ibrahim za poradą jakiegoś sahiba zaczął dawać panu swemu haszyszu w fajce. Po trzeciej dawce Ali Hassan, obudziwszy się po południowym sennem marzeniu o błogich rozkoszach raju, uczuł palące pragnienie. Wołać więc zaczął na Ibrahima, aby mu przyniósł jaurtu. Ibrahim zajrzał tylko przez drzwi i cofnął się do swojej izby.

„Ibrahimie, Ibrahimie!“ — wołał coraz donośniej Ali Hassan.

Ibrahim znów zajrzał przez drzwi i ponownie się cofnął. Powtarzało się to kilka razy. Ali Hassan, przywiedziony do rozpacz i wściekłości, cisnął o drzwi czarkę porcelanową, stojącą przy łożu, tak, że się rozbiła w drobne kawałki.

„Co, panie?“ — zapytał wzruszony Ibrahim, wbiegając do izby.

— „Że też dowołać się ciebie nie mogę!“

„Słyszałem głos jakiś obcy, nie pański, nie wiedziałem, kto woła, nie wiedziałem, co począć“.

— „To ja wołałem“, — odrzekł Ali Hassan i po chwili dodał:

— „Przynies panu swemu ochłody po widzeniu, które go paliło“.

Ibrahim obejrzał się z ciekawością i trwogą po izbie i spojrzal bacznie na pana swego; znów posłyszał ten sam głos obcy, co przed chwilą przed rozbiciem czarki.

Pierwsza część odpowiedzi była wypowiedziana wyraźnie mową Alego Hassana, którą przywykł słyszeć od lat wielu, ale drugą... mówił głos jakiś, pochodzący, niewiadomo, z wewnątrz istoty Alego Hassana, czy z zewnątrz. Sługa jeszcze raz obejrzał się po izbie, wyjrzał przez okno, nigdzie żywego ducha.

„Przyniesz, niedowiarku, panu swemu ochłody po widzeniu, które go paliło!“ — dał się słyszeć znów ten sam rozkaz głuchy, przytłumiony.

Ibrahim nadstawił ucha, spojrzal na pana swego, który miał usta zamknięte a oczy w sufit wlepione.

— „Nefs, nefsi!“ — zawołał pobożny sługa, wznosząc ręce do góry z pietyzmem, a przypadszy na kolanach do łoża pana swojego, jął całować kraj szaty jego i wygłaszać uroczyście: „Cześć ci, pochodnio wiary! Bądź pochwalon, *Nur-ed-din*'ie!<sup>1)</sup>).

— „Nefs, nefsi u Nuredyna! — wołał wciąż Ibrahim, zapominając o jaurcie i biegnąc na miasto, — Nefs, nefsi!... Nuredyn nefsi, nefsi!...“

Wieść o spłynięciu nadzwyczajnej łaski wielkiego natchnienia na jednego z mieszkańców miasta i o pojawieniu się nowego cudotwórczego der-

---

<sup>1)</sup> Z arab. i po persku znaczy: światło religii, pochodnia wiary.



wisza zaczęła się szerzyć po ulicach, kawiarniach, czarszyi, dostawać do haremów, pałaców, meczetów z taką szybkością, że do wieczora obiegła niemal całe miasto, dostała się do meczetów i głównego ich zwierzchnika Imam-i-dżami.

„Nuredyn (tak się odtąd nazywał Ali-Hasan) przetaił tylko oczy rosą z okna, otulił się starym, jedynym płaszczem, jaki mu pozostał, i powlókł się wprost do sklepu w oddalonym zakątku czarszyi, gdzie sprzedawano wszelkie akcesorya, potrzebne dla derwisza.

Kramarz, snąc już uprzedzony o bliskich odwiedzinach tak dostojnego gościa, wywiesił na drzwiach powitanie: „Bismillah“<sup>1)</sup> i czekał na progu sklepu z niskimi ukłonami.

Nuredyn, sztywny, milczący, wszedł do sklepu i zaczął przywdziewać na siebie przygotowany już strój derwiszowy. — Na wierzch szerokich szarawarów i koszuli włożył pas, na plecy zarzucił skórę pantery, długie rozczochrane włosy przykrył wysokim, w kształcie głowy cukru kołpakiem, na którym wypisane były misternymi arabeskami różne wersety z Koranu; na szyi zawiesił różaniec z drzewa kokosowego, do pasa przytwierdził kabaklarz kilku-kwartowy z tykwy, który miał mu służyć kolejno to za dzban do napojów, to za torbę na wiktuały i dary, to wreszcie za skarbonkę na pieniądze;

---

<sup>1)</sup> W imię Boga.

przez plecy przewiesił grubą pałkę z zatkniętym na końcu nożem ostrym, za pas zatknął topór obojeczny, wykładany srebrem, a do rąk wziął wysoki kostur z żelazną głową byczą, przypominającą starożytnie kapitele w Persepolisie.

Tak przystrojony Nuredyn, nie wyrzekłszy ani słowa, nie obejrzawszy się poza siebie, wyszedł powoli uroczyście ze sklepu i wkroczył na wąską a pustą uliczkę, która prowadziła na plac z meczetem i studnią. Tu cisnął się lud gęsto około jakichś wędrownych *lutich*<sup>1)</sup> i kramarzy indyjskich. Nuredyn szedł krokiem powolnym, ze wzrokiem zatopionym w kontemplacji jakichś dalekich, niewidzialnych dla zwykłego oka światów. Naraz, zbliżając się do jednej z gęstych grup tłumu, potrząsnął kilkakrotnie kabakłarzem (do którego wnętrza kupiec wrzucił był kilka orzechów tureckich) zatrzymał się i głosem przeciągłym, donośnym, na pół śpiewnym, jął wołać:

— „Jachaak! Jachaak! Ja-cha-a-akk!“<sup>2)</sup>

Lud się rozstąpił i pochylił, jak kłosa zboża na łanie przed powiewem wiatru; przez tłumy przebiegł szept z początku cichy, głuchy, niewyraźny, przechodząc stopniowo w szmer coraz głośniejszy:

„Nuredyn, nowy derwisz Nuredyn!“

I w miarę tego zwierały się znów szeregi ludu

---

<sup>1)</sup> Trefnisiów.

<sup>2)</sup> O, Boże! — właściwie: O prawdę!

i coraz węższym pierścieniem okalały derwisza; każdy się cisnął, aby być bliżej osoby jego, każdy starał się bodaj otrzeć o jego szaty, dotknąć ręką skóry pantery i rękę tę podnieść do ust własnych; każdy, kto mógł, wydobywał ze skórzanej sakwy grosze miedziane lub srebrne i kwapił się wrzucić je do kabaklarza derwiszowego.

Kobiety, potracając się wzajemnie łokciami, torowały sobie drogę w zbitej masie mężczyzn, z których niejeden uczuł mocniejsze pogłaskanie żeber. Barwne płaszcze jedwabne zsuwały się z ramion i odsłaniały ich kształty okrągłe, jakby utoczone i ulane, których zaledwo dotykały haftowane ałkałuki, przylegając obcisłe do kibici; czadry rozsuszały się i opadały, odsłaniając wielkie iskrzące oczy i twarz całą, zaplonioną gorączkowym pragnieniem osiągnięcia łaski derwiszowej.

Do kabaklarza hojnie i śpiesznie padały srebrniki, których dźwięk głuszyła wrzawa i prośby tłoczących się niewiast. Jedna zapraszała go do chorego dziecka i kładła rękę na ramieniu; druga z przymileniem gładziła go pod brodę, aby wejrzaniem swem rozprószył jej smutek; trzecia targała go za rękę, aby sprowadził na nią błogosławieństwo; czwarta, nie mogąc się docisnąć do niego, chwytiała zdala oddech jego i, jedną ręką przytrzymując czadrę, drugą napędzała technienie derwisza do ust swoich. Fale rozrzuconych czadr, oczów, setek głów, plątały się z sobą; setki ramion i tyleż



rąk, splełanych w najdziwaczniejsze kształty, rwały się naprzód i targały gorączkowo, płacąc się w fałdach różnobarwnych płaszczów i tunik jedwabnych, odsłaniając piersi, przykryte muślinami, z których buchała ciężka, uderzająca woń olejku różanego, piżma, jaśminu, zmieszana z zapachem rozkładającej się pod działaniem padających promieni słońca farby włosów i paznogi, z gorącym, ciężkim oddechem rozpalonych namiętnością płuc, który przesycał całą atmosferę, upajał i odurzał ludzi, podniecał wszystkie zmysły do szalonych, dzikich porywów.

Złorzeczając wzajem sobie, rwały włosy, kaleczyły się paznogciami, ta i owa zdejmowała z siebie pierścionki, lub koleczki i wrzucała do tykwy derwisza; z zamierającym na oschłych z gorączki ustach okrzykiem i z rozpalonym wzrokiem przypadały ku derwiszowi, rwały szaty jego, odsłaniały ciało, usiłując złożyć pocałunek na obnażonych ramionach; wreszcie w konwulsyjnych drganiach rzucały się całym ciałem pod nogi jego, aby deptał po nich bosymi stopami swojemi.

Nuredyn lewą ręką wy dobył zza pasa topór obosieczny, wstrząsnął nim w powietrzu i uderzył weń żelazną byczą głową kosturu, który prawą ręką wznosił w górę. Mężczyźni poczęli przemocą odciągać i usuwać nie bez trudu kobiety z przed drogi derwiszowi i sami znów go otoczyli pierścieniem.

Uderzywszy parę razy kosturem o ziemię, posunął się z wolna Nuredyn naprzód przed rozstępującym się tłumem mężczyzn i znikł w sąsiedniej ulicy. Zdawał tylko dołatywał odgłos posępnego wołania jego:

— „Jachaak, Jacha-a-akk!...”

Nazajutrz Ibrahim otrzymał od pana swego tyle pieniędzy, iż część ich zaniósł kupcowi z czarszyi na zaspokojenie należności za strój derwisza, a resztę wziął sobie; wystarczyła mu ona do dokupienia drugiego takiego domu i gruntu, jaki odziedziczył po panu swoim...

Nuredyn niczego już teraz nie potrzebował, ani własności, ani sługi, niczego jednym słowem, co przykuwa zwykłego śmiertelnika do jednego miejsca. Dom darował Ibrahimowi i pożegnał się ze sługą swoim przed wyruszeniem w świat na długą, nieskończoną pielgrzymkę życia.

Nim to jednak nastąpiło, postanowił pożegnać się jeszcze ze swoim niegdyś serdecznym przyjacielem. Właśnie na trzeci dzień rozpoczynał się pierwszy miesiąc Nowego roku. Nuredyn rozbił namiot swój przed furką pałacu Jusufa i ulokował się tam na dobre. Spędzał całe dni i noce, nie ruszając się ani kroku; najczęściej spał na ziemi, przykrywając się skórą pantery, którą w dzień przykrywał plecy swoje. Gdy znudził się spaniem, wstawał, wyciągał się, wychylał z namiotu, i zwracając twarz swoją ku oknom pałacu Jusufowego, wołał:

— „Jachaak! Ja-a-a-chakk!“

Powtarzał to kilkakrotnie w dzień i w nocy, poczem wracał do namiotu, przegryzał figą lub daktylem, popijał wodą i zapalał kaljan.

Wielki to zaszczyt dla domu, przed którym derwisz odbywa noworoczną stacyę swoją, a cóż dopiero tak znakomitego nefsu derwisz, jak Nuredyn. Toteż przechodnie zatrzymywali się przed pałacem Jusufowym, spoglądali to na namiot, to na okna pałacowe, cmokali językiem o podniebienie, kiwali głowami i szeptali:

„Szczęśliwy człowiek!“

Uradowany Jusuf zacierał ręce i unosił głowę z dumą, jakby chciał powiedzieć znajomym i całemu miastu: „Patrzcie! Co ze mnie za człowiek, jakiej wartości, jakiego znaczenia i majątku, skoro znakomity derwisz dowiedział się o mnie zdaleka i przyszedł aż z końca świata, aby opiewać cześć domu mego i nefsem swoim nowe mi szczęście zapewnić“.

Toteż wstrzymawszy tak z tydzień na warcie przed drzwiami swemi derwisza, Jusuf uważając, że już się stało zadość zaszczytowi i sławie domu jego, odesłał przez służącego kieszę srebrników i dary obfite derwiszowi wraz z podziękowaniem od siebie.

Ale Nuredyn odtrącił kieszę, dary, oraz samego służącego z pogardą i, nic nie mówiąc, ujął w rękę *bugh* czyli duży róg bawoli, wyszedł z nim przed namiot, przyłożył go do ust, nadął policzki i za-



trąbił długo, gniewnie, ponuro najpierw w kierunku miasta, a następnie okien pałacu Jusufowego:

— „Bu-u-u-u! Bu-u-u-u! Bu-u-u!!!“

Jusuf srodze się zaniepokoił tą bezwzględnością derwisza i nie umiał jej sobie wytłumaczyć, pocieszał się jednak myślą bezinteresowności męża świętego i nadzieją rychłego zwolnienia pałacu od honorów, które stawały się potrosze obłężeniem. Ale Nuredyn ani myślał się ruszać z miejsca. Wychylał się wprawdzie raz na dzień tylko z namiotu i wówczas ku miastu leciały echa głosu jego, jakby skargi żalości i przestrogi:

— „Jachakk!... Ja-a-a-chakk! Jaaa...a...chakk!“

W nocy za to ponuro i złowrogo dźwięczały tony rogu bawolego, zwrócone ku oknom pałacu Jusufowego:

— „Bu-u-u-u! Bu-u-u-u!“

Lud zaczynał gromadami kupić się przed namiotem i pałacem, nie skąpiąc mniej lub więcej złośliwych komentarzy wobec człowieka, który albo był złym z gruntu, albo nie miał czem opłacić honorów męża świętego.

Sytuacya pogarszała się z dniem każdym. Jusuf raz próbował wysłać zaufanego z dworzan do derwisza z darami hojniejszymi, niż poprzednie. Napróżno, nie przyjął ich derwisz. Najróżnorodniejsze plotki zaczęły obiegać po mieście, a tu jak na złość derwisz stawał się z dniem każdym coraz bardziej niespokojnym i natarczywszym.

W ostatniem półroczu, w ciągu którego Ali Hassan przechodził z diety sałacianej na mleczną i haszyszową, a zamiast rozkoszy ziemskich zadowalał się jeno samemi o nich marzeniami, Jusuf pojął dwie śliczne żony z Szyrazu i wprowadził je do haremu, urządzonego z całym przepychem wschodnim. Nic dziwnego, iż pragnął teraz przynajmniej spokoju.

Ale Nuredyn czuwał dniem i nocą. Zaledwie gasły światła w pałacu i harem pogrążał się w rozkoszonym półcieniu zwodniczych blasków nocy księżycowej i bladoróżowych słabych a drżących polysków enderunowej lampy nocnej; zaledwie szczęśliwy Jusuf zapominał o nieznośnym derwiszu, o plotkach i szyderstwach miejskich, a zmrugał powieki do snu, mającego odświeżyć siły jego, rozlegał się przed samem oknem złowrogi i posępny głos rogu bawolego:

— „Bu-u-u-u! Bu-u-u-u! Bu-u-u-u!“

A rozlegał się nagle, niespodzianie, w chwilach, których nigdy naprzód przewidzieć nie podobna było, i jeżeli niepewność ta, splaszając sen z powiek znużonych, niepokoiła, dręczyła i przejmowała trwogą mieszkańców pałacu Jusufowego, to sam głos rogu bawolego budził sąsiadów, wywołując w nich złorzeczenia i przekleństwa na Jusufa.

W końcu miesiąca zjawił się przed namiotem Nuredyna cały harem Jusufowy z darami i ofiarami błagalnemi. Derwisz siedział na ziemi, w po-

środku namiotu, z podwiniętymi pod siebie nogami, paląc kaljan, a lewą ręką przesuając w zamyśleniu ziarnka różańca kokosowego. Na odgłos otwierającej się furty pałacowej, w chwili kiedy zakweflone niewiasty zbliżały się do wejścia namiotowego, powstał z miejsca, wbił w ziemię na samym progu kostur i palkę zakończoną nożem, składając je na krzyż, zawiesił na nich topór obosieczny i spuścił poza tym kozłem grubą oponę, zamykając cały otwór.

Zaledwo kobiety, przepędziwszy godzinę na próżno pod namiotem, odeszły z płaczem do haremu, derwisz odsłonił oponę, wychylił się na zewnątrz i zwracając twarz ku miastu, zawołał przeciągle, donośnie głosem, w którym wibrowała wzgarda:

— „Jachaak! Ja-a-a-chakk!“

Skandal przybrał rozmiary zastraszające. Sąsiedzi wyprowadzili się z domów pobliskich, przechodnie unikali ulicy, na której stał pałac Jusufa; odaliski jego pouciekały, słudzy kolejno go opuszczali, żony, czując się zbezczeszczone, zażądały rozwodu. On sam, blady, wynędzniały, z zapadłymi policzkami, snuł się niespokojny i samotny po obszernych komnatach pałacu swego, rwąc sobie włosy z rozpaczny lub, siedząc nieruchomo na menderliku, z siedzenia swego całemi godzinami wpatrywał się przez okno w namiot derwisza.

Z końcem szóstego tygodnia przywdział na sie-



bie szaty wspaniałe, wziął worek złota w rękę, pospał głowę prochem ziemi, zmieszanym ze słomą, i czekał u furty pałacowej drugiego wołania muezyna na modlitwę.

Zaledwo rozległy się z wierzchołka minaretu sąsiedniego pierwsze tony pieśni żalostnej, otworzył szybko furkę, zbliżył się do namiotu, przed którym derwisz już padał na kolana, stanął za nim w postawie pobożnej i zaczął ze skrucą modlitwę:

„*Lailaha il Allah, we Mahomed resul Allah!*“

Padął wraz z modlącym się derwiszem na kolana, to znów razem z nim powstawał i szeptał słowa modlitwy, płynącej w stronę Mekki. A kiedy obydwaj zakończyli modły i derwisz zabierał się z powrotem do namiotu, Jusuf zbliżył się ku niemu, pochylił do samej ziemi i jedną ręką kładąc worek ze złotem na progu, a drugą przyciskając do ust kraj szaty derwisza wyszeptał:

— „Aman, aman, Nuredynie!“ <sup>1)</sup>

„Cóż to, Jusufie, czy ci już porosły włosy na dłoni, że przynosisz złoto swemu przyjacielowi?“ — zapytał derwisz, zwracając się twarzą ku pochyłonemu przed nim pokutnikowi.

— „Ali-Hassan!“ — krzyknął Jusuf, zdziwiony i zawstydzony, zrywając się na równe nogi.

„Idź w spokoju“ — przemówił Nuredyn i, po-

---

<sup>1)</sup> Litości, miłosierdzia, pochodnio wiary.

żegnawszy Jusufa skinieniem ręki, wszedł do namiotu.

Nazajutrz namiot zwinięto, a derwisz znikł z miasta. Jedni powiadali, że poszedł do murszyda złożyć mu wór złota, drudzy zaś, że się udał do Heftanu (w okolicy Szyrazu), siedliska siedmiu derwiszów, inni znów, że do Czeheltanu — siedliska czterdziestu derwiszów, rodzaju akademii derwiszowskiej.

### III.

Minęło lat dziesięć od czasu, jak Nuredyn został derwiszem, lat dziesięć szczęśliwych i wesołych dla niego. Nazywał się jeszcze wciąż „pochodnią wiary“, ale tylko z nałogu. Teraz nazwaćby go raczej wypadało pochodnią dobrego humoru.

O jego pierwszym występie w mieście rodzinnem pozostały tylko wspomnienia, ale za to po całym kraju szeroko zasłynęło jego imię jako uśmiechniętego, wesołego derwisza i niezrównanego basniarza.

Włóczył się wciąż z miasta do miasta, ze wsi do wsi, ale nigdzie dłużej nad tydzień, a co najwięcej dwa, nie zdołał zagrzać miejsca. O świętości jego i cnotliwych obyczajach tu i ówdzie powątpiewano, ale wszędzie był gościem upragnionym, a kobiety szalały za nim. Ilekroć nawet w małym miasteczku, gdzie zaledwie go znano, zatrzymywał się

przed kobietą i podawał jej z uśmiechem listek zerwany, kwiatek lub orzech, wnet go obdarzano hojnie miłym spojrzeniem, a nadto daktylami, figami i różnymi przysmakami. Nie obeszło się też bez tego, aby do kabaklarza jego nie wpadł jeden lub drugi srebrnik.

A cóż mówić o wielkiem mieście, gdzie, skoro się pojawiał, wnet go otaczały tłumy ludu, ze czcią i uwielbieniem śadzały na placu w czarszyi lub kawiarni i prosiły bodaj o jedną z tych niezliczonych opowieści cudownych lub wesółych, które słodsze były od rodzynek i sorbetów, a mocniej upajały, niż haszysz! Toć nie dziw, że w listach, które dobrzy ludzie pisywali do niego, zapraszając go do siebie, nazywano Nuredyna zawsze „natchnionym z nieba człowiekiem, przesiadującym w towarzystwie książąt...”

O, bo też lubili go i poważali książęta, zapraszali często do swoich złocistych pałaców, słuchali go z uwagą, chociaż niechętnie puszczali do haremów. „Kobiety — powiadali — są wielce lepkie na twoje słowa miódopłonne, Nur-ed-dynie, i wrażliwe na twoją świętość; cierpią później na ból głowy”.

Toteż Nuredyn często uciekał na wieś, gdzie wieśniaczki są mniej wrażliwe i nie skarżą się tak łatwo na ból głowy. Z jaką bo one czcią przyjmują od niego amulety i talizmany, jak żywą zachowują wdzięczność, jak się brzydzą tymi niezno-



śnymi, gburowatymi i bez wiary sługami haremo-  
wymi, którzy po miastach nie potrafili uczyć go-  
dności derwisza i nawet po kilka razy trochę go po-  
turbowali. Tutaj tego wszystkiego niema: prostota  
obyczajów, łagodność i poszanowanie ze strony  
pocziwych wieśniaków. Gdy zaś Nuredyn prze-  
sycił się sielanką i „towarzystwo chłopskie“ za-  
czyniło go nudzić, śpieszył do miasta, gdzie znaj-  
dował i lepsze towarzystwo i wyszukańsze wino.

Ot i teraz pociągnął do Hamadanu. Dawno tam  
nie był — od lat sześciu. Wówczas nie zastał gu-  
bernatora, który siedział dłuższy czas w Teheranie,  
może go teraz zastanie. Wypada spróbować, wszak  
blisko, mil zaledwie dziesięć. Trudy opłaci choćby  
owo przepyszne złotawe wino hamadańskie, które  
po szyraskiem słynne na całą Persyę, a którego  
przekłęci giaurowie nie mogą się dość nachwalić.

Ważne i zaszczytne stanowisko gubernatora  
w Hamadanie zajmował podówczas książę Szeik-  
ul-maluk, bliski krewny panującego na tronie per-  
skim króla, słynnego Fath-Alego Szacha. Dzięki tej  
koligacyi książę mógł się wyręczać w trudnych  
obowiązkach zarządu wezyrem swoim, którego  
zresztą wynagradzał hojnie. Machina administra-  
cyjna funkcyonowała wybornie, a księcia lubiano  
we wszystkich warstwach ludności.

Uspokoiwszy w ten sposób sumienie swoje,  
Szeik-ul-maluk mógł więc z całą swobodą oddać  
się innym zajęciom. A były one wielostronne. Naj-

pierw sporo czasu poświęcał książę oczyszczaniu, piłowaniu i wygładzaniu swoich paznogi, które istotnie odznaczały się niepospolitym wdziękiem. Rozczesywanie brody gęstej, wspaniałej, czarnej, tudzież przestrzeganie czystości i doskonałości użytej na nią i na brwi farby, było już włączone do tej samej kategorii zajęć<sup>1)</sup>.

Zamiłowanie do elegancyi i czystości niezawodnie było ważnym bodźcem takich czynności toaletowych, ale nie jedynym. Drugim, współrzednym motywem do ich wykonania był donżuanizm księcia: lubił nietylko zdobywać serca niewieście, ale rozpamiętywać z lubością wszelkie swoje dawne zwycięstwa na tej arenie. W jakim wieku był książę lowelas?

Miał ni mniej ni więcej jeno siedmdziesiąt lat, ale wyglądał na czterdzieści kilka przy wrodzonej czerstwości organizmu, przy sztuce (dobrze znanej na Wschodzie) potrzymania sił organizmowych odpowiednimi środkami wewnętrznymi, jakoteż zewnętrznej świeżości odpowiednimi balsamami i kosmetykami, wreszcie przy elegancyi wrodzonej i tym malowniczym kostyumie narodowym arystokracji irańskiej, który podówczas noszono.

Oczywiście przyjemnem dlań było dzielić się

---

<sup>1)</sup> W tej mierze książę nie był wyjątkiem, bo włosy, a przedewszystkiem brodę i brwi farbują wszyscy Persowie z wyjątkiem tych, którzy są w żałobie.

z kimś wspomnieniami swoich bohaterskich czynów wschodniego Don - Juana, a stąd wypływała potrzeba towarzystwa, z którego bezpośrednio rozwijał się trzeci i bodaj najważniejszy i najwięcej pochłaniający czasu czynnik życia księcia: hulatyka przy puharze dobrego wina.

Ale cóż! towarzystwo odpowiednie dla niego na prowincyi, z któremby mógł obcować bez szwanku dla swego stanowiska i godności rzadko się trafiało. Kiedy więc dowiedział się o przybyciu do Hamadanu Nuredyna, również znakomitego hulaki i baśniarza, którego sława aż tutaj doszła, klasnął w dłonie z radości i wysłał służbę, polecając jej jak najrychlej sprowadzić wesołego derwisza do pałacu.

Nuredyn siedział wówczas na podwyższonem miejscu w czarszyi i opowiadał tłumowi bajki, tchnące prawdą i życiem. Ukończywszy opowieść, rozpoczął właśnie deklamację bodaj czy nie własnych wierszy, gdy służba pałacowa zaprosiła go do gubernatora.

Derwiz pożegnał się tedy z obecnymi słuchaczami ku wielkiemu ich żalowi i krokiem poważnym udał się do pałacu.

„*Demagh-i-szuma czag hest?* <sup>1)</sup> Jak się ma nos

---

<sup>1)</sup> Dosłownie: Czy twój nos jest tłusty? Zwyczajny frazes powitalny przy powitaniu osób dostojnych, przenośnie: jak twój humor, jak zdrowie?



Wasz, dostojny i wspaniałomyślny książę?“ — zapytał derwisz, wchodząc do jednej ze sal pałacu i witając czekającego nań księcia.

— „Chwała Bogu, że nie potrzebuję, mój derwiszu pytać się o twój nos. Ma się, jak widzę, wcale nie źle“ — odpowiedział książę zbyt poufale, spozierając z uśmiechem na rubinami okryty nos człowieka, który widocznie nie pogardzał tym szlachetnym napojem, co sławę zdobył Hamadanowi i Szyrasowi. — Pogardzałeś dotychczas Hamadanem, ale holdy składałeś Szyrasowi. Znasz go, nieprawdaż, dobrze?

„Kto może z Twoją dostojną osobą spółzawodniczyć w mądrości i wiedzy wszystkiego co Allah stworzył?“ — odciął się derwisz, poważnie pochylając głowę.

Od dnia tego Nuredyn stał się już nietylko stałym gościem, lecz domownikiem księcia, który go ulokował w pałacu i polecił służbie, aby mu na niczem nie zbywało. Zamiłowany w czystości i elegancyi Szeik-ul-maluk nie mógłby ścierpieć zbyt znacznej abnegacyi w swym towarzyszyszu. Toteż nazajutrz Nuredyn po gorącej łaźni, w której go namaszczone wonnymi olejami, przebrać się musiał w śnieżnej białości wspaniałe szaty wełniane, a na głowę włożył nowy kolpak z pięknymi arabskimi wersetów koranu.

Do rąk dano mu kostur z byczą głową ze srebra, topór stalowy inkrustowany złotem, a przy

śniadaniu książę sam wręczył mu różaniec burztynowy.

I rozpoczął się szereg miłych i wesołych dni dla derwisza. Książę zachwycony jego humorem, bystrością umysłu, polotem jastrzębim, a przede wszystkim niezrównanym darem opowiadania powieści wschodnich i przygód własnego życia derwisza, spędzał dnie całe na gawędzie. Miał teraz towarzysza, przed którym mógł się zwierzać z wrażeń, pomysłów i uczuć. Nawzajem derwisz stawał się z dniem każdym bardziej otwartym i odplacał księciu wzajemnością. Dochodziło do tego, że książę po obiedzie i wieczorami nie udawał się już do haremu, lecz zamykał się sam na sam z Nuredynem w oddalonej od służby i dworu komnacie, gdzie strugi złotawego i rubinowego wina rozkosznie zwilżały usta i gardła biesiadujących. Na mieście i w okolicy rzadko się już pokazywał derwisz, a wówczas występował okryty wspaniałą skórą lamparcią i z kabaklarzem misternie rzeźbionym z kokosu.

Tak upłynęło kilka tygodni z rzędu.

Pomimo wielkich ponęt, życie to jednak stało się zbyt monotonnem dla derwisza i poczynało go nudzić. Nuredyn zbyt przywyknął do tłumów, aby towarzystwo jednego człowieka mogło mu wystarczyć.

Parę razy dziękował tedy księciu za gościnność i zmyślał interesa, zmuszające go do opuszczenia

Hamadanu. Ale ksiązę ani słyszeć o tem nie chciał. Derwiszowi ciężyć zaczęło to życie monotonne i zbyt regularne, tęsknił za swoją zbrudzoną skórą pantery i pełnymi swobody noclegami pod niebem gwiaździstem. Ksiązę zaś jakby na przekór dawał mu wciąż czystsze szaty, zniewalał go do bardziej jednostajnego trybu życia, a w dodatku zaglądając wieczorami zbyt często na dno czary stawał się popędliwym i dawał uczuwać derwiszowi tę popędliwość w sposób wcale niedwuznaczny. Znow upłynęło parę miesięcy. Derwisz począł schnąć i doznawać uczuć, które mu przypominały wrażenia pierwszych dni dyety sałatowej z owych czasów przednifsowych. Odpędził precz to niemile wspomnienie i postanowił za jakąbądź cenę pozbyć się księcia, a nawet kazać sownie sobie opłacić nudy, jakich doznawał od niego.

Pewnego wieczora wszedłszy do komnaty książęcej z miną zafrasowaną i tajemniczą Nuredyn przemówił do księcia:

„O, ksiązę dostojny, niech mi wolno będzie złożyć z siebie ofiarę Twojej Wysokości. Cięży mi tajemnica na sercu: miałem nefs i dziwne rzeczy widziałem“.

„Cóżes ty widział?“ — zapytał ksiązę, trzymając w ręku cybuch od kaljanu i poziewając — „proroka czy jakiego świętego męczennika, czy samego dyabła?“

— „Ani jedno, ani drugie. I to co powiadam,



wcale nie bajka, jeno wypadek prawdziwy, który wstrząsnął mną aż do szpiku kości. Zresztą to tajemnica, za której ujawnienie grozi mi największa kara; mogę się z nią zwierzyć tylko jednej osobie.

„Niech ja będę tym wybrańcem, o Nuredynie“ — zawołał ksiązę, puszczać z ust kłęby białawego dymu.

— „To nie są wcale żarty!“ — zastrzegął się uroczyście derwisz. — „Czy przysięgniesz mi ksiązę, że dochowasz tajemnicy i przed nikim nie zdradzisz tego, co Ci powiem?“

„Klnę się przed tobą na brodę moją, kochany derwiszu, klnę się najdostojniejszym moim kuzynem i panem, klnę się na głowę samego Alego, którego duszy oby Bóg użyzył pokoju“.

Derwisz pocichu zbliżył się do drzwi, okien, obejrzał je starannie, nadstawił uszu, czy nie ma gdzie w pobliżu zbytecznego świadka, poczem mówić zaczął głosem przytłumionym, nachyliwszy się ku księciu:

„Wysokość Twoja zapewne przypomina sobie, że wczoraj, kiedyśmy przejeżdżali wzgórza assabadzkie, pozostałem nieco w tyle poza switą Warszawą. Błądziłem długo i bez celu po dolinach i pagórkach, aż znużony usiadłem w cieniu olbrzymiej skały i zdrzemnąłem się... Marzyłem nie wiem jak długo wśród ciszy w powietrzu, przerywanej tylko brzęczeniem owadów, gdy nagle zbudził mnie dźwięk pieśni miłośnej, wlewającej w serce błogie, nie-

znane dotąd rozkosze. Otwieram z wolna oczy i widzę na złomie skały cudną, powiewną istotę, ocienioną bujnemi falami włosów, z oczami, w których odzwierciadlało się niebo“.

— „Umiarkuj swój zapal, kochany przyjacielu — przerwał derwiszowi ksiązę — „i oszczędź mi opisu tych rozkoszy. Wierz, ja jestem wrażliwy“.

„Oby się nigdy nie zmniejszył cień Waszej Wysokości, lecz widziałem tak niebiańskie wdzięki, że przed niemi blednie piękność huryszek raj“.

„Przypatrz mi się uważnie, derwiszu“ — mówiła postać urocza — „ty myślisz, że jestem zwykłą śmiertelniczką jak inne? Przypatrz się baczniej“.

Tu spostrzegłem, że poza ramionami mówiącej lśniły przejrzyste skrzydła błękitne, któremi trzepotała jak motyl siedzący na kwiatku. Widocznie była Peri lub czarodziejka.

„O, boska czarodziejko!“ — szepnąłem — „powiedz mi, jak się nazywasz?“

— „Zowią mnie Szar-i-banu“ — odrzekła.

„O, Szar-i-banu, co mam uczynić, aby pozyskać twoją życzliwość? powiedz mi, czy masz męża?“

— „W krainie czarów i wdzięków naszych nie wychodzimy za mąż, niedomyślny derwiszu, ale za to jeśli kogo pokochamy, to całą istotą naszą, a miłość taka trwa wiecznie. Co do mnie, nikogo jeszcze nie kochałam, pokocham zaś wtedy tylko,

gdy się przekonam o wzajemności i tylko tego, kto obdarzy mnie bogatym wianem, jakie się daje dziewczętom śmiertelnym“.

„Widać więc, jesteś interesowną czarodziejką?— zapytałem.

— „Nie, to po prostu taki mój kaprys, ale przysięgłam zaspokoić go, a w krainie czarów do-  
trzymujemy przysięgi“.

„O czarująca Szar-i-banu“ — odezwałem się nabrawszy nieco otuchy i odwagi — „ty chyba żartujesz... Czyż to możliwe, aby wdzięki takie, jakie ty posiadasz, a wiesz, my derwisze, znamy się na tem cokolwiek, dałyby się opłacić? A jeśli tak, to powiedz mi wysokość sumy i rodzaj wiana, którego żądasz“.

Czarodziejka uśmiechnęła się z wdziękiem takim, że aż się niebo przedemną odsoniło i z filuterną minką zaczęła na paluszkach wyliczać następne przedmioty:

„Dwie spódniczki z kaszmiru grubego, z których jedna zasiana perłami, dwa alhałuki <sup>1)</sup> aksamitne, haftowane złotem, tyleż żirdżame <sup>2)</sup> bagdadzkich czadra podług ostatniej mody teherańskiej, grzebyczek, zwierciadło srebrne, dwie pary pantofli na wysokich obcasach“.

---

<sup>1)</sup> Kaftaniki, zaledwo wstrzymujące się na ramionach, a przylegające w pasie i na ręku.

<sup>2)</sup> Rodzaj spódniczki w kształcie szerokich pantalonów, używane w haremach.



„A Koran?“ — przerwałem — „czyś zapomniała o przepisach Koranu?“

— „Nie przypominaj mi tego słowa; my go nie potrzebujemy w swej krainie czarodziejskiej; u nas rządzą inne przepisy, nie tak surowe, a bardziej proste

„I już po wszystkim?“ — zapytałem.

— „Prawda, zapomniałam, jeszcze pewna ilość klejnotów“, — odparła — „zresztą zostawiam ich ilość i wybór szczodrości i gustowi mającego mię obdarować.

Nie mogłem się powstrzymać od radości i wyciągnąłem rękę ku przejrzyściej szacie czarodziejki; ale nie zdołałem nawet dotknąć się jej, gdyż w tej chwili uczulem silne po rękę uderzenie, po którym dotychczas oto ślad pozostał.

I to mówiąc derwisz pokazał księciu lekkie zaczerwienienie skóry na prawej ręce.

„Nie bardzo przyjemną pamiątkę zostawiasz mi po sobie!“ — odezwałem się do niej z wyrzutem.

Uśmiechnęła się na to i zerwawszy jagodę jałowcową z krzaku, podała mi ją ręką wyciągniętą, mówiąc:

— „Wszystko, co widziałeś, zachowaj w tajemnicy. Możesz się naradzić tylko z jednym przyjacielem. Za tydzień, tego samego dnia i o tej samej porze, po zachodzie słońca, czekać będę na ciebie. Przychodź sam bez broni i przynies z sobą wyliczony posąg, a wówczas żadnej odmowy z mo-

jej strony nie doznasz ani ty, ani ten śmiertelnik, który spełni powyższe warunki“.

To mówiąc zniknęła mi z oczu.

— Wiesz co, Nuredynie, gorsza to bajka od innych“ — odezwał się po chwili książę-gubernator, ale powiedz mi, czyś przynajmniej zachował ową jagodę jałowcową?“

„Proszę Waszej Wysokości, oto jest!“

I derwisz podał księciu okrągły nieszlifowany szmaragd.

Szeik-ul-maluk zamyślił się na chwilę, poczem obracając w ręce szmaragd, spojrział surowo na towarzysza i rzekł:

„Powiedz mi, hultaju, w jakim celu usiłujesz mnie oszukać? Przyznaj się, gdzieś ukradł ten kamień? Mów zaraz, bo inaczej..“ — tu książę znacząco przerwał i umilkł.

Derwisz drgnął i jak chusta zbladł na twarzy z wyjątkiem oczywiście nosa.

— „Klnę się, książę, na życzliwość i cnoty Twoje, że wszystko co powiedziałem prawdą jest istotną.

— „Zobaczymy“ — i książę klasnął w dłonie kilkakrotnie.

Weszło do komnaty kilku farraszy<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Służba pełniąca rozkaz i obowiązek zbirów przy osobie dostojnika.

— „Połaskotajcie tego człowieka!“ — rozległ się donośny i groźny rozkaz gubernatora.

Farraszowie pochwycili derwisza w powietrze jak piłkę i ułożyli następnie na kobiercu; przyniesiono drąg gruby, kilkułokciowej długości, dwaj farraszowie umocowali końce onego na swoich herkulesowych ramionach; do środka drąga przywiązano pętlicę, w której umieszczono podniesione z ziemi nogi derwisza.

Nuredyn nie bardzo się przeląkł tych przygotowań; może jeszcze nie wierzył do ostatka, aby poważono się w ten sposób targnąć na niego, a może ufał wytrzymałości skóry swojej na piętach, które od chodzenia boso były zgrubiały; w każdym razie miał czas do namysłu. Po twarzy jego przebiegł uśmiech złośliwy.

„Cóż, powiesz prawdę?“ — zapytał jeszcze raz książę — „Pamiętaj, inaczej chłosta cię nie minie“.

Tymczasem przyniesiono wiązki prętów niezbędnych do operacji.

— „Powiedziano ci już prawdę, Szeik-ul-maluku!“ — rozległ się po komnacie głos uroczysty, robiący wrażenie, jakby płynął z powietrza.

Farraszowie odskoczyli ze zdziwieniem od derwisza, puszcżając jego nogi na ziemię.

— „Ani kroku! do roboty napowrót!“ — zagrzmiął groźny rozkaz gubernatora, który, zwracając się do derwisza i pochylając się nad nim, mówił dalej zniżonym głosem:



— „To ty się bierzesz na sposoby ze mną! A zapomniałeś, hultaju, żeś się mi przed miesiącem w przystępie dobrego humoru przyznał, jak przed dziesięciu laty przy sałacie i haszyszu zostałeś brzuchomowcą i rzuciłeś czar nefsów na Ibrahima? Zapomniałeś, he?”

— „Do roboty!” — powolił rozkaz farraszom. Świsnęły pręty w powietrzu i gwałtowne ciósy zaczęły się sypać jak grad na derwisza.

Książę siedział na menderliku i ciągnąc z kaljanu kłęby dymu, patrzył na smagających i słuchał ciężkich westchnień ofiary.

Jeden pęk kijów podarł się w strzepy; wzięto drugi.

Wreszcie gruba skóra podeszew derwiszowych nie mogła się dłużej oprzeć, i trysnęły pierwsze krople krwi.

— „Aman! Aman!”<sup>1)</sup> — krzyczał w niebogłosey nieszczęśliwy derwisz.

Razy jednak nie ustawały. Krzyk coraz bardziej słabł, derwisz stracił przytomność i jęknął głęboko.

— „Czy powiesz mi teraz prawdę, ty łgarzu nad łgarzami?” — zapytał, pochylając się nad nim Szeik-ul-maluk, widocznie podniecony i zaciekawiony oporem derwisza.

— „O książę” — westchnął Nuredyn z całej

---

<sup>1)</sup> Litości.

piersi: — „Wywołałeś ty z grobu siedm pokoleń przodków moich! Czego chcesz odemnie?

— „Powiedz mi prawdę, stary hultaju, tylko prawdę.

— „Klnę się na wszystko, że to była prawda“.

— „Możesz odejść!“ — zakończył ksiązę, machnąwszy ręką.

Derwisz dzwignął się i pelzając na rękach, powlókł się do swojej komnaty.

Ksiązę tymczasem kazał przywołać swego dostawcę jubilera i podał mu kamień, który istotnie okazał się szmaragdem.

Nuredyn nie ruszył się ze swojej komnaty.

Rozpoczął on kurację nóg, mocząc je w wannie, napełnionej rozbitymi żółtkami, a w głowie snując plan zemsty na księciu.

. . . . .  
W ciągu pięciu dni Szeik-ul-maluk wciąż myślał o zagadkowej czarodziejce Szar-i-banu, gasząc, rozpalające się pragnienia wytrawnym hamadanem. Ale pragnienia wciąż się wzmagaly. Rój myśli palił mózg księcia, który zapomniał i o haremie i o dawniejszych swoich zwycięstwach, a coraz bardziej kochał się w wymarzonym, a niewidzialnym obrazie czarującej Szar-i-banu.

Szóstego dnia posłał po derwisza. Gdy ten pochylony i już z lekka tylko utykający na nogi wszedł do komnaty, ksiązę powitał go słowy:

— „Bądź pozdrowion, stary współbiedniku! Wszystko między nami zapomniane i przebaczone“.

— „Nie, niezapomniane“ — odrzekł Nuredyn — „i nie będzie zapomniane do samej śmierci; na całe życie zostanę kaleką. O! moje nogi nieszczęśliwe!“

— „Masz lekarstwo“.

I książkę podał mu torbę, napelnioną tomanami, wśród których dzwięczały złote liry tureckie. Derwisz przyjął podarek, nie skąpiąc podziękowań. Poczem jakby nic przedtem nie zaszło, obadwaj powrócili w dobrej komitywie do dawniejszego trybu życia i razem palili kaljany, pili i śpiewali do późnej nocy. Ani razu nie wspomniano imienia Szar-i-banu, tak że derwisz zaczął się niepokoić, czy książkę nie zapomniał o niej. Wyprowadził go jednak rychło z niepewności Szeik-ul-maluk, rozkazując podać sobie stojące w kącie komnaty tace srebrne, przykryte jedwabnymi serwetami. Gdy je zdjęto, przed oczyma derwisza zajaśniały bogate naszyjniki, kolczyki, bransolety i stosy klejnotów.

„Cóż, derwiszu, czy to wszystko?“ — zapytał Szeik-ul-maluk.

— „O książkę“, — odparł derwisz z zapalem — „prześcignąłeś samego Chatyma Taję<sup>1)</sup>. Dziękuję ci za twoją łaskawość, jestem pewien, że będę teraz szczęśliwy z czarującą Szar-ir-banu“.

---

<sup>1)</sup> Wspaniałomyślny bohater legendy perskiej.



— „Nie bądź tak zarozumiałym, kochany derwiszu; szczęśliwym śmiertelnikiem będę ja, nie ty, który ślubowałeś bezżeństwo“.

Derwisz po pewnem wahaniu się i krótkim oporze dał się nareszcie przekonać i uległ życzeniom księcia, a odchodząc na dobranoc przyrzekł jeszcze raz solennie, że nazajutrz stawi się o naznaczonej godzinie i zaprowadzi księcia do siedliska czarodziejki.

Zajaśniał wreszcie dzień oczekiwany, Szeik-ul-maluk w towarzystwie Nuredyna i nielicznego orszaku wyjechał za bramy miasta, mając uwiązane przy siodle swoim dwa wory z tkaniny kobiercowej, napelnione wianem. Za orszakiem niesiono wspaniały a pusty tacht-rowen<sup>1)</sup>. Dzielne rumaki perskie rychło uniosły podróżnych ku ruinom karawanseraju w przesmyku assabadzkim. Tu się zatrzymano, książę napił się herbaty i jako prawowierny muzułmanin odmówił wieczorną modlitwę; poczem uczesawszy starannie swą brodę wspaniałą, podążył z derwiszem w góry, pozostawiając cały orszak w miejscu.

Gdy się oddalili na odległość pół godziny drogi od świty, derwisz zapytał księcia, czy uczynił w zupełności zadość warunkom postawionym przez czarodziejkę i czy nie ma przy sobie broni.

— „Tylko ten kindżał“ — odrzekł książę, do-

---

<sup>1)</sup> Lektyka.

tykając zlekka bogatej srebrnej pochwy, wiszącej u pasa.

— „Ależ nie można“ — ostrzegał wystraszony derwisz — „jeszcze, broń Boże, przytrafi nam się co złego, jeśli nie usłuchamy wyraźnego rozkazu czarodziejki“.

„No, a twój kostur?“

— „To przecie nie broń, tylko oznaka mojego dostojęstwa i posłannictwa: przecież topór i kij z nożem zostawiłem w pałacu“.

Książę zdjął kindżał i zawiesił na drzewie przy skale, aby następnie mógł zabrać go napowrót.

Uszli jeszcze staj parę, gdy Szeik-ul-maluk głosem drżącym od wzruszenia zapytał:

„Gdzież to miejsce?“

— „A oto tam!“ — wskazał Nuredyn na pobliską skałę i pomógł księciu zsiść z konia.

Książę z trwogą obejrzał się dokoła. Miejsce było dzikie i pępne, zdala od wszystkich siedlisk ludzkich, a on w mocy czarodziejki i derwisza, którego zaczął podejrzewać o złe zamiary, lub znowę z Szar-i-banu.

Derwisz naraz wyprostował się i groźnie zatrzęsł kosturem:

— „Na kolana!“ — krzyknął głosem strasznym, zbliżając się do księcia z twarzą zaczerwienioną od gniewu.

„Czyś oszalał?“ — zawołał Szeik-ul-maluk głosem słabym i trwożnym.

— „Nie, psie niewierny, ale chcę załatwić z tobą rachunek i zapłacić ci za wszystkie moje cierpienia!“

Z temi słowy rzucił się na przelęknionego księcia i zaczął go okładać co tylko sił starczyło ciężkim kosturem.

— „Aman, aman!“ — błagał Szeik-ul-maluk, wijąc się z bólu i upadając na ziemię.

— „Ja także krzychałem: Aman! a tyś się nie litowałeś nademną!“ — odpowiadał derwisz, ponawiając ciosy z coraz większą zaciętością.

Kiedy nareszcie zmęczył się, czy uczuł, że stało się zadość zemście, zażądał od księcia jego szat, kiesy i pieczęci, a wzięwszy torby z wianem i przebrawszy się, wskoczył na konia.

„Teraz żegnaj mi, życzę ci powodzenia z Szari-banu“.

Ruszył koniem i zniknął w zaroślach, okalających skałę.

Po dwu dniach podróży przebiegł granicę perską i ocknął się na tureckiej ziemi padyszacha.

Szeik-ul-maluk dowlókl się zaledwo o północy do swego orszaku. Przeleżał miesiąc w łóżku i nigdy nikomu nie opowiadał o czarodziejce Szari-banu.

.....  
„A ilebyś zażądał, Nur-effendi, za ten szmaragd?“ — pytał raz jubilera pod seraskieratem



mój towarzysz, z którym spacerowaliśmy po mieście.

— „Eh, effendi, nie ma na niego kupca w Stambule, ale jeśli zostaniesz derwiszem i odzujesz Szar-i-banu, to ci go podaruję“.

---

## WIELKANOC POD AKROPOLIA.

Z PODRÓŻNYCH NOTATEK W GRECYI.

---

„*Exiguo debet, quod non est, insula colli*“ — zawołał z Lukanusem, chcąc być koturnowym, towarzysząc nasz dalmatyński, Tomasz D., gdyśmy w kwietnią niedzielę przybili do przylądka Pali, starożytnego Dyrhachium. — „Pamiętajcie z wyżyn Akropolii westchnąć w stronę biednego wędrowca w Farsalach, który z żalem będzie musiał otrząść klasyczne jej prochy, aby deptać barbarzyńskie pola Macedonii... *Addio*, panie; *Addio*, panowie!“ — rzekł, wsiadając w łódkę albańską, która miała go zawieźć na brzeg. — „A ty, Nikolo“, — dodał, zwracając się do stojącego u burtu majtka — „nie przestajesz, *ladrone*, wpijać się swemi zbójceckimi oczyma w signorinę Helenę? Udławisz się nią pierwej niż łopatką jagnięcą na Wielkanoc w Atenach, chyba, że cię kapitan tymczasem powiesi na środkowym maszcie“.

„*O santo Niccola!* Pfuj, chciałam powiedzieć:  
*O santa Madonna! Quel jovial mais grossier sujet  
que ce monsieur Tomasseo!*“ — zauważyła półgło-  
sem ciotka panny Heleny, bladej, marmurowo spo-  
kojnej, zapatrzonej w dal lądu bałkańskiego, gdy  
Nikola rzuciwszy wędrowcowi przekleństwo na od-  
jezdne, zamykał bort i wołał na młodszych majtków  
rozkazująco:

„*Eja lesa*, wciągnijcie kotwicę!“

— „*Eja mola!*“ — zagrział z górnego po-  
kładu rozkaz kapitana: — „wciągać, *eja mola!*“

Zgrzytnęły żelazne ogniwa łańcucha kotwico-  
wego i, zwolna podnosząc się w górę, opadały zwo-  
jami ciężkimi na żelazną oś bloka pokładowego.  
Dzielny „Lord Byron“ z doków angielskich zako-  
łysał się majestatycznie na pełnych falach, rozpruł  
je piersią swoją i dumnie wpłynął rozwiniętymi  
żaglami na morze Jońskie, kąpiąc się w topazach  
i rubinach zachodzącego słońca. A gdy ono rzucać  
zaczęło w przestwór niebios szafiry i ametysty, Ni-  
kola skinął ręką na chór swych marynarzy greckich  
i popłynęła ku wyspom, ku Archipelagowi, smutna  
pieśń majtków heleńskich:

Gdy masz córkę, gdy o nią prosi majtek młody,  
Daj ją lepiej starcowi, niż temu młodemu!...

Patrzcie, jako ten chłopiec zżółkły, choć w lat kwiecie,  
Padł na okręt i z gorzkim chce się rozstać światem,



Bo ni matki, ni siostry, ni brata na świecie,  
Sternik jemu i matką, i siostrą, i bratem.

. . . . .  
„No, podnieście mnie trocha, o maszt mię oprzyjcie,  
Dwiema, trzema chustkami ścieśnijcie mi skronie,  
A tą mojej najmilszej, tą chusteczką złotą,  
Twarz mi zwiążcie! Dajcie mi moją mapę! Oto  
Patrzcie: ta góra na wschód, ta w zachodniej stronie,  
W tej śnieg na wierzchołku, u tej mgła na progu:  
Tam płynię, tam dno pewne i port uczęszczany!  
Stanąwszy — rzućcie linę od prawego rogu,  
A najcięższą kotwicę od zachodniej ściany!  
Proszę cię, mój sterniku, i ty, władco nawy,  
Nie każ mnie grześć przy cerkwi, ni od morza w dali;  
Niech wkopany do piasku lub nabrzeżnej trawy,  
Słyszę głos bliskich majtków i pluskanie fali!  
Więc żegnajcie mi, bracia! Żegnaj mi, mój panie,  
I strony, którem zwiedzał, i rodzinne pola,  
I słodkie *eja lesa*, słodsze *eja mola*!“  
Rzekł i spadły powieki na wieczyste spanie<sup>1)</sup>.

\* \* \*

— „*Eja lesa!* spuszczać kotwicę!“ — pada znów  
rozkaz gromki z górnego pomostu.

— „*Eja lesa!* Dalejże, szybko, raźnie, raz-dwa-  
trzy!“ — powtarza dźwięczny głos Nikoli wśród  
warczenia śrub parowca i plusku spienionej nim  
fali w zatoce pirejskiej.

Śpieszno Nikoli, śpieszno nam wszystkim, bo  
choć statek tu przeświatkuje, choć to zaledwo po-

---

<sup>1)</sup> Z przekładu Al. Chodźki.

ranek pierwszego dnia jego feryi całotygodniowej, ale to dziś Wielka Środa na chrześcijańskim Wschodzie; a tu znów przed nami na tle szafiru pławi się w blaskach słońca wiosennego wzgórze Akropolii senne, zadumane nad rozbitą czarą piękna heleńskiego, ale nęcące kontrastem dzisiejszym dwu światów.

Wśród głosów komendy, okrzyku majtków, nawoływań wioslarzy, krążących na kaikach jak mewy dokoła statku, czekając na żer pasażerów, przy tłumnym ruszeniu tych ostatnich ku rozwartemu bortowi parowca, stoimy na pokładzie jego w oczekiwaniu kolei naszej, aż w ostatniej chwili pożegnania zwraca się ku mnie Georgios, który towarzyszył ciotce swej i siostrze:

— „Pan nas zechce odwiedzić w święta, nieprawdaż? Łaskawi są na nas przyjaciele w poniedziałek wielkanocny. Bardzo pana prosimy w imieniu całej rodziny“.

Życzliwe wejście obu pań służyło za stwierdzenie i poparcie.

Skloniłem się w milczeniu, dziękując za pamięć.

— „Mieszkamy w domu własnym, w północnej części miasta, niedaleko Trikupisa“.

„Wie pan, jak iść z ulicy Hermesa na plac Konstytucyi, a potem zwrócić się na lewo i...“ — tłumaczyła ciotka.

— „O wiem, wiem“.

„Addio, a rivederci“.

— „*A rivederle*“.

Andrzej K., dawniej konsul grecki w Turcyi, a teraz redaktor jednego z miesięczników literackich w Atenach miał czekać na mnie w przystani, aby następnie zawieźć do jednego z hoteli miejskich. Ponieważ się nie zjawił w chwili przybycia „Lorda Byrona“, postanowiłem udać się najpierw na drugą stronę zatoki, gdzie negocyant, brat jego, posiadał dom własny i gdzie mogłem poinformować się i dać upust niepewności swojej o los Andrzeja. Wsiadam do łódki o dwu wiosłach; przy nich siedzą dwaj barczyści przewoźnicy w białych, suto ufałdowanych fustanelach i w karminowych fezach, których długie kutasy bujają niespokojnie po plecach za każdym poruszeniem wiosła.

— „Można tu gdzie na wybrzeżu wstąpić do kantyny na lampkę wina? Mam pragnienie i radbym przegryźć kawałkiem sera“ — rzeknę do nich.

— „Cóż to teraz *katame deutera* czy zapusty, żeby pan grzeszył winem i serem?“ — oburzyli się obadwaj ortodoksi.

— „Słuszne to i godziwe, co mówicie; ale ja nie jestem kościoła greckiego i u nas już Wielkanoc“.

„To wszystko jedno, ale u nas jest post i u prawowiernego Greka niczego dziś dostać nie można“.

Prawdę powiedzieli. Postu w Grecyi przestrzegają bardzo surowo. W warstwach prawowiernych



nie jedzą przez cały czas trwania jego ani mięsa, ani nabiału; nawet w domach zeuropejszczonych wstrzymują się co środy i piątku od mięsa. Gdzieśniedzie Wielki Piątek i Sobota uważają za suchednie i do czasu uczyt rezurekcyjnej nie prawie nie jedzą, nawet ulubionych oliwek.

Żegluga moja przez zatokę trwała może około 20 minut. Przybijając do brzegu, daję jednemu z wiosłarzy franka, uważając to wynagrodzenie za dostateczne. Wiosłarz lekceważąco spojrzal na monetę, a wzięwszy ją z rąk moich, cisnął z pogardą na dno łódki. Wyjąłem dwa franki, które ten sam los spotkał. Obadwaj przewoźnicy ogarnęli się wzrokiem wzajemnie i cmoknęli przecząco — zwyczajem wschodnim. Żdziwiony i już nieco zirytowany takim zachowaniem się, wydobywam srebrną 5-ciofrankówkę, ciskam ją na ławkę łodzi i zabieram się do wyskoczenia na ląd. W tej chwili zrywają się z siedzenia obadwaj wiosłarze, a odepchnąwszy wiosłami łódź od brzegu na pełną wodę, z groźną postawą zastępują mi drogę.

11. kwietnia 1870. roku towarzystwo płci obojej, złożone z Anglików i Włochów, zwiedzające pole bitwy pod Maratonem (o dzień drogi od Aten), napadli bryganci i wzięli do niewoli. Puszczono kobiety, a za niemi lorda Muncastra pod słowem honoru, że jeśli poselstwa angielskie i włoskie nie przyślą okupu miliona drachm, a rząd grecki nie udzieli amnestyi brygantom, jego do-

stojność lord wróci napowrót do niewoli; w razie oblawy i ścigania przez siłę zbrojną — zagrożono wymordowaniem wszystkich jeńców. Okup złożono i lord wrócił, bo rząd odmówił amnestyi, mimo nacisku gabinetów angielskiego i włoskiego; król Jerzy zagroził był nawet abdykacją w razie dalszej presyi tych rządów i nakazał ściganie brygantów. Wszystkich jeńców wymordowano.

Nie był to wypadek sporadyczny; podobne powtarzały się nieraz, niekiedy w innej formie i w innych rozmiarach, — a choć od tej pory, dzięki energii rządu, zbójnictwo nieco przycichło, to wszakże w Europie nie ustaliła się jeszcze opinia o dostateczności bezpieczeństwa mienia i życia w Grecyi, mimo że w Atenach w dzień i w nocy drzwi od domów stoją otworem, a przykłady kradzieży należą do wypadków bardzo wyjątkowych. Najwięcej tej pewności i bezpieczeństwa poza wieżą wietrzną, w dzielnicach zamieszkałych przez rodziny palikarskie; ale i bandy opryszków rekrutują się ze zwyrodniałych potomków kleftów bohaterskich, a może nieodrodných: duch klefityzmu i palikaryzmu tyle ma w sobie kontrastów, co hajductwo bałkańskie i zbójnictwo tatrzańskie.

Wiedziałem o tem wszystkim bardzo dobrze oddawna i byłem zawsze przygotowany na podobne wypadki. Toć w chwili, kiedy mi zastąpiono drogę do wylądowania, jedną ręką odtrąciłem bliźszego przy mnie napastnika, a drugą sięgnąłem po

rewolwer, który miałem zawieszony pod płaszczem podróżnym. Obaj Grecy rzucili się do nożów. Strzał w powietrze na alarm, okrzyk przechodzącego wybrzeżem dragomana poselstwa francuskiego, rzuconie się nadbiegającego policyanta do łodzi ratunkowej, przybicie krążącego przy nas a dotąd niewidzianego przez moich wioślarzy — w ich zacierzeniu — czółna policyi wodnej, wszystko to było dziełem może pół minuty.

.....

W południe aleją kaktusową schodziłem już z wyżyn Akropolii, po trzygodzinnem obcowaniu wśród ruin z duchami starej Helady. Plac Konstytucyi i ulica Hermesa, ciągnąca się przez całą szerokość Aten od wschodu na zachód, dzieli je na dwie prawie równe części — północną, nowożytną z pięknym bulwarem uniwersyteckim i szerokimi, wspaniałymi ulicami, jak Akademicka, Stadyona i inne, przepelnione kawiarniami, hotelami w stylu europejskim, setkami magazynów i wystaw, właściwych każdej stolicy; tu pałac ministra skarbu i jeneralnej komendy, tu gmach parlamentu, redakcyje pierwszorzędných dzienników, cerkiew katedralna, tu wreszcie trojański pałac Schliemanna, zapelniony dwudziestu dwoma posągami starożytných bogów Helady i meblami 600.000 franków wartosci. Pałac królewski na wzniesieniu, dominującym ponad placem Konstytucyi i ulicą Hermesową, tyle ma w sobie starego helenizmu, ile w pro-



chu fundamentów i w formacji jego mieści się marmuru pentelijskiego, z którego zbudowany; architektura zaś jego pozostała wiernem dzieckiem naszej epoki niesmacznej.

Północna, najstarsza część miasta, zawiera jednocześnie najwięcej resztek czcigodnych pomników starych Aten. Wchodzę na plac słupów Jupitrowych, gwarny tu zwykle w godzinach popołudniowych ćwiczeniami piechoty i promenadą matek z dziećmi — dziś bezludny i pusty: tem lepiej; wspaniałym kolumnom głośniej niegdyś świątyni klasycznej nie urąga gwar barokowy XIX-go wieku. O paręset kroków na lewo między wzgórzami — Stadyon, na prawo brama Hadryana; wszędzie pustki. Obok na wysepce, sformowanej skapą wodą Ilyosu, zamigotało kilka świetlanych pochylonych postaci niewieścich, zamiast spodziewanych nimf — praczki, które spóźniły się z płukaniem świątecznej bielizny; tłuste były i pozą przypomniały tłusty wierszyk Drużbackiej o kawalerze maltańskim i porcie otomańskim (przez małe *p* i małe *o*). Spojrzały ze zdziwieniem to na zbłąkanego tu *frenka*, to na przeciwległy szereg *café-chantants* z drzemiącymi w pustkach czeskiemi kapelami damskimi. Zrozumiałem to wejrzenie: „Wy, frenki, poco tu przychodzicie, skoro starzyznę z Akropolii pozabierali Anglicy ze Schliemannem, a śpiewaczkom waszym dziś niewolno śpiewać, ani grać, aha!“

I ty mi zazdrościsz, *Tomasseo*, błędząc po Farsalach!

Z westchnieniem farsalskiem, życzliwością nimf-praczek Ilyosu i pyłem Propyleów przeniosłem się co rychło na północ i ocknąłem na ulicy Akademickiej. W sam czas! Gwarno i wesoło tu przez cały rok boży, teraz pusto i głucho także. Zza węgła domu czatujących parę oberwańców małych, o lamparciem wejrzeniu, galopem pędzi, z piskiem a wrzaskiem:

— „*Lustro, lustro, musje!*“

To członkowie dobroczynnego bractwa czysci butów Lewantu otrząsają szczotkami i te resztki wapienia klasycznego z nóg naszych. Nie wypada inaczej. Wszak oto wspaniały nowoczesny *kafenion*, dokąd frenki zajść muszą.

Wchodzimy, zostawiając za sobą ciszę uroczystą świata klasycznego i Chrystusowego.

Jak obuchem w łeb uderzył przez rozwarte drzwi opar kawy, nikotyny, rakii i lukumu, zmieszany ze stugębnym gwarem potomków Alcybiadesowych:

„*Trikupis! Delianis!... Delianis! Trikupis!*“

Andrzej dawno mi już pod ręką z nieodstępem marzeniem o Bismarku:

— „Zobaczysz pan, że odbuduje Polskę! Wszak to leży w interesie Prus — stworzyć wał ochronny od Rosyi — zapewniał mię przed dziesięciu laty“.

„Cóż słyhać o Bismarku? — pytam go teraz — Jakże odbuduje Polskę, skoro w dymisyi i niełasce?“

— „Geniuszów myśli unoszą się ponad efemerydami chwili — odparł z emfazą. — A Herberta nie zostawia po sobie? Nie stworzył dynastyi, co? *Voyons!*“

Andrzej spóźnił się na spotkanie moje w zatoce pirejskiej, bo zapewniał, że „Lord Byron“ o dwie godziny wcześniej przybył, niż miał przybyć.

— „Trikupis, Delyanis! Delyanis, Trikupis!“ — wrzało w kafenionie coraz gwałniej, coraz donośniej: imiona obu mężów stanu były na wszystkich ustach tak *autochtonów*, jak *homogenów*.

Szczęśliwy kraj ta Grecya: nie zna ani liberałów, ani konserwatystów, ani klerykałów, ani radykałów i socyalistów. Zdawałoby się, — idyla, najbardziej błoga. A jednak nigdzie pod słońcem nie masz gorętszych sporów politycznych. Polska, Węgry, Anglia, żyły od pół tysiąca lat w świecie konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu, Francya od wieku w nim pracuje, nowa Grecya otrzymała gotową z mózgu Jowisza konstytucyę, uzbrojoną w paragrafy wobec bezbronnych doświadczeniem obywateli, z których każdemu paragraf pokazywał tekę ministeryalną w perspektywie. Każdy też zapragnął ją otrzymać, a gdy nie mógł, stawał się zoilem i opozycyonistą. Dopóki patryarchalny Kumunduros był przy władzy, szło to jeszcze niezgorza; stary premier niczego nikomu nie odmawiał



i filuternie coś każdemu obiecał. Zadawano się obiecanką. Było to w owych czasach błogich, kiedy w salonach europejskich nazywano polityków greckich *les diplomates, étrangers aux affaires*, choć może niesłusznie, skoro Porty Ottomańskiej wybornymi mistrzami w polityce byli fanaryoci. Bądźcobądź w nowoczesnej, europejskiej ogładzie salonowej dyplomacyi — posłowie i agenci dyplomatyczni gabinetu ateńskiego nie ustępują dziś zachodnim swoim kolegom w Wiedniu, Paryżu, Londynie. Z nastaniem szkoły politycznej obu Komundurosów i Delianisa — spotężniały wymagania *demosu*, choć nieco inaczej, jak dyplomatów. Obiecanki nie wystarczały, zapragnięto bądźcobądź utworzyć partie parlamentarne: kto żyw — rzucił się do polityki. Setki młodych ludzi po skończeniu szkół, nie mogąc znaleźć zajęcia odpowiedniego w kraju, poczęły zajmować się polityką; wprowadziła ją konstytucya nawet do armii, dając wybieralność do sejmu wojskowym czynnej służby. Każdy z wybitniejszych starał się mieć swoich zwolenników; nawet starzy fanaryoci, nie mogąc sobie inaczej poradzić, setkami trzymali do chrztu dzieci wieśniaków i wyrobników, aby drogą krzyżma wytwarzać szeroką dla siebie klientelę.

„Delianis, Trikupis! Trikupis, Delianis!“ — wrzało po wszystkich kafenionach stolicy i kraju, na zgromadzeniach wyborczych i tych niezliczonych stowarzyszeń, któremi się roi Grecya.

Słyszac te gromkie okrzyki i namiętną gestykulacyę mówców, można było mniemać, że się widzi obozy przeciwników, przedzielonych głęboką przepaścią różnych programów i zasad. Jako żywo, nie. Cała różnica między trykupistami i delianistami polegała na tempie żądanych reform: Trikupis chciał je wprowadzić dziś, a Delianis jutro, ba, tego samego dnia: pierwszy o kwadrans na 2-gą, drugi o kwadrans na 3-cią. Ale co za przepaść pochodzenia obu wodzów! Trikupis pochodzi ze starego rodu fanaryotów, ale pono wyspiarskich, Delianis zaś — z dorobkiewiczów od czasów wojny o niepodległość, ale za to czystej krwi jest Morejczykiem, *autochtonem!* A proszę posłuchać — z jaką dumą Grek z Peloponezu mówi o sobie: „Jam Morejczyk!“ Wszyscy Grecy z Chiosu, Cypru, Krety, z całego Archipelagu, ba nawet z kontynentu epińskiego nie warci rozwiązać rzemyka u obuwia Morejczyka; a niechże jeszcze będzie rodem z Dymicana, kolebki Delianisa, ba, w proch cała Europa przed nim! Kiedy z końcem lutego 1892. r. pośliznęła się noga Delianisowi, król zażądał od niego podania się o dymisyę. Zawrzało w Atenach jak w wulkanie:

„Co? Może ten *hultaj* Trikupis śmie znów przyjsć do władzy? Ooo! Obaczymy! Król śmie żądać dymisyi? Ooo! *Ke allus meis efagame!* My nie takich już zjedliśmy!“

W ulicach wybuchły demonstracye przeciw pałacowi. W Europie zaczęto przypominać los króla

Ottona. Giełdy zaniepokoiły się, *agio* złota uległo dyferencji 5<sup>0</sup>/<sub>0</sub> i król Jerzy posłał tajnego radcę swego i sekretarza — Kalińskiego, aby odebrał portfel od Delianisa.

Zrozumiałem opóźnienie się Andrzeja w zatoce pirejskiej.

Do władzy wszakże nie przyszedł Trikupis: tekę premiera oddano Konstantopulosowi.

„*Ke allus meis efagame!*“ — huknęło we wszystkich kafenionach, aż cienkie ściany nowożytnie zatrzęsły się w podstawach swoich. Z zapadnięciem zmroku ani żywa dusza w nich nie powstała. Po głuchych sennych ulicach — zda się — przeciągnął anioł śmierci: tak tu pusto, tak niemo! Jeno miarowe kroki patroli piechoty i tętent galopującej kawalerji przerywają ciszę uroczystą.

\* \* \*

Nazajutrz też sama cisza, też sama niemota. Helios już dawno wtoczył rydwan swój złocisty na błękitny szlak nieba i sieje stamtąd pełnemi garściami blaski słoneczne na Heladę i gród Ateny, złączając nimi zarówno bogi od wieków zaklęte w marmury, jak gwarne wczoraj syny Deukaliona; w ulicach cicho i głucho. Z poza domów tylko i wrót wychylają się co chwila nieśmiałe postacie stróżów i służących, spoglądają w dal bezgraniczną i z uporem wyczekują całymi długimi kwadran-



sami. Niecierpliwi i śmielsi przesuwiają się chylkiem ulicami, pędzą na przedmieścia, wspinają się na Akropolę i przyłożywszy ręce do czoła, wpijają się wzrokiem w przestwór daleki — hen aż ku Koryntowi...

Nareszcie od północy zamajaczyły kłęby kurzu, sunąc jak chmura złowroga ku Atenom.

— „Idą, idą!“ — huknął głos chłopaka z Pnyksu i drugiego jednocześnie ze szczytu kolumny.

„Idą, idą!“ — powtórzyła zebrana na Akropolii rzesza.

— „Idą, idą!“ — rozległo się echem donośnym po całych Atenach od stóp Partenonu i Propyleów poza bramę Hadryana aż do najdalszych przedmieść nowożytnych dzielnic, wszędzie wywołując gorączkowy niepokój i niecierpliwość tysięcy. Bramy wszystkich domostw i siedlisk ludzkich zapełniły się naraz rzeszami, które czekały chwili, kiedy się rzucić mają w ulice i place na spotkanie nadciągającej z zewnątrz siły.

A tumany kurzu od północy szerzą się, rosną, wznoszą coraz to silniej, coraz potężniej; stanęły chmurą gęstą, zasłoniły słońce, sunęły na gród, zatoczyły zwolna dokoła niego kłęby gęste, ciemnawe, i falami całemi wtargnęły w ulice miasta, zionąc z głębi swojej opar żwierzęcy i ludzki wraz z pomrukiem i szmerem, to znów w miarę gęstnienia kurzu — z dzikiem nawoływaniem rzesz ludzkich:

— „Hou, hou, a hej, heu!...“

zmieszanych z gluchem warczeniem, tupotem i beczeniem zwierząt:

Beee! Meee! Beee!...

Co za groźne zastępy najeźdźców i zdobywców?!

Dziś Wielki Czwartek. Na sto trzydzieści tysięcy mieszkańców Aten a dwadzieścia pięć tysięcy rodzin najuboższa nawet z nich zwyczajem starym obyć się nie może bez spożycia baranka lub jagnięcia wielkanocnego. Pasterze to tedy z gór i pastwisk Grecyi spędzili do stolicy tysiączne trzody owiec. Wszystkie place i ulice zapełniły się niemi wśród żalonych teraz nawoływań pasterskich. Z każdego domu wylęgli gospodarze, gospodynie lub służba: wybierają sztuki żywe, targują się, wchodzą w długie korowody z pastuszkami; a każda gromada, scalona umową w jedną rzeszę z owcami i pasterzami, ciągnie w swoją dzielnicę, ulicę, zaułek. Zwyczaj nakazuje, aby krwi jagnięcia nie przelewano inaczej, jeno przy ognisku domowem; pasterz więc idzie wraz z domownikiem i wybranymi owcami, sam staje się rzeźnikiem i wnet usiłuje wedle umowy zawładnąć runem zwierzęcia, skórką jego.

Gdyśmy z Andrzejem z placu Konstytucyi przecisnęli się na plac przed domem Trikupisa, tłok tu był tak straszny, że kobiety niemal się dusiły w ciżbie, wydając jęki przeraźliwe, zmieszane z beczeniem owiec. Jednej z nich jakiś marynarz torował drogę, roztrzającą tłuszczę prawicą żyłastą.

Niebawem dokoła niego utworzyła się przestrzeń wolna aż paru sążni kwadratowych tem łatwiej, że część ludu już odpłynęła spiętrzoną falą w przeciwnym kierunku i wtłoczyła się w ulice sąsiednie. Popchnięci falą powrotną, ocknęliśmy się przy marynarzu. Gdy się odwrócił, poznałem w nim Nikołą: przewyższał innych wzrostem i rozłożystymi barkami, które przykrywała szeroka błękitna kryza marynarki. Towarzyszył dziewczynie służebnej i kucharzowi z domu znajomego naszego ze statku — Georgiosa, których osłaniał opieką swoją. Naprzeciw niego stał oparty o maczugę 30-letni pastuch, niemniej urodziwy od Nikoli, wzrostu nieco niższego, ale budowy krępej, herkulesowej, o biodrach, potężnie wystających, i stopach olbrzymich. Zbliżyliśmy się w chwili, kiedy kucharz pochylony zagłębiał rękę w gęste runo owcy i próbował jej wydajności mięsa a tłuszczu, Nikola zaś z pastuchem, mając między sobą dziewczynę, mierzyli się wzajemnie wzrokiem groźnym i przeciągłym, jakby na dnie ich serce zaległa waśń długo tajona:

„*Ça devient interessant*“ — odezwał się Andrzej. — „Ci dwaj muszą się znać oddawna i mieć z sobą na pieńku“.

— „Chyba na wszystkie pięć sztuk dodać drachmę“ — zauważył kucharz po namyśle.

„Jabym ćwierć drachmy nie dodał na dziesięć sztuk: takie to mizerne i nieczyste!“ — zaoponował Nikola.



— „Mizerne i nieczyste, powiadasz? No, przy-  
patrz się i powąchaj!“ — I to mówiąc, cisnął pa-  
stuch maczugę pod nogi, schwycił najtłustszego ba-  
rana w ręce, uniósł go jak piórko ponad głowami  
obecnych i, zanim Nikola mógł się opatrzeć, rzucił  
mu go na piersi.

Okrzyk przestachu rozległ się dokoła. Nikola,  
strąciwszy barana na ziemię, rzucił się z nożem  
marynarskim naprzód na przeciwnika, ale ten, już  
przygotowany na to z podjętą maczugą, zwrócił ją  
sztorcem pionowo i, grubszym końcem skierowaw-  
szy ją ku piersiom Nikoli, przygwoździł go niemal  
do baryery domu Trikupisa; trzymał go tak nieru-  
chomo w oddaleniu od siebie, aż nadbiegł patrol  
policyjny i rozbroił obu.

„To się na tem nie skończy, marynarz nie  
omieszka odwetu“ — mówił Andrzej, prowadząc  
mnie na zwiedzenie kilku cerkwi, w których się już  
tymczasem odbyły uroczystości dnia tego. W cerkwi  
katedralnej arcybiskup dokonał ceremonii obmycia  
nóg dwunastu kapłanom, poczem zastępy całe ubo-  
gich dziadów pociągnęły ku pałacowi królewskiemu,  
gdzie ich sowicie karmią i obdarowują hojną jał-  
mużną.

Że w wielu domach greckich wieczorem dnia  
tego odbywają się uczty na pamiątkę ostatniej wie-  
czerzy Pańskiej, a do familijnego domu brata An-  
drzejowego w Pireusie, dokąd dostałem zaproszenie,  
było za daleko i odłożyłem wizytę na dzień wielka-

nocny, udaliśmy się tedy na wieczerzę ludową staroświecką w głąb przedmieścia poza wieżę wietrzną.

Domy tu skromne parterowe lub wysmukłe, ze ślepymi ścianami lub oknami zakratowanymi po wschodniemu od ulicy, a frontonem i podwojami od podwórza, w którego głębi mały kwiatowy ogródek, pełen bzu kwitnącego i kwiatów wiosennych, starannie pielęgnowanych niewidzialną ręką niewieścia. Nie widać jej i we wnętrzu domu, w męskich jego apartamentach, gdzie na spotkanie nasze wychodzi sędziwy Kostaki, otoczony synami dorosłymi i zięciami i w gronie poważnych sąsiadów, którzy również powstali na powitanie, sadza nas na kobiercowym menderliku, biegnącym dokoła ścian przestronnej niskiej komnaty. Pośrodku urnowy manganal mosiężny z żarownią, pełną żaru, przykrytego popiołem, skąd chłopcy podają gościom ognia do fajek i nieodzowną czarną kawę turecką w filigranowych filiżaneczkach.

Rozglądamy się dokoła: twarze wszystkie poczciwe, szlachetne, ale marsowe, zamaszyste, jakby modele gotowe do przesłicznego portretu Bokarysa — akwareli nieboszczyka Tepy ze Lwowa. Ta sama mina, taż postawa, ten sam strój staroświecki, pamiętający boje kleftów z Turkami i walki o niepodległość — z początku wieku XIX. Wielofałdzista biała fustanela spada od bioder poza kolana i trochę nadaje młodemu wygląd *primaballeriny*, u starych nie razi, choć przypomina spodnicę niewieścia; nogi

ujęte w kamasze, „caruchia“ bez obcasów; pierś okryta bogato haftowanym spencerem, a za pasem długi nóż i para pistoletów srebrem wykładanych, wyniosły, miękki, fałdem przechylony nieco na bok fez szkarłatny z długim ciemnoszafirowym kutasem, spadającym na plecy, uzupełnia resztę stroju.

Wszystko to są *palikarowie* tak samo, jak cała dzielnica, przepelniona nimi, potomkami z krwi lub ducha bojowników nie terażniejszej, a dawnej wolności, nie tej, co walczy o paragraf konstytucyi, ale tej, co krwią szlakowała byt i niepodległość Grecyi. Ludzie to inni od żakietowych, surdutowych europejskich, robiących politykę nowoczesną; świat odmienny, patryarchalny, ani na jotę nie zmieniony od 1821. roku. Zda ci się, że widzisz przed sobą z grobu wskrzeszonych bohaterów Misolungi, lub ich kleftowych przodków, malowanych na obrazach i z ram ich wychylających swe twarze nieme a jednak żywe. Boisz się przemówić słowem do nich, aby nie spłoszyć widziadła zmartwychwstałego, a ich własnych słów słuchasz jak echa zagrobowego, lub głosu tajemniczego niewidomych postaci maeterlinkowskich. Świat to rapsodów rycerskich, epepei, legend, prowadzących cię o setki lub tysiące lat wstecz, to drgających niewidzialnem życiem duszy ludu, to snującym przedzę pierwszych chrześcijan, to dzwoniącym krużką bronzową homeryzmu.

Ot i teraz — po długim sączeniu rakii, a spożyciu wieczerzy rybnej, gdy z dzbana starego roz-



lano wina czerwonego w czary, sąsiad mój, stary o mlecznych sumiastych wąsach — Denis, podniósłszy zwolna i poważnie brzeg puharu do ust, trzymając w ręku, zwraca się ku mnie i pyta:

„Smakuje wino Waszej Miłości?”

— „Bardzo“.

— „Nie dziwno, bo stare“.

„Musi mieć lat ze dwadzieścia?”

— „Starsze“.

„Czyżby pięćdziesiątki sięgało?”

— „Starsze, znacznie starsze“.

Wypatrzyłem oczy zdziwione.

„Miałoby wiek?”

— „Cha, cha, cha! Od tysiąca Wasza Miłość rachuj; to wino świętego Dyonizyosa!”

— „Cha, cha, cha!” — rozległ się śmiech homeryczny biesiadników.

„Opowiedz-że Panu, skoro nie wierzy!” — odezwał się gospodarz, skinąwszy na Denisa, a nam podsuwając dzban nowy.

Denis ciągnie haust i opowiada:

„Kiedy święty Dyonizyos był jeszcze małym, wędrował raz pewnego przez Heladę, aby się udać do Naksyi (Naksosu). Długa mu droga była, uciło mu się, znużony przysiadł na kamieniu, aby wypocząć. Kiedy tak siedzi i rozgląda się dokoła, widzi u stóp swoich roślinkę, z ziemi się wychylającą. Tak mu się piękną wydała, że wnet powziął zamiar zabrania jej z sobą i przesadzenia. Tak

też uczynił i poszedł w dalszą drogę. Ale że słońce właśnie pod tę porę paliło mocno, zląkł się, aby gałązka nie uschła, zanim dojdzie do Naksy. Natrafiwszy na kosteczkę ptasią (nóżkę), wetknął w nią gałązkę i idzie dalej. W błogosławionej ręce jego gałązka rosnąć poczęła tak szybko, że się wychylała i porostki puszczała z obu końców kostki. Znow się tedy zląkł, że uschnie, i jął rozmyślać nad zarządzeniem zlemu, a znalazłszy kość lwia (goleń), że była grubszą od ptasiej, włożył tę ostatnią w tamtą wraz z roślinką. Rychło wszakże wypryskać i wyrostać jąła latorośl i z tej kości. Znajduje tedy goleń osłą: grubszą była od lwiej, tedy roślinkę włożył w nią wraz z ptasią i lwia kością. I tak doszedł do Naksy. Gdy tu chciał posadzić latorośl, przekonał się, jako korzenie jej tak się oplotły dookoła ptasiej, lwiej i osłej kości, że rozbić ich nie mógł bez uszkodzenia rośliny, i posadził ją wraz z niemi w ziemię. Rychło wyrosła w krzew i ku radości jego dała grona, z których natychmiast wycisnął pierwsze wino i dał go pić ludziom. Ale co za cud ujrzał! Gdy ludzie pić poczęli, śpiewali najpierw jak ptaki; pili więcej, stawali się mocnymi jak lwy; a gdy jeszcze przybrali, zmieniali się — w osły“.

— „Pozostańmyż tedy przy pierwszych dzbanach, nie przy ostatnich, oślich!“ — odezwał się ktoś z gości i zanucił pieśń legendową o świętym Bazylim:

W wieczór po długiej przez wieś alei  
Święty Bazyli szedł z Cezarei,  
Płaszcz miał z żelaza, z miedzi trzewiki.  
Biegną dziewczynki, biegną chłopczyki...

. . . . .

„Widzisz więc Wasza Miłość, że to wino nie jest dzisiaj, ani wczorajsze“ — przerwał Denis wesolo.

. . . . .

— „Widzę, — rzekłem do Andrzeja, wracając z nim od palikarów do miasta — że święty Dyonizyos legendy nowogreckiej jest po prostu uchrześcjanionym starohelleńskim Dyonizyosem; to najczystszy Bakchos, nawet wogóle aryjski“.

„Tak, tylko z przestawką kompozycyjną i z brakiem bakchantek“.

— „Nic to, boć to przecie zbyt byłoby rażące dla pietyzmu chrześcijańskiego; ale ten sam tyrs w rękę, ten sam pochód po świecie zdobywcy siły wiosennej i życiodajnej, ten sam humor, plastyka, to samo mięso ofiarne — w kościach, to samo słońce jasne, palące życia, ba nawet ta sama zapowiedź upojenia szalem życia, wcielonego przed wiekami w koźle, a przetransponowanego dziś w osle. Co za swada niezrównana“!

\* \* \*



Nie kołatki, jak w kościele zachodnim, ale dzwony wszystkich świątyń ogłaszają tu dzień wielokopiatkowy ukrzyżowania Chrystusa. Zrana odbywa się kazanie, a jako to rzecz niezwykła w kościele greckim, gromadzi więc licznych słuchaczy. Po południu dwanaście dziewcząt w bieli staje na straży katafalku, ustawionego w cerkwi, na którym rozslano kapę z bogato haftowanym wizerunkiem zwłok Chrystusa, obrzuconą mirtę, różami, jaśminem i kwiatem cytrynowym; dokoła płoną świece woskowe. Pobożni całują wizerunek zwłok i na pamiątkę rozbierają gałązki poświęcone kwieciami żałobnego; umieszczają je później za obrazami świętych w domu, lub noszą w woreczkach na szyi. Obchód *plaszczanicy*, znany na Rusi. Około godziny 7-mej rozpoczyna się wieczorna służba boża, potem pogrzeb. Kapę z wizerunkiem Chrystusa zdejmują z katafalku i tworzy się pochód przez miasto i z powrotem aż do złożenia w grobie. Pochód poprzedza muzyka, za którą postępuje duchowieństwo, dalej wizerunek zwłok Chrystusa, niesiony przez kapłanów, nareszcie tłum wiernych z płonącymi świecami. Na skrzyżowaniach ulic szpaler wojska prezentuje broń, pochód się zatrzymuje, kapłani intonują modły i procesja żałobna dalej się posuwa wśród morza światła elektrycznego i bengalskiego, zalewającego przy obłokach kadzidła cały obszar pochodu, a bijącego wielką luną w niebo. Cały obraz wywołuje niezwykle wra-

zenie, ale przy hałasie raket i trzasku petard — nie na korzyść podniosłego skupienia ducha; czuć w tem nawet nieco dysharmonii z pięknem duchowem, na którą nie pozwoliliby sobie Grecy starożytni.

\* \* \*

Przez labirynt wąskich uliczek, zapelnionych starymi domami palikarów, przeciskać się trzeba do budynku ministerstwa spraw zagranicznych, a stamtąd do cerkwi metropolitalnej, przedzielonej od ulicy Hermesa jedną tylko pierzeją domów. Zbudowana z materiału 70-ciu zdemolowanych w 1840. r. cerkiewek i kaplic, katedra ta na wzór carogrodzkiej Aji Sofii jest polichromowana czerwoną i żółtą barwą, od której dziwnie odbijają tu płaskorzeźby starogreckie.

Wieczorem w sobotę pomiędzy szpalerem ustawionego wojska płynęły tłumy pobożnych, zapelniając wnętrze świątyni i rozlewając się falą na zewnątrz jej, gdzie pod otwartem niebem wzniesiono olbrzymią trybunę z ołtarzem. Tam zajęło miejsce ciało dyplomatyczne, ministerstwo, dygnitarze cywilni i wojskowi, tudzież tłumy doborowego towarzystwa w strojach galowych narodowych lub kosmopolitycznych: męszczyźni przeważnie we frakach, panie w białych toaletach; jedni i drudzy z obnażonemi z rękawiczek prawicami. O samej północy przybywa dwór z królem i królową na

czele, zajmując miejsce na trybunie — i rozpoczyna się długa ceremonia nabożeństwa rezurekcyjnego, celebrowana przez arcybiskupa-metropolitę najpierw pod gołem niebem, a kończy się we wnętrzu cerkwi — przy tysiącnych płomykach świec woskowych, trzymanyh przez tłumy pobożnych.

Nareszcie w późną noc kapłan zwiastuje wesolą nowinę Zmartwychwstania:

„*Christos anesti!*“

— „*Christos anesti!*“ — rozbrzmiewa w tysiącnych tłumach; wierni zwracają się twarzą wzajem ku sobie, obejmują się i całują bez względu na wiek, płeć i stanowisko, wśród tysiącnych ogni płonących, oświetlenia bengalskiego, petard i rakiet ciskanych w niebo. Muzyki wojskowe zagrały marsz wesoly, przy którego dźwiękach tłumy rozchodzą się do restauracyi lub ognisk domowych dla spożycia tradycyjnego baranka wielkanocnego; to się przeciąga niemal do dnia białego, który zwiastuje pobudka wojskowa i 101 strzałów armatnich, będących sygnałem do strzelania z rusznic i pistoletów po wszystkich ulicach i domach przez całe trzy dni wielkanocne.

. . . . .  
U naszych palikarów wcześniej po domostwach i podwórzach rozniecono ogień. Stary Kostaki sam obraca baranka w ognisku, by się zbytńio nie przepalił; sam też rozdziela każdemu z licznie tu zebranej drużyny po kawałku, a dla siebie jako se-



niora i głowy rodu zatrzymuje prawą łopatkę jagnięcia. Po obgryzieniu jej do samej kości przystępuje do misteryi czytania z niej przyszłości.

„*Christos anesti!*“ — woła Denis, powstawszy z miejsca; wyjmując z pasa pistolet i strzela w powietrze.

— „*Christos anesti!*“ — powtarza cała drużyna wśród strzałów ogłuszających.

„A teraz w imię Boże przystępujemy do Zakonu ojców naszych, którzy nie przedsiębrali żadnej czynności bez zasiągnięcia wyroczni nieba, zapisanej tu na tym baranku wielkanocnym“.

I skinął na najstarszego po nim w drużynie, na Denisa. Obadwaj usunęli się tajemniczo w głąb komnaty i przy świetle kaganka poczęli odczytywać prognostyk z łopatki jagnięcej. Denis zadawał pytania, Kostaki odpowiadał; dalej szły szepty, a po nich znów pytania i odpowiedzi. Cała tymczasem drużyna, skupiona dokoła ogniska, w uroczystym milczeniu czekała wyroczni — niektórzy w zamyśleniu, inni ze strachem i drżeniem.

Skinąłem na Andrzeja, z którym usunęliśmy się w drugi kąt komnaty.

„Jak ci dwaj młodzi drżą, uważałeś pan?“ — mówię do niego.

— „Cicho! — odpowiada mi szeptem — nie przerywajmy tej misteryi! A niech pana nie dziwi drżenie tych młodzieńców; drżeli nie tacy w oczekiwaniu wyroczni. Dziad mój opowiadał mi, że

podczas walk o niepodległość najśmielszych i najwaleczniejszych przejmował strach, gdy misterya zapowiadała klęskę, i przy wszelkich szansach zwycięstwa, przejęci paniką, pierzchali przed Turkami; gdy przeciwnie — wróżba szczęśliwa dodawała odwagi i męstwa i małe garstki szły w ogień nieustraszone, rozbijając o wiele liczniejszego nieprzyjaciela. Wiara ta podtrzymywała się w masach nie tylko dlatego, że ją odziedziczyli po Bizancyum i starej Helandzie, gdzie omoplatomania tak była rozpowszechniona, ale i z przykładów żywych, współczesnych i naprawdę bardzo dziwnych“.

„Jakich?“

— „A przecie musi być panu wiadomym wypadek głośny z Aleksandrem Maurokordatem, ówczesnym prezydentem tymczasowego rządu centralnego, — szeptał jeszcze ciszej Andreas, oglądając się na wciąż trwającą jeszcze misteryę. — Udał się był do zachodniej Grecyi, aby ułatwić odsiecz mocno zagrożonym i obsaczonym Suliotom. Ale w drodze spostrzega błąd swój, że jako wódz naczelny i prezes rządu nie powinien był narażać osoby swojej. Gdy d. 16. lipca 1822. r. siedział przy uczcie niedaleko Arty wraz z Teodorem Griwasem i Kanellosem Delianisem, pierwszy z tych dwu współbiesiadników po obgryzieniu łopatki jagnięcej wyczytuje z niej przepowiednię porażki. Uczta się jeszcze nie była skończyła, a już nadbiegł posłaniec konny z wiadomością, że ważną pozycyę pod

Petą zdobyli Turcy, a rychło potem nadeszła wieść, że Greków pobili pod Fanarią i odparto do Misolungi“.

„Na czem polega dzisiejsza omoplatomania?“

— „Trudno powiedzieć, bo starzy palikarowie trzymają szczegóły w tajemnicy. Ale o ile mogłem wyrozumieć dziadka, to czyste linie na łopatkę zwiastują życie, a powikłane — śmierć; jeśli przy spodziewanej wojnie widnieją plamki czerwone na prawej stronie łopatki, albo na obu linie są wydłużone i ciemne, to wojna będzie długą i uporczywą, a krótką gdy na obu linie białe; wogóle równe i białe linie przepowiadają pomyślność i szczęście, a powikłane, czerwone i ciemne — nieszczęście.

„To się zgadza z opisem Psellosa, podanym patryarsze Cerularyusowi...“

— „Krew zemsty płynie dziś nad Ilisem — zaczął uroczyście Kostaki, zbliżając się zwolna do ogniska. — Długi i krwawy ucisk czeka braci naszych, aż powstaną na niewiernych; mocarze świata z dalekiego Zachodu przyjdą na Archipeląg, a na ziemi królestwa tego zewrą się zastępy walczących i ranami śmierci okryją się niektórzy z obecnych“.

\* \* \*

O takim życiu towarzyskiem, jakie jest u nas, a zwłaszcza w Warszawie, mowy być nie może w Grecyi, niema go zresztą i w Europie; ale i za-



chodnio-europejskich *o-cloch'w*, wizyt i rewizyt nie znają Ateńczycy. Parę balów publicznych, doroczne jedno lub dwa przyjęcia wystarczają dla tej warstwy społeczeństwa, które się zowie „towarzystwem“. Mężczyźni schodzą się w kafenionach lub stowarzyszeniach i na wiecach, a panie radzą sobie, jak mogą, ale chyba nie nudami, skoro wyraz ten nie znany na Wschodzie. Obie zresztą połowy rodzaju ludzkiego żyją oddzielnie. Małżeństwa wszystkie bez wyjątku zawierają się z woli rodziców lub dla konwenansu i bywają — zgodne a szczęśliwe; rzadko kiedy się rozchodzą, choć rozwód bardzo ułatwiony w kościele greckim. W rodzinie bracia dopóty się nie żenią, dopóki siostr nie wydadzą za mąż, co zwłaszcza bez wyjątku dzieje się wówczas, gdy rodzice nie żyją, a opieka w rodzinie przechodzi na braci; żyją w starokawalerstwie, choćby do śmierci.

Taką też była rodzina Georgiosa J., do której domu zaproszono mnie na poniedziałek; on dobiegał czterdziestki bezzenny, a pannie Helenie trzeci krzyżyk usiadł na pięknych ramionach i śliczniejszej buzi, choć o surowym wyrazie twarzy jak u Dyany. Obojgu się nie śpieszyło rozstawać z sobą; byli zadowoleni z siebie i ze starej ciotki, która stała na straży konwenansów dziewiczych. Ona wypełniała swe życie — przypuszczam — pięknnością starej Helady, on — najgorętszym udziałem w budowie nowej Grecyi. Jak Salomosa, Kanarisa, Kon-

duryatisy... członek to jednego z tych niezliczonych rodów wyspiarskich, co żyją na Archipelagu nędzą i oliwkami, aż pracą gorączkową zdobędą się na żaglowce z figami i rodzynkami, zbożem i bawelną, płyną do Brazylii, Bengalu, Kairu, Marsylii, zostają z czasem bankierami, hrabiami, baronami i uzbierane skrzynie złota rzucają na usługi kraju: budują wille dla króla, zakładają instytuty morskie i lądowe, zwadniają Tesalię, przekopują kanał Ist-mijski, nabywają torpedowce, gromadzą po muzeach szczątki z Akropolu, wznoszą szkoły greckie w Macedonii, Konstantynopolu, Francyi, Anglii, Rosyi, utrzymują setkę dzienników krajowych i obcych, tworząc, podnosząc i potęgując wielką wszechświatową Grecyę, ideę helenizmu.

Ojciec Nikoli był sternikiem jednego z takich statków rodzynkowo-bawelnianych, który był własnością ojca Georgiosowego, i zginął w zatoce perskiej przy wyladowywaniu transportu, który stał się podwaliną domu. Żalobą się wtenczas okrył cały ów dom ojca, teraz synowski okrył syn sternika żalobą w chwili, kiedy stojący na kotwicy „Lord Byron“ przygotowywał się do rzucenia pod Akropol 20-letniej pracy w świecie dalekim.

— „Wie pan, biedny Nikola zginął wczoraj, już po nim!“ — zawołała, witając się ze mną ciotka, kiedym wszedł do salonu, wykwintnie ubranego w stylu renesansowym.

„Jakto? Gdzie? W jaki sposób?“ — pytam, ścisnąc dłoń milczącego Georgiosa.

— „Szukał zemsty na pastuchu wielkoczwartkowym, który go obraził, i zginął z kuli jego pistoletu nad Ilisem. Ludzie myśleli, że on strzela na *Christos anesti*, a ten zbrodniarz strzelił w pierś biednego Nikoli... Pan przyjedzie na pogrzeb, nieprawdaż? Chowamy go jutro w Pireusie; sam tak prosił, konając, aby mógł słyszeć. — Pamięta pan jak śpiewał —

„...słodkie *eja lesa*, słodsze *eja mola!*“

---



## ŁAZARZ KWIETNY.

(SZKIC PODRÓŻNY Z PASYI MACEDOŃSKIEJ).

---

„*Wila, te ubio, Naczo!?* kakwo je towa? — zawolałem w uniesieniu. — Ja ci mówiłem, że nie ułowisz Turczyna od strony Bałkanu; napróżno i ja zmachałem mego kasztana. A szkoda! Byłyby dobre łowy dla jutrzejszej *Werbnicy* i Łazarza“<sup>1)</sup>.

— „*To nije Turczyn, gospodine, to Cincar-at, a jeto ti cwietie*“.

To mówiąc, Najden przyskoczył do mnie z impetem. Wyniosła postać jego, opięta błękitną o białem szamerowaniu kurtką szopską, z przewieszoną przez ramię białą burką macedońską, pochyliła się nad spienionym łbem końskim, a z ogorzalej dłoni jego posypała się na grzywę kasztana mego garść pierwiosnków bałkańskich.

„*Eh, Naczo, tyś się omylił: myśl twoja, bar-*

---

<sup>1)</sup> Kwietna niedziela i obchód święta Łazarza.

dziej chyża od konia, pobiegła o milę stąd pod planinę Maleszową: te kwiaty nie do mnie powinny należeć“.

— „*Br-zy-jat kon sa stiga, a br-za-ta duma nikoga*“<sup>1)</sup> — odrzekł z cierpkim uśmiechem, który zabłądził chwilkę na ustach i rychło się ukrył pod długimi ciemnymi wąsami Szopa<sup>2)</sup>.

„Chyba przeciwnie, Naczo, bo dumę swoją — jak widzę — doścignąłeś, ale nie konia tego Cygana, który teraz się śmieje z ciebie“.

Najden z ciemnych, dotąd łagodnych oczu cisnął iskrę gniewu czy wyrzutu na mnie, poprawił czerwoną czapkę na głowie, spał konia carwulami, aż dęba stanął, i pomknął jak strzała ku planinie, gdzie się był właśnie ukrył Cyncar przed naszym pościgiem. Nie upłynęło 10 minut, a Szop pędził już z powrotem, prowadząc przy sobie konnego *bieguńca*, którego przytrzymał za kark z takim wstrętem, jak się trzyma szczura lub żabę. Żachał się i trzepotał niski 20-letni wyrostek, tak, że aż czapkę zgubił i odsłonił głowę lysawą, po której ze strachu i gniewu pot się lał strumieniami; krótkiego był wzroku, oczy mu się mrużyły, to znów rozwierały, odsłaniając białka, krwią nabiegłe; drobnymi czarnymi wąsikami strzygł i poruszał ustawicznie:

---

1) Chyżego konia można doścignąć, lecz myśli nigdy.

2) Szop — nazwa mieszkańców doliny Iskru.

„Ty, si czelebi Jowan?“ — zapytał, wrywając się nareszcie z pod prawicy Najdena i stając przedemną zadyszany.

— „Ja sam“.

„Evo-ti!“ — i wręczył list od Panty.

Po obejrzeniu zakładów żelaznego przemysłu ludowego w Samokowie i dwutygodniowej gościnie w klasztorze rylskim wracałem do Macedonii dolną Strumy, aby w Strumnicy lub Skoplii spotkać się z Pantą, który tamtędy miał wracać w Ipeku do Sołunia. Uczony mój nauczyciel serbszczyzny tyle znalazł cennych dla siebie pergaminów w starej rezydencji patriarchów serbskich, że, uradowany zdobyczą nadspodziewaną, odesławszy ją przez wiernego sługę Obrenowiców do Białogrodu, sam opuścił wygodną podróż koleją żelazną i końmi wyjechał na spotkanie moje. Stanąwszy jednak w Strumnicy, nieprzyzwyczajony do jazdy konnej, już dalejjechać nie mógł i wysłał tylko posłańców dwoma szlakami w dolinę Strumy dla odszukania mnie.

„Czegożes umykał przed nami?“ — pytałem Cyncara.

— „Myślałem, żeście Turcy“.

— „Taka prawda, jak ta, że się dziś nie dotykałem skóry twojej“ — zauważył Najden, odwracając twarz swoją od posłańca.

Przed wieczorem stanęliśmy w Strumnicy. Panta czuł się niedomagającym; o wyjeździe na Wielka-



noc do Białogrodu niepodobna było myśleć, postanowiliśmy więc tu spędzić Wielki tydzień. Znajomych nie zabrakło. Był to czas, w którym noszono się z projektem połączenia linii kolejowej soluńskiej z linią: Białogród-Nisz-Adryanopol. Dla przedwstępnych studyów nad terenem roila się okolica inżynierami, z których kilku przebywało w Strumnicy, między nimi i znajomy nasz p. Wor... Mieszkali w domu czorbadżego Sema, a my z Pantą przenieśliśmy się w ulicę sąsiednią, do domu starej matki przewodnika mego Najdena, którego ojciec, Macedończyk rodem, zraniwszy w jednym z rozruchów ludowych Turka i zmuszony uchodzić za granicę, osiadł był w dolinie Iskru i tam się ożenił z Szopką. Najden odziedziczył po ojcu duszę junacką i przywiązanie do gniazda macedońskiego; po śmierci więc starego Bogdana zabrał starą Bogdanową i powrócił z nią do Strumnicy. Jedną połowę chaty zastał zajęta przez Turczyzna, a drugą, zrabowaną przez Greków i Cyncarów, którzy tu postawili swoje szalasy. Rozpędził nieproszonych gości i wyjednał u sprawiedliwego kadiego wyrok, przysądżający mu ojcowiznę. A gdy Turek nie chciał wykonać wyroku, wyzwiał go na szable i pokiereszował. Przeciwnik był rodem z Albanii i posiadał również krew junacką; pokiereszowany podał dłoń przyjazną Najdenowi i pomógł mu odbudować ojcowiznę.

W tak wywalczonej chacie urządził nam Naj-

den z matką dwie izby, ubrawszy je kilimkami berkowackimi i kobiercami pirockimi, a ściany owiesiwszy całym arsenałem rusznic, pistoletów i jataganów albańskich, że wyglądały jak w świetlicy cara Łazarza; jeno, że żadnemu z nas niepodobna było przyznać się do jego roli, a tem mniej nikt nie mógł zastąpić carycy Milicy: stara poczciwa Bogdanowa wcale nie nadawała się ku temu. Na tej wszakże klasycznej ziemi serbskich i bułgarskich epepei nie zabraknie nigdy żywych reminiscencyi rapsodu, którego motywy zasnuły się na kanwie życia przed pół tysiącem lat. Przed samym zachodem słońca przybiegł po nas Wor..., zapraszając na wieczerną *łazarzową* do czorbadźego Sema, u którego przebywał pospołu z innymi inżynierami. Najden, mimo nalegań i próśb naszych, nie chciał nam towarzyszyć, wymawiając się brakiem czasu.

— „Dajcie pokój temu! — mówił Wor... — Nie nalegajcie, on tam iść nie może“.

Słońce wczesnie zachodziło już za góry, ale do linę złościło jeszcze resztką słabych promieni i ogrzewało ciche, wiosenne powietrze, przepelnione wonią rozkwitającej czeremchy i jabłoni. Dom czorbadźego Sema, położony zdala od jego winnic i plantacyi tytoniu, miał od ulicy znaczną część okien ślepych, albo zwyczajem tureckim zamkniętych drobnymi kratkami drewnianymi. Furta za trzykrotnem stuknięciem zawieszanej przy niej kołatki rozwarła się przed nami na ciężkich, skrzy-

piących wrzeczadkach i odsłoniła ogród, pełny zieleni i drzew, okrytych kwieciem białem, w głębi zaś, tuż obok ganku, na murawie siedział przy wieczornym obiedzie barczysty podstarzały mężczyzna, otoczony, jak patryarcha, całą rodziną. Postępując zwolna od furty ku gankowi Pantaswym barytonem, przy naszym wtórze, recytował pieśni, czyli — jak tam powiadają — łazarzował:

Stari Semo wino pijet  
Pod wisznica-czeresznicza,  
Semowica do kolena,  
Sin, sinowi, sługa służat,  
Mili snachi diwan stojat <sup>1)</sup>,  
Mili kerki ruczek <sup>2)</sup> nosat.  
Doletiele dwa sokoła:  
Soborile cut ot wiszna,  
Narasile <sup>3)</sup> czasza s wino.  
Mi izvika stari Semo  
Na niegowi-te sinowie:  
„Bre, sinowie, moi czeda!  
„Szto stoite, szto gledate!  
„Lel zemite łuk i strieli,  
„Ustrelajte dwa sokoła!“  
„Otgowarja dwa sokoła:  
„Ne moj, Semo, ne grieszc sie!  
„Ne-sme doszli za strielanie;  
„Ot daleko sme doletiele —

---

1) Z uszanowaniem.

2) Obiad.

3) Rozlali.



„Preletiachme  
„I dobar glas swe doniesle;  
„Mi-sme czuli, cze ti imasz  
„Sinowie za ženienie  
„Mili kerki<sup>1)</sup> za myżenie,  
„Mi-sme doszli, da struwame<sup>2)</sup>,  
„Stroj da strowame,  
„Prsten da mieniawame  
„Il za sina, il za kerka“.

Cha, cha, cha! *Dobro doszli gospodinowe*, cha, cha, cha, *dobro doszli!* — wołał dobrodusznie gospodarz, powstając z za stołu i ukłonem głębokim nas witając. — To niby do mnie dopasował tę pieśń gospodin Panta, cha, cha, cha! Aleście zapomnieli, mili i drodzy goście, że to się jutro zaczyna tę pieśń śpiewać, jutro łazarzuje się po chrześcijańsku, a dziś jeszcze po cygańsku, cha, cha, cha, bo to cygański Łazarz dzisiaj... Bardzo prosimy, bardzo was modlimy, zasiądźcie, drogie sokoły!“

— „Wybacz nam, panie gospodarzu! Myśmy podróżni, nie dogonimy św. Łazarza, skoro będzie uciekał przed waszem winem, — odciął się Panta na uwagę Sema — więc śpieszno i nam...“

„I może tym, którzy tu jeszcze pierścionków nie zamienili“ — dokończyłem, zwracając się w stronę niewieścią.

— „*Nije tako, oszte stiga*“ — mówił Semo i sa-

---

<sup>1)</sup> Córki.

<sup>2)</sup> Czynimy.

dział nas kolejno za stołem, pijąc do każdego *sdrawicę* rakią, a obok, przy pomocy synów, stawiając pełne dzbany i czutury wina ze swadą człowieka, oplacającego się sowicie Turkom i przeto w zgodzie żyjącego z nimi, no i z całym otaczającym światem, zadowolonego, uśmiechniętego i szczęśliwego w dodatku na łonie rodziny. Postu należało przestrzegać ściśle i dopiero w Wielki czwartek wolno będzie jeść oliwę, kawior, wodne skójki (małże), ostrygi i ryby. Ale że Semo pozwolił już sobie na rakię i wino, więc też zjawily się na stole podplomyki z miodem, owoce i suszona na słońcu ryba. Semo do wina, Semowica zachęcała gości do jada, odbierając kiedy niekiedy potrawy z rąk obu córek i synowych, z których każda stała za plecyma jednego gościa i ze swojej strony usługiwała mu, nie pozwalając sobie odpocząć na chwilę. Tak nakazywał obyczaj domu i kraju.

Przy mnie stanęła ciemnowłosa z niezabudkowemi oczyma 16-letnia Bojana; przy Wor... — starsza jej 20-letnia siostra Witana, szatynka o płowych, mieniących się rozumnych oczach i twarzy, która, gdy ją uśmiech rozjaśniał, stawała się czarującą i ponętniejszą od pięknych lic Bojaninych. Po czole jej przebiegały chmurki, tak migotliwe i niedostrzegalne, że widzieć je mogli tylko świadomi ich przyczyny.

Witana od dawna życzliwem spoglądała okiem na Najdena, który jej się odplacał równą wza-

wzajemnością. Uczucia ich wzrastały z dniem każdym bez zdradzenia się wzajemnego, aż Najden pewnego dnia letniego, spotkawszy ją przy studni z dzbanem, poprosił o wodę, trzymając pęk kwiecica w ręce. Odmowa byłaby kosztem. Witana drżącymi rękoma podniosła mu dzban do ust i trzymała dopóty, aż on jej we włosy wplótł kwiaty, z których ona mu dała natomiast dwie gałązki. Były to ich zaręczyny. Uroczyście jednak nie posłał Najden swatów do rodziców Witany; pono tam były jakieś stare rachunki krwawe pomiędzy Semem a nieboszczykiem Bogdanem i powtarzała się historia Montecchich i Capuletich, a jak inni powiadają, był Semo uprzedzony wobec Najdena za jego dumę i wychodźstwo z kraju.

Dość, że ojciec Witany nie wiedział o stosunku między młodymi, matka zaś, domysłając się, patrzyła przez szpary. I tak biło tych serc dwoje dla siebie, pojąc się własnym dźwiękiem, aż je ludzie podsłuchali, a wtedy napiły się goryczą. Rozumna główka Witany okazała się za słabą na woń odurzającą kwiecica Najdenowego i dziewczyna zaczęła lubować się w kwiatach, skądkolwiek bądź pochodziły.

Dotychczas taniec i śpiewy w *choro* nie mogły się obyć bez Najdena i Witany. Razu pewnego Cyncar Żywko — ów niefortunny galopen Panty — depcąc ścieżki do ogrodu Witany, zaprosił ją w imieniu młodzieży strumnickiej do przewodzenia



w *choro*, w którym ofiary składać miano na rzecz ubogich. Dziewczyna, dumna z roli jej wyznaczonej, przyjęła zaprosiny i zajęła się zorganizowaniem chora, a Najdena wezwała do uczestniczenia w zabawie za późno, jakby po to, aby był tylko świadkiem holdów, jej składanych. Junak, bądź urażony tą lekkomyślnością, bądź obarczony ciężkimi kłopotami w domu i niedomaganiem matki, nie stawiał się na zabawę. Nazajutrz Witana, przechodząc obok jego chaty, nie obejrzała się nawet na wyjeżdżającego konno Najdena i udała, że go nie widzi. Odtąd rozpoczęły się dla obojga dni goryczy, utrapień i rozczarowań tęsknych, starannie z obu stron ukrywanych przed światem.

Spojrzałem teraz na nią w profilu. Pochylona nad Wor..., któremu z uśmiechem wdzięcznym podawała obrane przez nią jabłko, zdawała się swobodną i wolną od wszelkich trosk serca.

— „Junak Naczo dobry jeździec i dzielnie tropi a ściga zwierzynę“ — odezwałem się do niej, chcąc się wkupić w łaskę i zatrzeć może niemile dla niej wrażenie z powitalnej wzmianki o zaręczynach.

I opowiedziałem zajście dzienne z Cyncarem Żywkiem.

Gdy Semo chichotał i śmiał się do rozpuku, Witana przygryzła dolną wargę, poczem uśmiechnęła się z zadowoleniem, a nareszcie, przybierając wyraz twarzy obojętny, rzekła:

„O, tak, Najden dobrym jest junakiem, ale

nie wiem, jaką zwierzynę ściga najchętniej; to pewna, że gdy się zapaści za nią, to go samego trudno doścignąć“.

— „Jak każdego łowca namiętnego, choćby zwierzyna była wstrętną“.

„A była?“

— „Była“.

„Kto?“

— „Jużci Cyncar Żywko“.

„*W dobar czas, gospodine!* bo oto siostry jego wchodzą“ — odrzekła, chichocząc i uciekając z ogrodu na ganek.

Do ogrodu weszły dwie dziewczyny cygańskie, za nimi dwie małe dziewczynki, a z tyłu chyłkiem przemykał się przystrojony do niepoznania Żywko: w stroju napół europejskim z błyszczącymi albańskimi guzikami, upomadowany, z podkręconymi sztywnie wąsikami, które mu się ruszały jak wąsy owadu, i w okularach, kupionych w kramie strumnickim.

Cały 5-ty i 6-ty tydzień postu Wielkiego jest poświęcony czci Łazarza. W pierwszym z tych tygodni występuje on jako *siromach* (nędzarz) *Łazar*, czczony przez Cyganki, które chodzą po domach najpierw cygańskich, później chrześcijańskich i śpiewają czyli łazarzują (*łazarowat*) pieśni, odpowiednie dla dorosłej młodzieży płci obojej. Wielki zaś tydzień, poświęcony *blygarskiemu* czyli chrześcijańskiemu Łazarzowi, czczony bywa obchodem i pie-

śniami przez dzieci, młodzież i całą ludność chrześcijańską. Ponieważ był to ostatni już dzień Łazarza cygańskiego, śpieszno było przybyłym Cyganom uczcić czorbadżego Sema przed północą.

Starsza Lelia, wysmukła z rozpuszczonym war-koczem Cyganka, zapuściła płomienny wzrok w głąb ogrodu, a nie ujrawszy nigdzie Witany, zwróciła się do Bojany i z całym chórem swych towarzyszek zaśpiewała wysokim kontraltem pieśń, ułożoną dla młodszych, niezaręczonych dziewcząt:

Tuk sme czule, razbrale:  
Ima moma chubawa;  
Za szto cwietie ne sadi,  
Cwietie zielen kukuriak,  
Szto go w kitki ne wije,  
Szto gò momku nie dawa?  
Kolko szumki po gora-ta,  
Tolkoz zdrowje na taz kyszta!<sup>1)</sup>

Młodsze siostry Lelii pod dźwięk tamburynki zaczęły tańczyć dokoła stojących pod drzewem orzechowem mężczyzn i śpiewać chórem dla każdego pieśń odpowiednią. Każdy z nas wrzucał najmłodszemu dziewczęciu w chustkę monetę drobną, a Bojana przyniosła im w darze surowe jaja i ciasta,

---

<sup>1)</sup> Tuśmy słyszały, że jest dziewczyna śliczna; czemu kwiecia nie sieje, czemu, uwiwszy wieniec, nie daje go chłopcu? Ile liści w lesie, tyle zdrowia domowi temu.



odwiązawszy zaś od włosów mały cekin srebrny, uwiązała go u warkocza Lelii, która zabierała się do tańca solowego.

— „To rywalka Witany“ — szepnął mi stojący obok Wor... Zdaje się, że Witana obawiała się z jej strony jakiegokolwiek aluzji, któraby mogła zdradzić stosunek jej do Najdena; przeczuwała instynktem niewieściem zasadzkę i dlatego zapewne wybiegła tak niespodzianie z ogrodu, aby uchylić się od powin-szowań Cyganki; ale widząc, jak ta obeszła kolej mężczyzn i rozpoczęła taniec końcowy, zstąpiła z ganku na murawę i stanęła ostrożnie pod drzewem. Lelia tymczasem, zrzuciwszy z siebie wierzchnią, czarną tunikę, która krępowała jej swobodę ruchów, z odsłoniętym do pasa torsem i z obnażonemi poza kolana nogami, przewiązana u bioder żółtym szalem bagdadzkim, zataczała ruchem rytmicznym kręgi linii *S* dokoła drzewa naszego, to znów przeciwnie w kierunku *Witany*; przebiegając szybkim wirowym kłębem środkową część tej linii, tonącej w pomroku, zwalniała ruch dokoła oświetlonych części spiralnych, prostowała całą postać i przechodziła w wyteżony taniec wśród mieczów, pozwalając promykom płonących ogni dłużej igrać z płomienną barwą szalu biodrowego lub z połyskującemi śniademi płaszczyznami jędrnego ciała, na których wibrowały tętnice każdym atomem gorącej, niepowściągliwej natury południa. Bywały chwile, że tonąc z półcienia wzrokiem

w oślepiających ją zdala blaskach, zdawała się wzrokiem tym szukać rywalki, to znów cała niemi oświetlona, lubowała się własną ekstazą lub pozwalala podziwiać swe piękne, utoczone kształty.

W jednej z chwil takich, kiedy się znajdowała w biegu spiralu naszego, skinęła na siostry, a sama, cofnąwszy wstecz nogę lewą, ku prawej zaś niżwszy tors i przysiadłszy w ten sposób ku ziemi, odbiła się energicznym wysiłkiem od niej i nagłym, szalonym rzutem przenosząc się ponad środkiem owej linii *S*, przeskoczyła ku Witanie do ogniska przeciwległego, zamykając sobą drogę rywalce do ucieczki od strony ganku, gdy reszta Cyganek ściśniętem kołem zamknęła drogę z trzech innych stron.

Obie kobiety ocknęły się teraz wobec siebie, mierząc się wzajem wzrokiem i wpijając go w przeciwniczkę: Lelia z płonącemi oczyma, z przyspieszonym w piersi oddechem, a na pół rozchylonemi ustami; Witana blada, drżąca, z zaciśniętą wargą dolną, usiłując zapanować nad sobą.

Głuche dokoła milczenie przerwała cicha przygrywka tamburynów chóru, która dała czas Lelii do zapanowania nad głosem. Poczem z piersi jej spłynęła na Witanę pieśń, przeznaczona dla dziewcząt zaręczonych:

Tuk sme czule, razbrale:

Ima moma godena.

Szto ja majka ne ženi,  
Szto ja doma tia drži?  
Szto ja premjana ne szije,  
Szto sukmane ne krni,  
Szto keneta ne rebi? <sup>1)</sup>

Nazajutrz z pełnego widziadel i przykrej zmory  
snu twardego zbudziła nas cicha, półśpiwna koły-  
sanka w duecie. Odemknąłem ciężkie powieki. Przez  
pół rozwarte drzwi ukazały się dwie główki dziew-  
częce, młodszych siostrzyczek Witany, całe umajone  
ziółmi i kwieciem. Cofnęły się na mój widok,  
przymknęły drzwi, a po chwili z sieni rozległy się  
znów dźwięki piosenki:

Zaspało mi je dietence  
W pozłatena lulczica.  
Mama mu go budezse:  
„Stani mi, stani, dietence!  
„Da si vidisz Łazara  
„Kak chubawo łazarwa,  
„Szyti poli rezwiewa,  
„Žlti czechli potropwa!“

Gdy starsi wracali ze świątyni z poświęconemi  
wierzbanami, dzieciaki te, w powyższy sposób śpie-

---

<sup>1)</sup> Słyszałyśmy, że tu jest dziewczę zaręczone: czemu jej  
matka za mąż nie wydaje, czemu w domu zatrzymuje? Gdzie  
jej wyprawa, gdzie suknie, gdzie hafty?



wając, zachodziły po chatach z kobiałkami, w które im wrzucano jaja białe, chleb, zwany *kuklą*, i srebrną lub złotą monetę.

Gdyśmy wstawszy wyszli na ulicę i przechodzili obok domu czorbadżego Sema, jakaś znów inna grupa dziewczątek *łazarzowała* pod oknami:

Lalina mamó Łazare?

De ti je Lala?

Ale *Lali* już niebyło w domu i nawet nie nocowała w domu, lecz u ciotki, od której dowiedzieliśmy się, że o świcie z innymi dziewczętami dorosłymi udała się nad rzekę. Poszliśmy w ślad za niemi na miejsce wskazane. Cały brzeg wił się barwnymi strojami dziewcząt, które splotały wianki z wierzbiny. Każda dziewczyna śpiewała na cześć Łady po jednej pieśni w rodzaju tej:

Oj, Lado, Lado,

Momicze młado!

Oj, Nedo, Nedo,

Chubawo czedo!

Potem wszystkie razem puszczały wianki na wodę, uważając bacznie, kędy i jak popłyną, a z tego stawiając sobie horoskopy i wyciągając różne wróżby na przyszłość. Poza jedną z wierzb ujrzeliśmy stojącą Bojanę, której srebrny głos żałośnie wibrował w powietrzu:

Oj Lado, Lado, boginio,  
Za szto si tako czyniła?

Przy niej, pochylona nad samą wodą Witana, blada, zadumana, smętnym wzrokiem śledziła wianek, który puściła sama na wodę, i machinalnie powtarzała za siostrą wyrazy: *Szte dojde, ne dojde* (przyjdzie, nie przyjdzie?) Naraz nad głową jej rozległ się stentorowy głos brata Misza, który nadbiegł z domu zadyszany: „*Ajdmo*, Witano, żywo! ojciec kazał cię natychmiast sprowadzić do domu“.

. . . . .

W podróznym swoim raptularzu z tego czasu odnajduję następujące notatki:

Wielka środa, 19-go kwietnia:

„Zabity mudir turecki pod Strumnicą. Zdrajca Żywko rzuca podejrzenie na Najdena. Najden w apsie<sup>1)</sup>. — Dzieci idą spać wcześniej, aby podpatrzeć nazajutrz pierwsze jajko wielkanocne. — Kura nieśmiertelna“.

Wielki czwartek, 20-go kwietnia:

„Semowica barwi pierwsze jajko wielkanocne na kraszankę i gwoli zdrowia i pomyślności pociera niem siebie i dzieci. — Semo gdzieś wyjechał z Witaną. — Dzieci zmuszają koguty do milczenia, bo apostoł *Petar*, posłyszawszy pianie kura, zaparl

---

<sup>1)</sup> Więzienie.

się Chrystusa. — Wdowa Bogdanowa biada: Nie będzie Najden jadł *krawajów* i *bliznaków*<sup>1)</sup>.

Wielki piątek:

„Kwiaty niesione do świątyni. Najden znika z apsu“.

Wielkanoc: Pieśń Macedończyków na ulicach:

Ke da dojdət kleti Turci,  
Kleti Turci — Anadolci  
Tebie, stara, ke zagubat,  
Menie, mlado, ke poplenat.

Drugi dzień wielkanocny: „*Czestitwi Welikden, Semo zawiózł córkę do klasztoru*“.

26-go kwietnia: „Wyjazd Panty do Białogrodu, a nasz z Wor... w poszukiwaniach Najdena i Witany“.

---

<sup>1)</sup> Ciasta wielkanocne, pieczone w Wielki czwartek: *krawaj* — okrągły z dziureczką na środku; *bliznak* — z rożkami i kraszanką w środku — *jajczenik*.



## ZNAD NILU.

---

Nie napróżno Egipt muzułmański przeżył chwilę, w której władcy jego współzawodniczyli o pierwszeństwo chalifatu z władcami bagdadzkimi; nie napróżno do dziś dnia uważają siebie za stojących na straży obu świętych grodów Proroka; nie napróżno posyłają tam corocznie święty całun dla Kaaby wśród uroczystości, olśniewającej wiernych hadżych: mieli czas się przejąć ideą *kismetu* wschodniego.

Zaciężył on był dwukrotnie czarnymi chmurami na początku i u schyłku wieku XIX. zarówno nad kolebką obecnej dynastji chedywów, jak i ostatniego potomka, wyniesionego tak nagle przed 10 laty z murów „Teresianum“ wiedeńskiego na tron Faraonów.

Oba razy „miłosierny Allah“ czuwał nad zachowaniem tej kolebki i rozprószył zawieszony groźnie nad nią chmury: na początku wieku obda-

rzając Mehemeta-Alego geniuszem, a u schyłku — donośnym krzykiem dziecięcym Abbasa, który uratował tron dziadowi, ojcu i jemu samemu od zasadzki niechętnych, może skuteczniej, niż krzyk gęsi Kapitolu przed Gallami:

— „Kismet...“

Sportsmeni nasi przed paru dziesiątkami lat musieli się spotykać w stolicach europejskich, jeśli nie z osobą, to z razwiskiem Artura-beja. Mówię o sportsmenach pierwszego szeregu high-life'u, szukających nie pół, a pełnej krwi arabskiej. Artur-bej bowiem miał do czynienia w Europie tylko z monarchami, a w Arabii — z posiadaczami pierwszych pięciu rodzin rumaków farysowych, z których, gdy mu się udało przy pomocy szejchów i Abd-el-Kadera złożyć komplet kilku sztuk doborowych, uzupełniał je mniej czystej krwi okazami i zjawiał się w Europie w towarzystwie swych *saisów*, poprzedzany głośną reklamą prasy, jako *fournisseur de leurs majestés imperiales et royales*. W ciągu pierwszego tygodnia okazy cenniejsze szły do stajen cesarskich lub królewskich, w ciągu drugiego pośredniejsze — na dwory książąt, a dopiero po nich, gdy się ostał jaki egzemplarz wybrakowany, mógł powędrować do stajni bogatego szlachcica lub bankiera na wagę srebra, lub za sprawą szczególnej łaski Artura-beja, który rychło potem w trzecim tygodniu zniknął za słupami Herkulesowymi, aby po roku lub latach paru zjawić się

znów jak meteor i znów zniknąć, obciążony zło-  
tem worki, a nowymi orderami swe piersi.

W przerwach między jedną a drugą wizytą  
Artur-bej — jeśli tylko nie przebywał z Beduinami  
na pustyni — siedział w Kairze i piastował urząd  
wielkiego koniuszego na dworze chedywa.

Tam też go poznałem na lat parę przed osta-  
tnią wojną wschodnią dzięki zmartwieniu wuja  
mego, o które go jeden z koniarzy przyprawił, po-  
trafiwszy go przekonać, że w całej jego stadninie  
szulajkowieckiej niema ani jednego arabczyka. Wuj  
tedy, przybywszy w towarzystwie mojem umyśl-  
nie do Kairu, dopóty nie spoczął po trudach po-  
droży, aż się dopytał o Artura-beja i poznał się  
z nim osobiście.

Pamiętam uszczęśliwienie jego, gdy pewnego  
wieczoru, zamówiwszy w hotelu ucztę sutą z toka-  
jem, przyprowadził z sobą suchego 60-letniego si-  
wego już mężczyznę o wzroku stalowym, pomiętej  
skórce na twarzy, a świeżutkiej butonierce legii  
honorowej, w mundurze pułkownika wojsk egip-  
skich.

„Więc pan pułkownik dobrodziej nie pozba-  
wia nas zupełnie nadziei oglądania go w roku  
przyszłym w kraju, przy sposobności odwiedzin ro-  
dziny swojej na Podolu?“ — ciągnął wuj dalej  
rozmowę, rozpoczętą gdzieś na ulicach Kairu lub  
w domu Artura-beja.

— „O, zapewne, kochanie, jeśli jego Wysokość



zgodzi się na dłuższy urlop, rząd zaś austriacki przepuści mnie przez swoje terytoryum — odrzekł pułkownik z uśmiechem figlarnym człowieka, nie wierzącego w skrupuły, które sam wypowiada.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Artur-bej w 1848. r. walczył wprawdzie przeciw Austryakom w Wenecyi, ale jakże to dawno już było! Od tej pory miał czas do wyćwiczenia w sztuce jeździeckiej księżniczek i dam pałacowych na dworze greckim, potem do przewodzenia baterji artyleryji konnej w Trypolisie i Tunisie, nareszcie do wejścia w spółkę z Abd-el-Kadrem dla zaopatrywania monarchów w konie arabskie, i na tem ostatniem stanowisku potrafił już być zdobyć wstążeczkę czarnożółtą w Wiedniu, która przysłała grzeszki w wystąpieniu przeciw zastępom zbrojnym Jego Cesarskiej Królewsko-Apostolskiej Mości.

„A wtenczas może pan pułkownik dobrodziej będzie łaskaw i nasze progi ubożuchne zaszczyścić obecnością swoją i przekonać się osobiście o czystości lub nieczystości krwi moich arabszyków?“

— „Widzisz, kochanie, to i bez tak dalekiej podróży można powiedzieć coś o tej krwi podług tego, co mi opowiadacie o temperamencie, budowie i metrykach waszych koni“.

„Czyż istotnie tak trudno przyjść do posiadania krwi czystej?“

— „Bardzo trudno, kochanie. Wspomniałem to

już wam dwukrotnie. Krótko mówiąc: Arab za żadne skarby świata nie sprzeda klaczy, a to tem bardziej, że klacz taka jest nieraz własnością kilku rodzin. Ale i z ogierami sprawa niełatwa, zwłaszcza z takimi, które mają przed sobą metrykę w kilkunastu generacjach przodków. Zwykle potrzeba pozyskać i okupić życzliwość szejcha tego pokolenia, w którym się znalazło odpowiedniego dla siebie konia. Szech rozkazuje właścicielowi sprzedać go. Rozpoczyna się targ: Na jedną szalę wagi stawia się konia, a na drugą sypie się w połowie złoto i srebro. Gdy się szale zaczęły wahać, ujmuje się lub dodaje kruszec. Owóż dogodne warunki targu dla tej lub owej strony są zależne od tego, czy ma się ujmować i dodawać złoto czy srebro“.

„Już jabym za swego kasztanka nie pożałował dosypywania złota“.

— „Owóż i z tego widzę, że wasze gniazdo nie z Arabii“.

„Co?“

Na twarzy wuja zarysował się wielki znak pytania.

— „Bo czystej krwi arabskiej nie znajdziecie inaczej — tylko pod siercią białą lub gniadą“.

I dla dodania większej wagi słowom swoim zaprosił nas nazajutrz Artur-bej do obejrzenia stajen chedywa i jego wuja — księcia Halima...

Pokazując w stajni wicekróla cały szereg gniadych lub złotawych koni, zatrzymał się nareszcie pan koniuszy przed ostatnimi dwiema kłatkami

i, stąd kazawszy wyprowadzić masztalerzom dwa roślejsze od innych ogiery białe, jak mleko, rzekł, ukazując je:

— „*To bachszysz* księcia Halima, przysłany jego Wysokości na przeprosiny“.

Jego Wysokość chedyw Ismael basza, jeszcze za życia stryja Saida szeregiem poruczonych sobie misji dyplomatycznych i stłumieniem powstania w Sudanie zyskawszy dość rozgłosną popularność, wzmógł ją własnymi rządami, które oparł na reformach liberalnych w duchu europejskim. Za popularnością szła sława i siła. Ismael po skończeniu budowy kanału Sueskiego, przy otwarciu jego rozwinął tyle wspaniałości i blasku w przyjęciu monarchów i książąt europejskich, występując sam jakby monarcha samodzielny, że obudził niechęć sultana i Wysokiej Porty w Stambule, przyzwyczajonych do spoglądania z góry na swego walego, na swego gubernatora, zawisłego od ich firmanu i inwestytury.

Stryj, książę Halim, któremu markotno było widzieć władcę tak pięknego kraju nie swoją osobę, ale siostrzeńca, skorzystał z tej sposobności, aby przeciw niemu rozżarzać coraz bardziej ową niechęć w Stambule i torować dla siebie samego drogę do władzy. Łacniej mu o tyle szło u Wysokiej Porty, iż, będąc jednym z najpotężniejszych krezusów Wschodu, nie żałował złota do zasypywania



niem tej drogi. Jakoż po niechęci zaczęło się budzić u Złotego Rogu podejrzenie Ismaela o zamiar zupełnego wyzwolenia się z hołdownictwa i chęć oderwania się od Turcyi. Wojnę, wypowiedzianą w Abisynii, choć zakończoną niepomyślnie dla oręża egipskiego, uważano jako pretekst do powiększenia sił zbrojnych nad Nilem — lądowych i morskich. A choć nad Bosforem pamięć się rychło wyczerpuje, przypomniano sobie wszakże, przy pomocy oddanych Halimowi agentów, podobny precedens z przed 40 lat z dziadem Ismaela — Mehemetem-Alim. Więc też Porta w największym popłochu, uzyskawszy poparcie mocarstw europejskich, zażądała od chedywa wydania floty i zrzeczenia się wielu prerogatyw dotychczasowej władzy hołdownika. Chedyw uderzył w pokorę i prośbę złotą. Dopóki żył wielki wezyr Ali-basza, osobisty nieprzyjaciel chedywa, sprawa była trudną. Lecz po śmierci jego, gdy Ismael pojechał sam z czolobitnością do Stambułu, obładowany cennymi podarkami, gdy po kilkugodzinnem wyczekiwaniu w przedpokoju Abd-ul-Azysa, uzyskał wreszcie posłuchanie, powrócił w 1873. roku do Kairu z firmanem, który potwierdzał nie tylko dotychczasowe jego przywileje i stanowisko osobiste jako *chedywa*, zamiast *walego* <sup>1)</sup>, ale nadto zapewnione raz na zawsze następstwo tronu każdo-

---

<sup>1)</sup> Wyraz *chédîw* w języku Persów oznacza władcę, *wali* = gubernator.

razowemu pierworodnemu synowi chedywa, zamiast, jak było dotychczas podług prawa tureckiego, najstarszemu w rodzie, czy nim był brat, wuj lub siostrzeniec, oraz obowiązek dostarczania kontyngensu na wojnę i płacenia haraczu rocznego w sumie 500.000 lir. tur., czyli około 10,000.000 franków, w dowód tego holdownictwa. — Oczywiście, że jednorazowy haracz, złożony ręką ciepłą różnym dostojnikom Złotego Rogu, musiał uczynić znacznie więcej, wskutek czego chedyw ujrzał się ogołoconym z finansów, a następnie był zmuszony odstąpić rządowi angielskiemu 177.000 sztuk akcji kanału Sueskiego, umożliwiając odtąd wpływ poważny Anglii na sprawy Egiptu. Ale uregulował raz na zawsze prawa dynastji swojej i pozbył się — jak mu się zdawało — zmory duszącej w postaci księcia Halima.

Rozpoczął się cały szereg uroczystości z gratulacyami wysłanników mocarstw europejskich i świetnych uczt zarówno dla ludu, jak pałacowych. Na jednej z nich zjawił się książę Halim w otoczeniu swego dworu i w całym blasku swojej świetności, składając czolobitność chedywowi i uznając publicznie władzę jego jako panującego.

Nazajutrz posłał jemu i synowi jego, Tewfikowi, jako następcy tronu, po parze rumaków arabskich z rzędami na nich z klejnotów, których wartość szacowano przy każdym koniu na 500.000 franków.

Książę Tewfik był już żonaty z księżniczką Eminechą, córką zmarłego El-Hamiego baszy i miał z niej właśnie syna Abbasa, który przed 12 laty wstąpił na tron ojcowski.

— „Jeśli kochani panowie chcecie widzieć małe książątko i kogoś starszego, to proszę być za godzinę przed pałacem wicekróla“ — rzekł do nas Artur-bej po oględzinach stajni, żegnając się z nami.

Przybyliśmy na miejsce wskazane w chwili, kiedy piastunka w otoczeniu kilku osób dworskich wychodziła z głębi haremu na pierwsze podwórze wewnętrzne, niosąc małego Abbasa na rękę. W orszaku osób dworskich znajdowała się żona Artura-beja, Niemka rodem, i jej córka przybrana, panna Liza. Jednocześnie dano znać o zbliżaniu się orszaku księcia Halima, przy którego boku zjawił się i Artur-bej. Za księciem przyprowadzono ślicznego osiołka białego, bagdadzkiego, okrytego czaprakiem purpurowym, którego szlak dokoła tworzyły drobne szmaragdy, obramowane szychem złotym. Był to dar ks. Halima dla Abbasa, który spostrzegłszy osiołka, wyciągnął ku niemu rączęta, wrywając się z objęć piastunki.

— „*Ja lelli! ja lelli!*“<sup>1)</sup> — zawołał z uśmiechem książę Halim — jemu zawczasu podobają się osły“.

---

<sup>1)</sup> „O, moja radości! o, moja pociecho!“



I kazał go posadzić na owym purpurowym czapraku.

Gdy spełniono rozkaz, podbiegła panna Liza i, kiedy służba z jednej, ona z drugiej strony podtrzymywała małe bobo, ono, spostrzegłszy jej miłutką, snadź mu już nie obcą twarzą, objęło ją rączkami.

— „On, zaiste, już znajduje upodobanie w kobietach!“ — odezwał się książę po turecku do Artura-beja, a zwracając się znów po arabsku do małego Abbasa, zapytał go:

— *Agibak et bint di?*<sup>1)</sup> No, powiedz: *Anna hebbak!*<sup>2)</sup>

Abbas, radośnie wykrzykując, zaczął bełkotać coś podobnego do brzmień obu ostatnich wyrazów.

— „*Wallahi!* — zawołał książę — *ebbedenn ma-fi-sz seihi fil dunnje!*“<sup>3)</sup> — i jał powtarzać raz po raz: *Hemir we neswân*“<sup>4)</sup>.

„Istotnie“ — odezwała się nieśmiało panna Liza — to dziwne dziecko, nigdy nie krzyczy“.

— „Czy to twoja córka, Arturze-beju?“ — zapytał książę, obejmując wdzięcznem spojrzeniem blondynkę.

Gdy pułkownik uczynił *tejminè*, przykładając rękę prawą do czoła, ust i serca, ze słowy: „*Nàm*

1) Podoba ci się dziewczę!

2) Kocham ciebie.

3) Na Boga! niema takiego drugiego na świecie.

4) Osty i kobiety.

ja *sidi*"<sup>1)</sup>, książę, odpinając od żupana spinkę brylantową i wręczając ją pannie Lizie, rzekł:

— „*Hallik balak!*"<sup>2)</sup>

I pożegnawszy rychło Abbasa, tudzież całe otoczenie, pośpieszył do pałacu swego, skąd tegoż dnia jeszcze zamierzał urządzić wycieczkę ku piramidom. Tam miał się zjechać z chedywem, którego zaprosił na biesiadę dla omówienia warunków zasiłku pieniężnego, którego mu chciał udzielić z własnej szkatuły dla zamierzonej nowej wyprawy do Abisynii. Były to snąc tylko układy przedwstępne, a ostateczne zatwierdzenie sprawy miało nastąpić za dni dziesięć na wielkiej uczcie, którą przygotowywał książę na cześć chedywa w swoim pałacu.

Artur-bej tymczasem podążył do księcia Tewfika, następcy tronu, aby z nim omówić szczegóły podróży do pustyni *Tih* czyli Obląkania, znajdującej się między widłami obu odnóg morza Czerwonego, a stamtąd w razie potrzeby aż do Gazy albo nawet Jaffy. Szło o to, aby się spotkać z Abd-el-Kaderem, o którym się dowiedziano, że z głębi pustyni arabskiej podąży do jednego z dwu ostatnich punktów, aby stamtąd odpowiednio do porady lekarskiej powrócić do Algieru. Pierwszą myśl tej podróży miał podobno podać Artur-bej, oświad-

---

<sup>1)</sup> Tak, mój władco.

<sup>2)</sup> Zachowaj to na pamiątkę!

czywszy, że wielki szejch prowadzi z sobą kilka koni arabskich, które ma wysłać królowi włoskiemu.

Księżciu Tewfikowi bardzo się uśmiechała przy tej sposobności myśl poznania Beduinów i może spotkania się gdzie z chowem koni arabskich w pustyni.

Chedyw z początku niebardzo chętnie przystawał na taką podróż, a zwłaszcza wobec zbliżającej się uroczystości ostatecznego pojednania w pałacu Halima. Ale ten ostatni, ubolewając nad takim zbiegiem okoliczności, wyrażał nadzieję możliwego na tę uroczystość powrotu Tewfika; a zresztą — dodawał — gdyby nawet przed czasem nie powrócił, to on, Halim, acz z przykrością, odstępuje pierwszeństwa Abd-el-Kaderowi i uważa, iż nie bez korzyści dla przyszłych rządów Tewfika może być zjednanie życzliwości i błogosławieństwa tak popularnego na Wschodzie i tak świątobliwego wielkiego marabuta.

Wzgląd ten rozstrzygnął decyzję wicekróla, nie bez tego również, aby go nie lechtała tajemnie chęć przedłużenia drogi podróży synowskiej — bo daj aż ku Jerozolimie i zwiedzenia zwycięskich etapów syryjskich dziada i pradziada...

...Pod takimi auspicjami jęto przyspieszać przygotowania do podróży. A ponieważ wuj mój, nurtowany żądzą nabycia arabczyków w pustyni i widząc tak dobrą ku temu sposobność, zapragnął przyłączyć się do karawany książęcej, przeto i my —



po zaprezentowaniu nas księciu Tewfikowi przez Artura-beja — poczęliśmy się ze swej strony gotować do drogi.

Nazajutrz wyjechaliśmy wszyscy do Suezu, skąd po półdniowym oczekiwaniu mieliśmy wyruszyć na południowy wschód przez pustynię *Obląkania*, gdy nadbiegli wysłańcy Abd-el-Kadera z wieścią, że marabut podąża przez pustynię syryjską ku Gazie. Nawróciliśmy tedy na północny wschód i, przeszedłszy pasmo gór przed nocą od miejsca, gdzie się zbiega szlak *hadźych*<sup>1)</sup> mekkańskich z drogą od morza Śródziemnego, puściliśmy się dalej w pustynię.

Karawanę naszą otwierał jej przewodnik — stary z siwą brodą Arab, który wyglądał na swoim wielbłądzie jak patriarcha Starego Zakonu. Dalej postępował książę z kilku osobami orszaku i adiutantami swoimi konno, mając w odwodzie 6 sztuk wielbłądów dla przesiadania się na nie w razie znużenia ludzi lub koni. Dwór książęcy, którego kierownictwo objął Artur-bej, mieścił się na 20 wielbłądach, który oprócz ludzi, dźwigał zapasy żywności i wody, tudzież namioty; nadto jeden wielbłąd objuczony był darami dla Abd-el-Kadera, a drugi gołębnikiem z kilkunastu gołębiami pocztowymi, z których po jednym codziennie w ciągu podróży miano wypuszczać do Kairu, do dworu chedywo-

---

<sup>1)</sup> Pielgrzymów.

wego, z listami od karawany książęcej. Zamykał pochód szwadron jazdy egipskiej.

Myśmy z wujem mieli do naszego rozporządzenia cztery wielbłądy, z których dwa były objuczone zapasami i namiotem. Na jednym z nich jechał Kopt, najęty do usługi, a na drugim zwierzchnik *saisów* <sup>1)</sup> Artur-bejowych, stary mameluk Daher, dodany nam przez pułkownika do straży, informacyi i lżejszych posług w ciągu podróży. Chętnie się nazywał *mamelukiem*, mimo że się urodził w chwili ich zniesienia przez Mehmeta - Alego w 1811. r., ale, zda się, był synem jednego z nich, chociaż w sobie nie żywił żadnej urazy dla pamięci tego pogromcy przodków jego; przeciwnie, biorąc udział w wyprawie sryjskiej Ibrahima baszy, odzywał się tak o bohaterstwie tego ostatniego, jak o samym Mehemeście Alim z najwyższem uwielbieniem i czcią bałwochwalczą. Kiedy wspominał imię którego z nich, zawsze dodawał zaraz, podnosząc oczy płowe w niebo:

„*Ne wwer-el-lahu merkedehu!*“ albo: „*Tabal-lahu serahu!* Niech Bóg uświęci mogiłę jego!“

A mówił o nich często i wiele, tak na popasach i noclegach, jak w ciągu samej podróży. A że w opowieściach jego krom pietyzmu dla ojca i dziada chedywowego wiele było epizodów ciekawych i nieznanych dotąd, słuchaliśmy go z zajęciem i uwagą.

---

<sup>1)</sup> Koniuchów.

W tym celu bardzo często opuszczaliśmy karawanę księcia, wysforowawszy się naprzód o pół godziny drogi, tak wszakże, aby nie zabłąkać się w pustyni i nie tracić z oka karawany, a być na jakiś czas z dala od jej gwaru.

Nam zrozumiałym był pietyzm dla tych dwu założycieli nowoczesnego państwa egipskiego. Gdy się pomyśli, że taki obcy dla Egiptu człowiek, Macedończyk czy Rumeljota, do 30-go roku życia nieznanym nikomu, już w pięć lat po przybyciu w ostatnim roku zeszłego wieku do Egiptu razem z wojskiem tureckim (wysłanem przeciw inwazji francuskiej) w charakterze oficera podrzędnego zostaje jenerałnym gubernatorem Egiptu, a w trzydzieści lat zagraża potędze samego sultana przez zwycięskie zastępy swoje prawie pod samymi murami Sztambułu — to doprawdy podziwu odmówić niepodobna geniuszowi jego zarówno militarnemu, jak politycznemu.

Przestwór czasu 30 lat wypełnia szeregiem czynów zdumiewających. Budową dróg i mostów, wielką regulacją Nilu, zapewnieniem bezpieczeństwa publicznego, organizacją podatków i całego systemu administracji — stwarza siłę i bogactwo w kraju, dotychczas zaniedbanym i opuszczonym, którego terytorjum zwiększa podbiciem Nubii, Sennaaru, Dongoli i Kordofanu. Pogromem Wahabitów i przywróceniem pielgrzymek do Mekki i Medyny zdobywa sławę opiekuna muzułmanizmu.



Wezwany na pomoc Turcyi do stłumienia powstania greckiego, jako nagrodę od Porty każe dać wódzowi swemu Ibrahimowi wyspę Kandyę w administracyę. Poróżniony z Portą, wypowiada jej wojnę. Wódz Ibrahim, przybrany syn Mehemeta (tak samo, jak on — nieznany Macedończyk z Kawali), zdobywa całą Syryę, posuwa się przez Małą Azyę do Stambułu, a zniszczywszy flotę sultańską pod Ikonium, zmusza Portę do pokoju, zapewniając Mehemetowi wielkorządztwo Syryi, a sobie gubernatorstwo Cylicyi. Podżegana przez Turków Syrya niepokoi się, wywołując interwencyę Porty, z którą wybucha wojna ponowna. Zabrawszy flotę Turkom i zadawszy im straszną porażkę pod Nisybem (1839. r.), Mehmet Ali żąda teraz władztwa dziedzicznego nad Egiptem z zawisłością od niego Syryi, Adany i Krety. Następuje interwencya sprzymierzonych mocarstw europejskich (z wyjątkiem Francyi) w celu ratowania Turcyi. Mehemet Ali ocknął się w położeniu, które groziło zniszczeniem 30-letnich jego usiłowań i prac. Lecz zręcznie i szybko zawartą oddzielną ugodą ze stojącym pod Aleksandryą komodorem Napierem ratuje się w ten sposób, że opuszcza Syryę i zwraca flotę Turcyi, a sam otrzymuje natomiast na mocy hatt-i-szeryfu sultańskiego dziedziczno-wasalny rząd nad Egiptem i Nubią, a następnie prawo przelania tego dziedzictwa na Ibrahima, w końcu zaś — na własnego wnuka — Abbasa, po którego śmierci przeszedł

rząd do rąk czwartego syna Mehemetowego — Saida, aby później znaleźć się w ręku syna Ibrahimowego — Ismaela i tegoż potomków.

\* \* \*

Pewnego dnia słuchając opowiadań Dahera z drugiej wyprawy syryjskiej Mehemeta-Alego, gdyśmy się zbyt oddalili od karawany książęcej, spostrzegliśmy z poza pagórków piasku, nawianego chamsunem, coś poruszającego się i migocącego w ciemnej barwie. Dziwnem nam się to wydało ze względu na okropną nagość pustyni, na której w promieniu kilkunastu lub kilkudziesięciu mil dookoła oko ludzkie nie mogło spotkać żadnych śladów życia, — bezbrzeżny tylko przestwór piasku z błękitnem sklepieniem nieba u góry i palącymi promieniami słońca, którego refleks od białych ławic piaskowych wżerał się w ciało i palił żelazem rozognionem. Tu i ówdzie były jeno widocznymi ślady pochodu, ale ślady śmierci, w bielejących kościotrupach ludzkich i zwierzęcych, a tak wysuszonych wiatrem i spalonych słońcem, że cały szkielet wielbłąda było można podnieść jedną ręką.

Zajęty słuchaniem ciekawego epizodu z pobytu wojsk Ibrahima w Jerozolimie podczas grasującego tam powietrza morowego i nie chcąc przerywać ciągu opowieści Dahera, zakomunikowałem mu spo-

strzeżenie swoje o owym ruchu w ławicach piaszczystych w kilka czy kilkanaście minut później.

Daher przyłożył rękę do czoła dla zasłonięcia oczu od słońca i, powiódłszy bacznym wzrokiem po całej linii zasp piaszczystych, zawołał:

„*Ja rabb, Wallahi!*<sup>1)</sup> To Beduini“!

I radził nawrócić do karawany.

Jakoż zwykła to taktyka w pustyni tych koczowników-rabusiów. Ukrywszy się z końmi w tych zaspach piaszczystych, które sztucznie powiększają dla snadniejszego ukrycia się i zasłony, śledzą stamtąd przeciągającą karawanę, a spostrzegłszy ją, dają znać pobliskiemu koczowisku swemu w pustyni lub oazie o sile i kierunku pochodu karawany.

Nawróciliśmy tedy do orszaku księcia i jechaliśmy przyspieszonym truchtem na jego spotkanie. Zaledwo wszakże przebyliśmy parę kilometrów drogi wstecznej i dojrzeliliśmy zdala ciemną linię karawany, z poza owych zasp wyskoczyło kilkunastu jeźdźców zakapturzonych, w długie rusznice i lance uzbrojonych, i pędząc jak wichry z dwu stron, począli nas oskrzydlać i zamykać drogę odwrotu.

Widząc niebezpieczeństwo tak bliskie, dałem w powietrze dwa strzały ze sztućca, w nadziei, że karawana księżęca, posłyszawszy je, pośpieszy nam z odsieczą.

---

<sup>1)</sup> O władco, na Boga!



„*Hallikak fi matrachtak!*“<sup>1)</sup> — krzyknął groźnie szef Beduinów, przyskakując ku nam.

— „*Ente bedauer min?*“<sup>2)</sup> — zapytał go Daher drżącymi usty.

„*Abd-el-Mellek! Oskut u ma-ka-lem-sz walla kilme!*“<sup>3)</sup>.

A zwracając się do nas i zniżając głos, pozdrowił:

„*Salam alekum!*“

— „*Alekum es-salame!*“<sup>4)</sup>

„Czyście opłacili prawo przejścia przez pustynię?“

— „Tak“.

„Komu? Kiedy?“

— „Panu Bogu w dzisiejszych modłach porannych, a więc przed ośmiu godzinami“ — odrzekłem na rozkaz wuja, spozierając na zegarek jego.

„A co kosztuje twój zegarek?“

— „Zapytaj go, co kosztuje koń jego?“ — odezwał się wuj, patrząc wzrokiem zapału na harującego pod szejchem gniadosza.

W tej chwili rozległa się salwa ognia plutonowego od strony karawany naszej, a wzbijające się tumany kurzu zwiastowały szybkie jej nadciąganie z odsieczą.

---

1) Zatrzymajcie się w miejscu!

2) Kogo szukasz?

3) Sługo królewski! Milcz, ani słowa!

4) Pokój wam! — Niech z wami będzie pokój!

Beduini, nie strwożeni tem wcale, wzięwszy nas trzech w środek pomiędzy siebie, zwrócili się frontem do nieprzyjaciela.

— „*Hottu bālek!*“<sup>1)</sup> — rozległ się donośny głos szejcha, który, zawieszając biało-zieloną płachtę welnianą na swojej włóczni, komenderował dalej:

— *Dżeminak!*... *Szemaalak!*<sup>2)</sup>.

I oddział Beduinów rozbił się na dwa skrzydła, jakby do oflankowania szwadronu egipskiego, albo utworzenia szpaleru na przyjęcie księcia.

Oficer, komenderujący szwadronem, ujrawszy białą chorągiew pokoju i zieloną Proroka, nie wiedział, co począć ze swym oddziałem, któremu już miał wydać rozkaz ataku; więc zbliżając się w galopie ku szejchowi z wyciągniętą szablą w rękę, zapytał:

„*Kamm ente eis?*“ Czego żądasz?“

— „*Sellim li ala habeibi!*“ Pozdrów moją radość!“ — odparł z poważnym uśmiechem szejch.

Gdy podczas rozmowy, zawiązanej z tego powodu, nadjechał książę, szejch wystąpił z długą kwiecistą przemową, w której wyrażał szczęście Beduinów z możności powitania w jego osobie potomka władcy tak bohaterskiego swymi czynami rycerskimi w Nubii i Turcyi, a tak pobożnego, że nie wzdragał się łożyć ofiary krwi swojej dla obrony

---

<sup>1)</sup> Baczność!

<sup>2)</sup> Na prawo, na lewo! (Rozstąp się).

świata muzułmańskiego przed „obrzydliwymi“ sekcjarzami Wahaba i przywrócić napowrót dla wiernych drogi pielgrzymki pobożnej do Mekki i Medyny.

Księżę ani na chwilę nie podał w wątpliwość szczerości powitania szejchowego, lub chęci kapitulowania Beduinów przed silnym oddziałem wojska egipskiego; lecz odplacając pięknem za nadobne i dziękując za powitanie, począł słać cnoty Beduinów, których jako rycerzy nie można posądzać o rabunek lub haraczowanie pielgrzymów, udających się do świętych grodów Proroka, lecz przeciwnie, trzeba uważać jako stojących na straży tych dróg — i słuszna, aby ich wynagradzano za te trudy.

A stwierdzając słowa czynem, wręczył szejchowi rulon złota, obdarzył go amunicją i prezentami z kilku sztuk materii europejskich, a każąc rozwinąć obóz, wezwał Beduinów do uczty podróżnej..

— „*Ja, Abd-Allah!* O, sługo boski! Tyś jest wielkim i wspaniałomyślnym władcą, jak wielki Mehemet Ali i dziad twój Ibrahim. *Robbine ikün maak!* Oby Wszechmocny był wiecznie z tobą!“ — żegnał księcia Tewfika szejch, zapewniając go o życzliwości i uległości wszystkich Beduinów, a życząc mu dalszej szczęśliwej podróży.

.....  
— „Effendi, strzeż tego konia lepiej, niż oka własnego w głowie, bo oko cię czasem zdradzi,



a koń - przyjaciel — *Inszallah* <sup>1)</sup> — nigdy. Jest on — jak widzisz — trochę dychawiczny, no i ma nogę lewą zwichniętą, bo inaczej zapłaciłbyś za niego nie dwie, lecz dwadzieścia dwie kabzy złota. Ale nie smuć się, *effendi*! Możesz się dochować z niego potomstwa, które ci przypomni takiego rumaka, jak Abu-el-marszowy“.

Tak mówił do wuja mego stary *dalil*, przewodnik karawany, gdyśmy w cieniu palm oazy Anwadzkiej rozsiedli się dla ochłody i odpoczynku. Koń był nie szejchowy, bo go nie chciano sprzedać, ale również piękny i okazały, maści złotawej, a był dotąd własnością Beduinów, którzy napadli nas pod zaspami syryjskimi. Zapłacił wuj za niego tysiąc dukatów i w dodatku zegarek swój złoty.

„O jakim to rumaku Abu-el-Marsza mówisz, *dalilu*?“ — zagadnąłem po chwili starego, traktując go tytoniem sultańskim do fajki.

— „*Ja, hawadže, ja ebni* <sup>2)</sup>, twoje myśli snadź zabłądziły daleko od naszej pustyni, że nie chcesz ich cząstki rozsnuć nad pamięcią o szlachetnym rumaku! Więc ci chyba przypomnę tylko, o czym — jak mi mówiono — Frenkowie pisać już musieli. Przypomnijże więc sobie, *ja habbibi* <sup>3)</sup>, jako Abu-el-

---

1) Tak Bóg chce! Miejmy nadzieję!

2) Europejski panie, mój synu.

3) Mój przyjacielu.

Marsz, podobny nieco do szejcha z plemienia z pod zasp piaszczystych, należał do tego pokolenia Beduinów, na których — gdy wszczęli spór z karawaną, idącą z Damaszku, uderzyli niespodzianie spahisowie Akry, wysłani przez gubernatora na spotkanie karawany. Przypomnij więc sobie, jako jednych Beduinów pozabijali, drugich pobrali do niewoli zdrowych lub rannych a skrępowanych powrozami! W liczbie tych ostatnich był i...

„Abu-el-Marsz?”

— „A tak, a widzisz, *ja habbibi*. Więc zapewne pomnisz, jako tego walecznego Araba raniono w rękę, a mimoto uwiązali Turcy do wielbłąda i prowadzili obok jego własnego konia, na którego utratę ze smutkiem musiał spoglądać. Snadź takie samo serce miał i ten przyjaciel jego szlachetny. Bo wszak musisz pamiętać, *ja ebni*, jako w nocy przed dniem, w którym miano wejść do Akry, rozłożono się obozem w górach Szafadzkich, a ranny Arab, mając nogi związane powrozami i leżąc przy namiocie tureckim, westchnął od bólu jątrzącej się rany i posłyszał jako odzew — rzenie konia własnego. Koń był spętany między innymi końmi dokoła namiotów. Poznał go oczywiście po tym tyle razy słyszany głosie, a nie mogąc oprzeć się chęci pożegnania go i przemówienia do niego po raz ostatni, zdobył się na wysiłek niezwykle i mimo bólu rany, opierając się na rękach i kolanach, zaczął się powoli do wiernego przyjaciela

swego. — Tu przyłożywszy głowę do nóg jego, przemówił:

„*Ja habbibi! Ja maszum!* O, mój druhu, nieszczęśliwy, co ty teraz poczniesz między Osmanliami? Zaprowadzą cię do baszy i tam razem z innymi końmi uwiążą pod ciemnem i ponurem sklepieniem chanu. Nie doznasz pieśzcot niewiast i dzieci, nie będą ci one nosiły w dłoniach ani prosa, ani owsa, ani mleka wielbłądziego; nie będziesz się unosił po pustyni wolny jak wiatr *Barr-Masru*<sup>1)</sup>, nie będziesz prul piersią własną wód Jordanu, które odświeżały sierć twoją, białą jak piana twoja. Więc jeżeli ja nie mogę być wolnym, to ty wracaj do swobody! Wracaj do znanego ci namiotu, biegnij, chyżo, powiedz żonie mojej, że Abu-el-Marsz już nie wróci; wsuń głowę pod zaslonę namiotu i poliz ręce drobnych sierót moich!

Tak pożegnawszy go, przegryzł zębami pęta z sierci koziej na nogach jego. — Rumak był wolny. — Ale wierne i rozumne stworzenie, widząc u nóg swoich skrępowanego i czolgającego się pana, pojęło to, czegoby mu żadna mowa wysłowieć nie zdołała: pochylił głowę, obwąchał swego pana, schwycił go zębami za pas, który miał Arab dokoła biodr i puścił się, jak wiatr chyży, w pustynię ku namiotom pokolenia. Tu przybywszy, złożył pana swego na piasku przed żoną i dziećmi,

---

<sup>1)</sup> Egiptu.



a sam padł nieżywy z wysiłku i znużenia... Całe pokolenie oplakiwało go. Pozostało po nim łoszę...

\* \* \*

Dalsze opowiadanie Araba przerwał alarm na całej oazie i przybycie licznego oddziału jeźdźców zbrojnych z kilku wyższymi oficerami na czele. To wicekról wysłał w pogoń za nami nowy szwadron kawaleryi i przez pierwszego adjutanta swego wysłał księcia Tewfika do natychmiastowego powrotu. Jednocześnie szambelan chedywowy w imieniu monarchy zażądał od Artura-beja szpady tegoż.

Nie wiedzieliśmy, co to wszystko miało znaczyć, a pierwszy adjutant naglił tymczasem do wyjazdu. Znużeni, niespokojni pod wpływem najrozmaitszych domysłów, zwinęliśmy rychło obóz i natychmiast puścili się w drogę powrotną. — Pędziliśmy jak huragan dzień i noc, przystając za ledwo na godzinę w dzień dla wypoczynku, wysyłając z każdego popasu świeże gołębie z listami, zmieniając kilka razy konie i wielbłądy, rozstawione dla nas w pustyni, to znów co kilka, kilkanaście godzin spotykając nowe oddziały kawaleryi, wysyłane na spotkanie nasze, tak, że gdy dojechaliśmy do Suez, już byliśmy otoczeni kilku szwadronami.

W Kairze zastaliśmy popłoch wśród ciszy. Z mieszkańców prawie nikogo nie było widać; wszędzie pusto, wszystkie domy pozamykane; natomiast woj-

ska biwakujące na ulicach, przed pałacem chedywa i księcia Halima.

Nas z wujem puszczono do hotelu, księcia Tewfika odprowadzono do jego pawilonu, a Artura-beja i Dahera wezwano do samego chedywa. — Przez naszego mulnika Kopta posłaliśmy karteczkę do pułkownikowej. Żadnej odpowiedzi. Nazajutrz idziemy tam sami. Zastajemy pułkownikową zapłakaną, a pannę Lizę wylęknioną i drżącą; przed nią dostojnik pałacowy spisuje protokół z jej zeznań. Po wyjściu jego opowiada nam pułkownikowa, jako w sam dzień uczty, zapowiedzianej dla chedywa u księcia Halima, w chwili kiedy pierwszy dojeżdżał już do pałacu drugiego, jeden z poufnych Halimowych przestrzegł go, aby się zawczasu usunął od biesiady, bo wszystko przygotowano, aby uwięzić Ismaela, a proklamować wicekrólem Halima. Chedyw pod pozorem nagłego zaśląbnięcia powrócił pośpiesznie do pałacu swego i zaalarmował całą załogę kairską, rozkazawszy zatoczyć działa dokoła swego i Halimowego pałacu, z tą różnicą, że pierwsze były zwrócone na miasto, a drugie przeciw drzwiom i oknom konaku Halima. Zbrojne patrole zaczęły przebiegać całe miasto. Sługę Halimowego sprowadzono do wicekróla, w którego przytomności zaczęto go bliżej badać.

W chwili, kiedy chedyw wyjechał był na ucztę, w komnatach, przeznaczonych dla małego Abbasa, zjawiała się jedna ze sług niemieckich Halima i wzięła

dziecko na rękę. Abbas, zawsze dotąd spokojny, zaczął płakać i krzyczeć. Stąd pierwszy powstał był alarm. Przytrzymano służbę i zaczęto ją badać. Jednocześnie wysłano liczne oddziały kawaleryi za księciem Tewfikiem. Powzięto zaraz podejrzenie, że książę Halim, uknuwszy spisek, chciał przeprowadzić zamach stanu w ten sposób, aby uwięzić chedywa, sprowadzić do siebie Abbasa, a gdyby się nie udało zatrzymać Tewfika w pustyni za pośrednictwem Beduinów, aresztowanoby go po powrocie do Kairu, po dokonanym fakcie zmiany tronu. Posądzono dalej Artura-beja, że był wtajemniczony w ów plan i dla łączniejszego przeprowadzenia onego doradził podróż Tewfika w pustynię. A choć książę Tewfik ręczył za pułkownika, mimo to tenże pozostał cały tydzień w areszcie; a gdy książę Halim, w obawie dalszych następstw podejrzenia, umknął do Stambułu i tam osiadł stale pod opieką sultana, podążył też wkrótce za nim i Artur-bej; tam zastawał czas dłuższy i dopiero powrócił do Kairu niedługo przed śmiercią swoją, a po abdykacyi Ismaela i wstąpieniu Tewfika na tron.



## DO KRÓLESTWA SĄBY.

---

. . . . .

Aden — miasto oddalone od przystani adenińskiej o dobrą godzinę drogi. Wielkie statki żeglugi indyjskiej „Oriental-Company“ nie przybijają tu do samego brzegu, lecz zarzucają kotwicę na pełnym morzu, niekiedy o parę mil angielskich od przystani, dokąd dostawać się trzeba osobną łódką. Najstosowniej wybiera się taką porę dnia, aby przed zmrokiem przybyć do miasta, póki straż angielska nie zamknie bramy onego. A w samej przystani niema co robić. Zbiorniki wody słodkiej (prawda — wspaniałe i okazałe) i wielkie składy węgla kamiennego i drzewnego dla zaopatrzenia statków indyjskich, nędzna komora, mały obok sklepik i trattoria z obszerną izbą dla podróżnych — oto wszystko, co ich tu czeka w porcie. Mimo to zatrzymać się trzeba dla wyszukania przewodnika przynajmniej do miasta, jeśli nie dalej. Nie tak to łatwo przy-

chodzi, bo usłużny gospodarz tratoryi zastępuje drogę i gwałtem zmusza do wypicia porteru i przegryzienia daktyli, a cała zgraja małych czarniawych Somaliów, zrodzonych z wychodźców afrykańskich, oblega cię ze wszech stron, ofiarując przejażdżkę łódką lub gałęzie palmowe dla ochłody, potrzebne co prawda wśród duszącej tropikalnej atmosfery w izbie i na podwórzu, a i od dokuczliwych much i może bardziej jeszcze samych Somaliów, którzy szczebiotem swoim i natręctwem, wylęgiem pod sztucznem tchnieniem europejszczyzny — tak dziwny tworzą kontrast z wrodzoną powagą i godnością Arabów poza posiadłością angielską. Wreszcie przyrzekłszy sowity bachszysz jednemu z chłopaków, zdobywa się saisa z końmi lub mulnika z mułami, i wyrusza się do miasta wśród pustej i dzikiej pustyni.

Skaliste poszarpane parowy, zamknięte fortami warowni angielskiej, prowadzą do tego 30-tysięcznego grodu, będącego siedliskiem różnych wschodnich i europejskich narodowości, wśród których arabska nędznie jest reprezentowaną. Szylchwachy angielskie wpuszczają swobodnie przez główną bramę wszystkich pieszych i jezdnych, jeno z zapadnięciem zmroku należy meldować się komendantowi warowni.

Miasto samo, zbudowane na płaszczyźnie, podzielone na kilka *mahali* czyli dzielnic, zamieszkują różne narodowości: Anglicy, Indowie, Mu-

rzyni z Somaliami, Arabowie i t. d. W większej części dzielnic zapanował styl i konstrukcyja domów angielskich: ulice szersze, domy niskie parterowe, pomiędzy którymi wyróżniają się większe wspanialsze budowle komendantury i wielkich koszar.

Biegąc za mułem i trzymając się ogona jego, chłopiec somalijski w nadziei rychłego otrzymania przyrzeczonego bachszyszu, zaprasza nas do gospody angielskiej „Pod czerwoną małą”. Spojrzeliście mimowolnie na chłopca: twarz czarną murzyńską osłania nastroszona czupryna włosów czerwonych. Patrzycie na drugiego, trzeciego, czwartego i t. d. z jego towarzyszy: wszyscy mają to samo: jedni pofarbowali się na wzór perski rośliną *henne*, drudzy użyli tańszego środka — wapna niegaszonego... — aha! pan gospodarz oberży widocznie szyldem swoim satyrę na nich napisał!

Wchodzimy, zaciekawieni zdolnością literacką Anglika, do wnętrza jego przybytku. Ciżba i hałas niesłychany: cała pierwsza izba zapchana żołnierzami i marynarzami angielskimi, którzy siedzą grupami przy stołach, zastawionych piwem, dżynem, mięsiwem, kośćmi do gry.

Wśród biesiadników uwijają się czerwonogłowi malcy, wyliczając wesoło towar swój w postaci wachlarzy palmowych, bananów, ananasów, fig i różnych wyrobów koszykowych z palmy. Pośród nich spocony i zziębły tłusty ogolony Anglik ledwie nastarczyć może sił na opędzanie



się z jednej strony natrętnym, krzyżącym Somaliom, z drugiej — na obsługiwanie gości piwem. Czupryna jego snać także pierwotnie była czerwona, aby jednak nie poddać jej własnej satyrze szyldu, ufarbował ją na barwę brudno-stalową.

„Dżyn czy oel?“ — pyta wchodzących, obcierając fartuchem uznojone czoło i dając klapsa naszemu małemu przewodnikowi.

— „Co się podoba, a przedewszystkiem wiadomości o intendencie Wilhelmie Cricku“.

„Oh! *I have heard of him; a very earnest gentleman*; znam, znam go. A co za interes do niego? Jesteście, panowie, ajentami handlowymi, może i ja co kupię?“

— „Nie, polecił nam go znajomy nasz, pan Winker na parowcu, jako takiego, który nam ułatwić może podróż w głąb kraju i zwiedzenie miasta“.

„Zwiedzenie miasta? To wam je najlepiej pokazać może moja Marie“.

— „Marie, Marie!“ — krzyczał dalej, nalewając piwa z beczki w bufecie. — „Ci džentelmeni chcą do pana Cricka; ogarnij się fartuszkim, zaprowadzisz ich do kawiarni arabskiej!“

Wyszoczyła z kuchni 14-letnia dziewczynka o oczach wesołych, inteligentnych, a twarzyczce śniadawej, snać z matki miejscowego pochodzenia.

„Crick, Crick?“ — zapytała, zamysłając się, —

„Wiem, wiem“ — i nie czekając dalszych wyjaśnień, zanuciła *recitativo*:

Gentleman Dick  
All the week:  
On sundays Mister William Crick!

I przypasawszy fartuszek a narzuciwszy chusteczkę na głowę, stanęła przed nami w rezolutnej gotowości towarzyszenia choćby na koniec świata.

„A którędy džentelmeni chcą iść do kawiarni arabskiej: czy przez dzielnicę niewieścią, czy indyjską?“ — zapytał gospodarz po kwadransie czasu.

Nie znając ani jednej, ani drugiej, a potrzebując jakąkolwiek z nich wybrać, wybraliśmy na chybił-trafił pierwszą:

— „Przez niewieścią“.

„Yes... es!“ — rzekł z zadziwieniem, roztwierając szeroko oczy; potem nagle odwrócił się imperytynencko od nas i mocniejszym parę klapsów dał kręcącym się koło nas Somaliom.

Kiedy, zapłaciwszy za przekąski i napoje, wyszliśmy na ulicę w chęci wyruszenia dalej, spostrzegliśmy obok siebie w roli przewodnika nie obiecaną Marie, lecz jakiegoś straszego i obdarzonego drągala z pękiem prętów i gałęzi w rękę.

— „Więc jakże? Marye nie pójdzie z nami?“ — zapytaliśmy gospodarza, wracając do gospody.

„Moja córka nie chadza po Haymarkcie!“ — odparł, z oburzeniem spozierając na nas.

— „Nasza córka nie chadza po Haymarkcie!“ —  
zawtórowała mu Marie, a wykręciwszy się na pięcie,  
zanuciła:

Gentleman Dick  
All the week:  
On sundays Mister William Crick!

Siedzący przy drzwiach majtkowie, wznosząc  
w górę szklanice oelu, zawtórowali chórem za nią:

On sundays Mister William Crick!

A jeden z nich chichocząc odezwał się:

„Ten stary hultaj Dick na gwałt chce być  
cnotliwym i przyzwoitym“.

Nie mogliśmy na razie zrozumieć tego zachowania się i zagadka nam się rozwiązała dopiero wówczas, gdy nasz obdarty przewodnik po półgodzinnej wędrówce po różnych ulicach, wprowadził nas wreszcie w wąską ulicę, mrużąc:

— „Oto jest Haymarket mistera Dicka“.

Tłumy wesołych cór Koryntu w dekadentyzmie kostyumach, różnej narodowości — obstały nas, domagając się natarczywie naszego towarzystwa. Angielki, Żydówki, Murzynki, Induski tłumnie prześcigały się wzajem z hałasem, aby zastąpić nam drogę i ciągnąc ku swoim gniazdom tak, że mrużący nasz przewodnik Dziaber musiał co chwila przeskakiwać olbrzymimi krokami z jednej na drugą stronę ulicy i opędać się gałęzmi drzewa od tych dokuczliwych much dwunożnych. W ten



tylko sposób niegrzeczny, stojąc na straży obyczajowości mistera Dicka, potrafił uchronić nas od natarczywości tych, których ziomkowie jego sprowadzili dla wesołego towarzystwa majtków i żołnierzy angielskich.

Kosztowało to wszakże Dżiabra niemało trudów. Uznojony i zziajany przyprowadził nas do pustej i wąskiej ulicy, zabarykadowanej kilku belkami w poprzek. Runęło tam parę starych domów, a władze miejscowe, w obawie dalszych wypadków, kazały wynieść się mieszkańcom ze wszystkich domów uliczki tak, że teraz pusta i głucha dziwny tworzyła kontrast z hałaśliwością i gwarem tej ulicy, którąśmy opuścili przed chwilą. Dziaber, nie zwracając uwagi na nas, stanął pod ścianą jednego z opuszczonych domostw, rozerwał liść rosnącego tam aloesu i potarłszy nim swe skronie, zaczął ciężko oddychać i mrużyć słowa, z początku niewyraźne, urywane:

„Innym dozwolę opływać w rozkoszach, a potem kary doznają... Kto się boi Pana, szczęśliwego... doczeka końca“.

Oczy mu w ślup stanęły: przestał nacierać się aloesem, z czoła pot mu kroplami spadał na biały i zbrudzony burnus, a z ust zaczęły płynąć słowa Koranu:

„Hud, sługa Najwyższego, rzekł do Adejczyków, braci swoich: Służcie Panu, niema innego Boga

nad Niego; bóstwa, które sobie tworzycie są fałszywe“.

„Ludu mój! nie żądam od was nagrody za swoje starania; ona dla mnie jest w ręku Boga; nie otworzycieź oczu?“

„Ludu mój! Wracaj do Boga, czyn pokutę! On ześle deszcz<sup>1)</sup> na ziemię waszą“.

„On podwyższy moc waszą, nie odpadajcie w zbrodnie bałwochalstwem!“

.....

„Jeżeli w niedowiarstwie waszem trwać będziecie, jam spełnił moje posłanie. Bóg na waszem miejscu inny lud postawi; wy szkodzić mu nie będziecie mogli. On utrzymuje świat cały“.

Przerwał. Snać to, co powiedział, kosztować go musiało wiele wysiłku. Piękna twarz jego, ocieniona rzadkim zarostem brody, w której połyskiwało kilka włosów srebrnych, skurczyła się konwulsyjnie, oczy przed chwilą błędne — rzuciły przed siebie wyraz nito bólu, nito żalu. Widocznie mieliśmy przed sobą człowieka, którego cierpienia to się odnawiały jawem bólu, to znów się osłaniały mgłą nieświadomości lub halucynacyi. Po chwili usiadł na rumowisku, targnął się za brodę, potem rozwiązał sznur z sierci wielbłądziej, którym przewiązany był

---

<sup>1)</sup> Deszcz, jako łaska i dobrodziejstwo dla spalonej słońcem Arabii, utożsamiają wogóle z pojęciem łaski i zamiast tego ostatniego pojęcia i wyrazu bywa używany tak w Koranie, jak niekiedy i w codziennej mowie Arabów.

turban, i ten ostatni zdjął z głowy: snąć mu ciężył i palił go.

Zerwałem parę liści aloesu, a idąc za jego przykładem, rozdarłem je i wilgotnym ośrodkiem przyłożyłem do palącej głowy jego. Przyniosło mu to ulgę. Dziaber przytrzymał długo podaną rękę z aloesem własną dłonią na głowie. A gdy powstał i wyprostował się, wyniosła postać jego wydała się o wiele większą. Przypominał legendę arabską o protoplaście kraju adeńskiego imieniem Ad i jego potomkach, olbrzymach Adejczykach. W myśli mimowoli przesunęły się mgliste obrazy czarownych podań o nich, a na tle ich — wspaniała postać zesłanego do nich proroka Huda...

Zaledwo uszliśmy kroków kilkadziesiąt, Dziabrowi spadł z głowy rozgrzany liść aloesu: chwycił się jej oburącz, jakby naciskaniem rąk pragnął uśmierzyć ból; zatrzymał się znów przy murze domu pustego i mówił szeptem żalonym:

„Posłałem Huda proroka do Adejczyków, braci jego“.

„Ludu mój, rzekł im, chwalcie Pana! Niema innego Boga prócz Niego; czy Go lękać się nie będziecie?“

„Jesteś szalony i zwodziciel — rzekli mu naczelnicy ludu, niedowiarstwu oddanego“:

„Nie jestem szalony — odpowiedział Hud — jestem posłańcem Władcy światów. Wypełniam poselstwo, które na mnie włożył i przychodzi da-



wać Wam rady zbawienne. Cóż dziwnego, że Najwyższy wybrał z pomiędzy was człowieka, aby wam dać poznać swą wolę? Pamiętajcie, że was zostawił na miejscu potomków Noego, że was rozmnożył i postać waszą wzmocnił<sup>1)</sup>; pamiętajcie o tych dobrodziejstwach, jeśli chcecie być szczęśliwymi... Gniew i zemsta Boża spadną na was... Zobaczycie, jak będę widzem upadku waszego!“

Podług podań miejscowych dawniejsi, pierwotni Arabowie pochodzić mieli od kilku pokoleń, z których pokolenia Ad i Temud osiadły na południu. Adejczycy wywodzili początek swój właśnie od tego Ada, syna Ana, wnuka Arama, prawnuka Sema, syna Noego. Ad osiadł na północ od Adenu w pustyniach piaszczystych Hadramautu, gdzie też potomkowie jego rozrosli się w naród, zdolny do utworzenia państwa. Pierwszym królem państwa tego był rzekomo Izedad: ten dokończył rozpoczętej przez przodków budowy okazałego miasta, gdzie wśród rozkosznych ogrodów, będących Irem, czyli rajem ziemskim, wznosił pałac wspaniały, lśniący samymi klejnotami, a w tym pałacu kazał sobie oddawać cześć boską. Miasto to dotychczas ma stać wśród piasków pustyni adamskiej, jako znamię sprawiedliwości boskiej, chociaż rzadko widzialne. Chalif Moawid dla przekonania się o prawdzie wysłał był

---

<sup>1)</sup> Słowa te Koranu odnoszą się do podania, podług którego lud adejski wyróżniał się wzrostem olbrzymim.

tam Kalabacha, który opisuje, że, szukając raz zagubionego wielbłąda w pustyni, ocknął się nagle wśród wielkiego i okazałego miasta, w którym żadnej nie ujrzał istoty żyjącej. Przerażony tem uciekł, zabrawszy z sobą kilka cennych oszlifowanych kamieni, które pokazał chalifowi. Adejczycy potrafili oprzeć się pokusom władcy Iremu przez czas jakiś, w końcu jednak nie wytrwali w wierze jedynego Boga i zostali bałwochwalcami. I wówczas Allah miłosierny dla nawrócenia ich posłał im proroka, imieniem Hud czyli Heber. Adejczycy nie usłuchali nawoływań jego do poprawy, jeno starali się wszczynać z nim spory, a nawet uragać mu, pyszni swą siłą i wzrostem olbrzymim. Dla wypróbowania ich Bóg dotknął kraj posuchą czteroletnią, wśród której wszystko ich bydło wyginęło. Wówczas wysłali 60 ludzi z Lokmanem na czele do Mekki, prosząc Boga o deszcz. Prośba ta jednak nie odniosła skutku i Lokman pozostał z kilku towarzyszami w Mekce, gdzie się stał założycielem nowego pokolenia, zwanego Ithem Adami. W ten sposób uniknął wprawdzie okropnego losu późniejszego swych współziomków, ale potomkowie jego zostali zamienieni w małpy. Skoro mimo prośby Adejczycy nie usłuchali głosu proroka, Bóg zesłał na nich gorący i duszący wiatr, który dał przez siedm nocy i ośm dni, wchodził przez nozdrza, przenikał ciało i zabijał wszystkich, wyjąwszy kilku, którzy uwierzyli w Huda i przeniesli się z nim na

miejsce bezpieczne, wskazane przez Boga. Po jakim czasie prorok powrócił do Hadramautu i, tu zakończywszy dnie swego żywota, został pochowany w okolicy Hazeku, gdzie dziś stoi małe miasteczko, zwane Kabr Hud, t. j. grób Huda.

. . . . .

Pusta i bezludna ulica, na której Dziaber recytował wersety z Koranu o Adejczykach i Hudzie, była zbudowana w kształcie łuku, wygiętego w stronę poprzedniej ulicy — wesołych kumoszek, a to tak, że ostatnia tworzyła cięciwę łuku. Gdyśmy więc przeszli baryerę poprzeczną, ustawioną również na drugim końcu pustego zaułku, ocknęliśmy się na tej samej gwarnej ulicy kumoszek, na której już przedtem byliśmy, jeno ze strony przeciwnej. Mniej tu było swawolnych i dokuczliwych kobiet i Dziaber poprzestawał tylko na opędzaniu się lekkim gałązką dookoła swojej twarzy, jakby od much brzęczących lub bąków, powtarzając w zamyśleniu poprzednie wersety Koranu. Gdy wszakże dwie swawolnice przyprowadziły trzecią, śliczną Arabkę z zawiązanymi snać na figiel oczyma, która stąpawszy omackiem dotknęła się sukni Dziabra w chwili, kiedy wygłaszał słowa „pamiętajcie..., że was rozmnożył i postać waszą wzmocnił...” — Dziaber, jakby ukąszony gadziną, syknął, poczem podniósł rękę z gałęzią do góry i spuścił ją z silnem uderzeniem dwukrotnem na rękę Arabki, powtarzając



za każdym razem dobitniej słowa: „i postać waszą wzmocnił“.

Arabka krzyknęła z bólu, zerwała opaskę z oczu i, spostrzegłszy z przestachem przed sobą postać Dziabra, zachnęła się, zakryła twarz rękoma i zaczęła chyżo uciekać, aż się skryła w jednym z ciasnych i ciemnych zaułków ulicy.

W kawiarni opowiadali nam starzy Arabowie, że Dziaber w latach młodzieńczych przebywał czas dłuższy w Egipcie, gdzie w szkołach kairskich nabył wykształcenia. Po śmierci brata młodszego, którego kochał i którym się opiekował, wstąpił do derwiszów i dłuższy czas wędrował po świecie. Z powodu dążeń reformatorskich i posądzenia o wahabityzm zwolniony ze ślubu bezżenności, pojął za żonę Dżydę, uroczą wdowę po jakimś szejchu. Sprzeniewierzyła mu się dla jakiegoś oficera angielskiego, a po śmierci tego upadła na najniższy poziom nito wolnej a przedaźnej miłości. Arabowie chcieli ją ukarać podług przepisów swego zakonu, ale Anglicy nie pozwolili na to. Od tej pory Dziaber wpadł w nędzę, opuszczenie i doznaje częstych wizyi tudzież halucynacyi, zwłaszcza kiedy mu wypadnie przechodzić przez dzielnicę miasta, w której ma się podobno ukrywać dawniejsza żona jego. Ziomkowie jego usiłowali go nieraz wysłać w głąb Hadramautu, gdzie ma wielu majątnych krewnych w pokoleniu swoim, którzyby go otoczyli opieką należytą; ale Dziaber powraca stam-

tąd zawsze do Adenu, gdzie woli wysługiwać się czerwonym giaurom prawie bez żadnego z ich strony wynagrodzenia, krom szyderstw i urągania. Jedną tylko małą Marie, córka restauratora z pod „Czerwonej małpy“, lubi go otaczać opieką ludzką, za co też jest do niej przywiązany.

Zmuszeni do zatrzymania się w Adenie dni dwa, mieliśmy czas obejrzyć miasto i jego instytucje angielskie, między którymi — obok militarnych i sanitarnych — niepoślednie miejsce zajmuje nieodzowne w takich razach „Café concert“. Tu sprawiedliwi synowie Albionu, pragnąc pogodzić cywilizację zachodnią ze wschodnią, sprowadzili bajaderkę arabską z Egiptu i całymi godzinami, popijając grogu, patrzą nieruchomi na jej taniec nieruchomy, a raczej drgawkę rytmiczną, w którą ta nadobna acz śniadawa siostra Muz wprowadza kolejno różne części ciała swego nagiego, sama stojąc na jednym miejscu.

Zanadto kunsztowną, zanadto wzrok nużącą, a zbyt dolegliwą dla zmysłu estetycznego była ta biesiada ciała dla nas, abyśmy nie mieli przekładać nad nią biesiadę słowa arabskiego, którą zastawiał dla nas wdzięcznie Mohareb, poważnego wieku i stanowiska Arab, z którym poznaliśmy się w kawiarni arabskiej, a który nas następnie zaprosił do domu swojego na przedmieściu.

Mohareb prowadził niegdyś handel wonnymi korzeniami w Indyach i w Persyi. Straciwszy parę

razy fortunę, to przez rozbitcie się statku, to przez bankructwo spółnika w Bombaju, wyrzekł się handlu i z resztą skromnego mienia osiadł w Adenie. Dom miał urządzony wygodnie, jako bywalec na świecie, jako dostatni człowiek Wschodu, nie obywający się bez kobierców, różanego i cedrowego drzewa. Mimo to wiódł życie, pełne prostoty i patoryarchalności. Syna swego, wyrostka kilkunastoletniego, posławszy o dobrą staję drogi na spotkanie nasze, sam powitał nas uroczyście na progu domostwa, przykładając rękę do stóp naszych, oraz do własnego serca i ust, a zapraszając w progi gościnne imieniem Boskiem. Że jednak w komnatach wydawało się nam duszno i gorąco nad miarę, siedzieliśmy w cieniu drzewa figowego w ogrodzie, popijając chłodzącego sorbetu i orzeźwiając się owocami południa, aż podano obiad, przyrządzony po persku, a składający się z wielu potraw mięsnych, roślinnych i bakalii.

Uwagę naszą zwróciła małpka przyswojona, w wielkich łaskach i niemal poważaniu będąca w całym domu i traktowana ze względami, należnymi istocie rozumnej. Na zapytanie nasze w tej mierze, rzekł Mohareb:

„Na długo przed urodzeniem Proroka, *selle-meh-ul-lahu-taala*<sup>1)</sup>, żył w tych oto właśnie stronach *al-hakim* Lokman, wnuk Joba...“

---

<sup>1)</sup> „Niech go zachowa Bóg najwyższy“ — nieodzowny to



— „Czy ten sam — przerwałem — którego ziomkowie twoi za czasów apostołstwa Huda wysłali do Mekki?“.

„Tak, prawdopodobnie...“

— „I którego potomkowie zamienieni zostali w małpy? Ah, rozumiem teraz, co znaczy ta małpa“.

Mohareb uśmiechnął się poważnie.

„Tak myślą ludzie nasi<sup>2)</sup> — dodał, tłumacząc się, — a trudno im to mieć za złe, skoro i gdzieindziej żyje wiele małp, nie mając tak chlubnych przodków przed sobą, jak oto te“.

I mówiąc to, pogłaskał wpatrzoną w niego małpę.

— „Ale przecie sam hakim nie był świadkiem takiej zmiany potomstwa?“

„Kto wie! *Hikjajety* nasze powiadają, że żył bardzo długo, kilkanaście pokoleń z rzędu, aż się zobaczył z królem Dawidem i nauczył go mądrości. Dlatego to Allah w Koranie powiada: Dałem mądrość Lokmanowi“.

---

dodatek w uszach każdego moślemina, ilekroć wygłosi imię proroka, t. j. Mahometa.

<sup>2)</sup> I bez darwinizmu europejskiego znane od wieków na Wschodzie antropomorfizowanie małp duchowe i fizyczne, spożytkowywane bywa tam nawet do celów praktycznych. Takie przykłady, jak ów na kolei żelaznej Przylądka Dobrej Nadziei (*Cap Colony Government Railway to Port Elizabeth*), gdzie budnik, pozbawiony obu nóg i ręki, używał szympansa jako swego dróżnika i zwrotniczego, — nierzadko się powtarzają.

— „Miał jednak ustępować w urodzie królowi Psalmiście“.

„I bardzo. Miał cerę oliwkową, głowę wielką, wargi grube, nos płaski, nogi krótkie powykrzywiane i plecy wypukłe, ale za to mądrość proroka i słodki dowcip poety. Toć jego *hikajety* wszyscy u nas w Dżezyrezie czytają z lubością. Obdarował go pan jego wolnością za to, że gdy mu raz dał zgnily melon do zjedzenia, Lokman zjadł, nie zostawiwszy odrobiny, a zapytany, jak mógł znieść gorycz tak nieznośną, odpowiedział: „Powinnością moją brać gorycz z tych rąk, które mię przez całe życie obsypują dobrodziejstwami najśłodszymi“. Pewnego razu zapytany o to, co jest w świecie najlepszego, przyniósł w odpowiedzi dwa języki, a zapytany, co jest najgorszego, przyniósł również języki...“<sup>1)</sup>.

Pragnąc jak najrychlej wyruszyć z Adenu do legendowej stolicy królestwa Saby, a stamtąd w głąb Jemenu ku Sanai, wynajęliśmy dwu mulników z dwoma końmi wierzchowymi dla siebie, a dwoma innymi pod juki. Że zaś Dziaber upierał się koniecznie przy tem, aby nam towarzyszyć, postano-

---

<sup>1)</sup> Lokman bardzo jest ceniony w Arabii, niektórzy uważają go nawet za proroka, a Mahomet poświęcił mu cały XXXI rozdział Koranu i nazwał go jego imieniem. Niektórzy utożsamiają go z Ezopem.

wiliśmy wziąć go z sobą, jako przewodnika całej karawany.

Droga miała być długą i uciążliwą, zwłaszcza przez dzikie i urwiste *dżeble* hadramauckie i jemeńskie, mało zaludnione, pozbawione wiosek, schronisk i oberży, a natomiast przedstawiające wiele niebezpieczeństw karkołomnych dla zwierząt jucznych. Należało zaopatrzyć się w namiot, zapasy podróżne i opatrzyć dobrze nogi naszych koni i mularów. Namiot wypożyczyliśmy od Mohareba, a po wiktuały udaliśmy się do garkuchni arabskiej, urządzonej z turecka, a więc zalecającej się już z wystawy zewnętrznej szeregiem odartych ze skóry i ugotowanych głów baranich, a wewnątrz — niemniej liczny szeregiem miednic mosiężnych pobielanych, poustawianych na żarowniach jednej płaszczyzny, która przypominała kuchnię angielską. W miednicach (miały to być rondle) gotowały się jednocześnie: czorba czyli zupa, pilaf z ryżu i baraniny, ryż z pomidorami, pomidory z kebabem czyli kawałkami baraniny, upieczonej poprzednio na rożnie, bób w strączkach i t. d. Żadnych konserw.

Musieliśmy się zadowolić kupnem kilku głów baranich, kilkunastu prętów kebabu i tyłuż placków — podplomyków chleba praśnego. Zapas kawy, daktyli, cukru, ryżu i mąki uzupełniał skromne nasze prowianty.



„I to niepotrzebne, effendim — mówił dobroduszny Mohareb — wszędzie przecie spotkacie teraz ciągnących tam ludzi, a Allah miłosierny nie odmówił im cnoty gościnności; z głodu nie pomrzecie, a Beduinów nie spotkacie“.

— „Chyba Turków“ — odezwał się z uśmiechem nieznanym jakiś, siedzący w kącie i okryty kurzem podróznym Arab, któregośmy dotychczas nie spostrzegli, mimo, żeśmy od pół godziny już jedli obiad w garkuchni.

„Jacy Turcy?“ — zapytaliśmy jednocześnie w kilku naraz.

— A no ci, którym w ręce za kary win naszych oddał Allah piękny nasz i dotąd wolny Jemen“.

„Skąd ty?“ — zapytał Mohareb, bacznie wpatrując się w przybyłego.

— „Z poza Redy“.

Mohareb powstał, zbliżył się do podróznego i zaczął z nim długo szeptać; potem wróciwszy do nas, rzecze:

„Dobrze się układa. Przyjechali tu właśnie Jemeńczycy po broń<sup>1)</sup>, którą kupują od Anglików. Pojutrze o świcie wyruszają z powrotem. Możecie razem w jednej karawanie odbywać podróż. Znam ich szejcha; możecie na nich polegać“.

— „A gdzież ich szukać mamy?“

---

<sup>1)</sup> Do powstania przeciw Turkom, które, wybuchając perdyodycznie w Jemenie, trwało też podczas owej podróży autora.

„Chodźmy zaraz do kuźni! Tam oni prawie wszyscy są zgromadzeni; czyszczą i naprawiają karabiny i lance“.

Kuźnia była prawie na końcu miasta, pod jednym z fortów angielskich. Iść do niej należało obok owej ulicy wesołych kumoszek, którąśmy przechodzili dwukrotnie. Obawa nas zdjęła o Dżiabra, ażeby znów nie dostał halucynacyi i nie zamienił się w proroka Huda. Chcąc go więc odciągnąć od myśli pośepnych i skierować je w inną stronę, np. stosunku Arabów do Turków, zamierzaliśmy wziąć go pomiędzy siebie pod ręce. Oglądaliśmy się tedy za nim na ulicy, zaglądaliśmy do wszystkich kąców garkuchni: Dżiabra ani śladu — znikł jak kamfora.

...W kuźni zastaliśmy nadspodziewanie milczenie głębokie, wolne od tych gwarów ludzkich, którymi zwykle przepełnione są tego rodzaju zakłady. Natomiast wrzało tam i kipiało jak w kotle. Kilku podrostków miejscowych, wykształconych pod okiem Anglików i zaprawianych w ich kunszcie zarówno kowalskim, jak rusznikarskim, stało przy miechu, kowadle i śrubsztaku, hartując i ostrząc groty lanc, dopasowując lufy rusznic do ich łożysk, oczyszczając rdzę z jednych, to znów drylując otwór w innych, przyśrubowując stare kurki, lub składając nowe iglicówki. Dokoła nich stało kilku, zbronzowanych i spalonych słońcem Jemeńczyków, którzy ze stosu złożonej w kącie broni wybierali

kolejno po kilka sztuk, opatrywali je, rozbierali i podawali chłopcom do opatrunku, oczyszczenia lub naprawy. Cała praca odbywała się pośpiesznie ale w milczeniu. Ani jedno słowo nie padło tam z ust ludzkich; słyhać jeno było sapanie miecha kowalskiego, stuk młota o kowadło i zgrzyt stalowych pilników po opornem, starem żelaziwie.

Przy wejściu naszym tak robotnicy, jak podróżni Arabowie, zaledwo rzucili tylko okiem na nas, jęli się znów dalszej pracy w milczeniu. Dopiero gdy przybyły z nami z garkuchni Jemeńczyk wraz z Moharebem zbliżyli się do nich i zamienili z nimi słów kilka, przerwali na czas jakiś robotę i wszczęli z nami rozmowę.

„Od Ingilezów?“ — pytamy, wskazując stos broni.

— „Od Ingilezów“ — odpowiada znacząco starszy, ślepy na jedno oko Jemeńczyk, snać przywódca reszty towarzyszy.

„A coście zrobili z dawniejszemi rusznicami?“

— „Mamy je dotychczas, ale z Inglistanu są lepsze do *dżengi* <sup>1)</sup>. Zresztą dawniejsze nam wystarczają, ale te bierzemy dla Sanańczyków“.

„Po co?“

— Bo im Osmanliowie <sup>2)</sup> pozabierali wszystką

---

<sup>1)</sup> Wojny.

<sup>2)</sup> Turcy.



broń; a *kurbam-bajram* z nowym księżycem niedaleko“.

Gdy towarzysz mój potrząsnął głową na znak, że nie rozumie takiego wyjaśnienia. Mohareb jął tłumaczyć, jako rząd turecki pokonfiskował wszystką broń Arabom jemeńskim, a zwłaszcza tym, którzy zostają pod bezpośrednią władzą sultana, t. j. z tamtej strony stolicy Sanay. Ci wszakże, podtrzymując ciągle stosunki z plemionami niezawisłymi, osiedlonymi w okolicach legendowego królestwa Saby, za pośrednictwem ich kupują od Anglików w Adenie broń i ukrywają częścią w posiadłościach tychże plemion, a częścią u siebie w górach, aby na święto Małego Bajramu, kiedy się lud gromadzi tłumnie po meczetach, skorzystać ze sposobności i uderzyć na załogi tureckie.

\* \* \*

Wyruszyliśmy z Adenu karawaną liczną i zbrojną, jakby wprost na potrzebę wojenną. Trzydzieści mułów i koni, objuczonych bronią i prowadzonych przez dziesięciu saisów i mulników, stanowiło poważny i ciężki korpus karawany, tabor jej środkowy. Ośmiu Jemeńczyków i tyluż Hadramautczyków, uzbrojonych od stóp do głowy, na dzielnych i ścigłych arabczykach, tworzyło jej eskortę, przygotowaną na stawienie czoła każdemu napastnikowi. My dwaj konno, z dwoma jucznymi mułami i dwoma

konnymi mulnikami, wszyscy również uzbrojeni, stanowiliśmy jakby rezerwę tej siły zbrojnej. Brakowało nam tylko Dziabra, którego straty nie mogliśmy dość odżałować.

Tabor Jemeńczyków z bronią już w przeddzień wyjazdu przeniósł się cały za miasto o parę kilometrów w góry i tam spędził noc całą, aby o świcie wyruszyć już w całym pogotowiu w dalszą drogę. Myśmy nocowali w domu gościnnego Mohareba, który przed świtem odprowadził nas do taboru, aby tam dopiero pożegnać nas i rozstać się z nami.

Przybyliśmy na punkt zborny, kiedy zorza, coraz jaśniej rumieniąc się na wschodzie, słała z poza lekkich obłoków różowawe gońce, zwiastuny słońca, które niebawem miało się ukazać. Na niewielkiem usypisku poziomem, wśród dwu parowów skalnych, tabor przyszykowany już był do pochodu, a Arabowie, pozdejmowawszy obuwie i stając każdy na *dżanamazie*<sup>1)</sup>, w kornej postawie z rękoma, wzniesionymi ku uszom, i z twarzą, zwróconą ku Mekce, wygłaszali już drugą część modlitwy porannej: *Allahu ekber...* (Bóg jest wielki...)

Mohareb, jakby przestraszony opóźnieniem, zeskoczył raźnie z konia, wraz z towarzyszącym mu synem, a gdy tenże rozesłał na ziemi dwa dżana-

---

<sup>1)</sup> Mały kobierzec, zwany od *namazu* (modlitwy), a służący do rozesłania pod nogi podczas modlitwy.

mazy i gdy obadwaj, uczyniwszy drugą ablucję, czyli *abdest* (umycie ciała), stanęli na ziemi i również podnieśli ręce ku uszom, — popłynęła społem ku niebu ta korna, długa, uroczysta modlitwa, którą witają wschód słońca wyznawcy Proroka, ze wszystkimi jej podniosłymi obrzędami i śpiewem żalonym, aż do słów: „W imię Boga litościwego i miłosiernego. Boże mój! Proszę cię, uczyni ten poranek dobrym dla nas; dozwól, niech usta nasze nie przestają chwalić Ciebie i niech duch nasz z głębi serca sławi cuda rąk Twoich!... Niech będzie chwała Bogu *Aleminowi*! <sup>1)</sup> On jest miłosierny i dobrotliwy. On królem dnia sądnego. Ciebie, Allahu, czcimy i Twej opieki wzywamy. Prowadź nas drogą zbawienia, drogą tych, których obsypałeś dobrodziejstwami Swemi, a nie tych, którzy na gniew Twój zasłużyli i w błąd popadli! *Amin*“.

Karawana ustawiać się zaczęła do pochodu, który otwierał oddział Hadramautczyków. Za nimi długim wyciągniętym sznurem sunął tabor objuczonych bronią mułów, uwiązanych partykami po sześć w ten sposób, że każdy następny uczepony był przodem do ogona poprzednika; każdego zaś pierwszego z szóstki prowadził mulnik za uździeńnię, a poza nią harcował zbrojny sais. Tabor zamykał oddział Jemeńczyków.

Myśmy jeszcze nie byli zabrali miejsca w kara-

---

<sup>1)</sup> Władcy światów.



wanie, rezerwując je sobie przy oddziale Jemeńczyków, a czekając aż cała karawana wydobędzie się z parowu i rozwinie się w jedną linię.

Właśnie harcując z flanku i w chęci zrekonstruowania drogi wydobywszy się z parowu, gdyśmy stanęli na zakręcie onego, mając przed sobą wijącą się między wzgórzami drożynę, ujrzelśmy przed sobą na samym zakręcie pieszego, okrytego białym burnusem a uzbrojonego Araba. Kapiszon burnusa okrywał mu zaturbanioną i pochyloną na piersi głowę, a w rękach złożonych na pasie tkwiła mu na poprzek całego ciała długa flinta beduińska, stara, bogato inkrustowana kością słoniową, srebrem i masą perłową. Stał zamyślony i jakby pogrążony w ciężkiem dumaniu. A gdy na szelest nasz i tętent koni podniósł wzrok przed siebie, mimowolnie z piersi naszych wyrwał się okrzyk:

„Dziaber!“

On to bowiem był istotnie, ale nie sam. Poza nim, na koniu siedziała uwiązana, z odwróconą głową Arabka a w niej poznaliśmy ową śliczną z zawiązanymi oczyma kobietę z ulicy wesółch kumoszek, która była uciekła na widok Dziabra, a która była żoną jego. Przy końcu dreptał czarny ośmioletni Somali, z rozczochraną czuprynką czerwonałą.

Na ten widok odprowadzający nas Mohareb spiął konia bodźcem i poskoczył ku Dziabrowi. Stanąwszy przed nim, potrząsnął głową i wskazując

wzrokiem kobietę i dziecko, zapytał go po turecku, aby inni Arabowie nie zrozumieli:

„*Ne war? ne jok?*“<sup>1)</sup>

— „Ty sam wiesz“ — odrzekł Džiaber zwykłą w takich razach formułą. Ale intonacya tej odpowiedzi, ruch ramion, wyraz twarzy był tak wymowny, że świadczył daleko więcej, niż mogły powiedzieć te trzy wyrazy, określał wszystko, odsłaniał całą tajemnicę życia i położenia obecnego. Džiaber zdawał się mówić: Wszakże zgodziliście się ze mną, że będę przewodnikiem karawany, więc się stawilem z żoną i jej synem; nie mam ich gdzie zostawić; Allah mi zesłał gołębicę i kukułkę do gniazda; piskłę mi zostaje, a ja samą czemu napowrót wyrokiem Szeri do siebie przywoływa?

Skąd ubogi i oberwany dotąd Džiaber zdobył się na burnus, broń i konia, — można się było tylko domyślać; zapewne z dawniejszych zapasów i oszczędności. Ale jak zniewolił i pojmał żonę, czy gwałtem, czy przez jej własną, dobrowolną skrucę i poco ją wziął z sobą w drogę, czy może, broń Boże, jako poniewolny stróż *Szeri* i wykonawca przepisów jego, tudzież wyroków sądu duchowego, — próżnymi były domysły.

---

<sup>1)</sup> Dosłownie: co jest? czego niema? zwykle to pytanie tureckie, mające znaczyć: Co słyhać? Co to jest?

Arabom wszakże wydało się to rzeczą wcale naturalną; nikt nawet, przez wrodzoną im delikatność, nie patrzył na kobietę i nie pytał o nic. Mohareb, spojrzawszy najpierw ponuro przed siebie, a następnie ze współczuciem na Dżiabra, który z troskliwością ojcowską poił z tykwy chłopię i kobietę, rzekł zwracając się do nas:

„Widzę orła, lecącego w stronę drogi waszej, czuję woń grobu przed sobą: niech Allah będzie miłosiernym dla niego!

Potem, pożegnawszy nas czule i poleciwszy całą karawanę opiece Boskiej, zawrócił z synem ku domowi; a myśmy ruszyli długim sznurem gęsim w góry, mając Dżiabra z rodziną na czele.

\* \* \*

Przed południem, gdyśmy przebyli jedno pasmo dżebłów adeńskich, a słońce, oblewając nas potokami światła, olśniewało oczy i paliło twarze nasze, uniemożliwiając podróż dalszą, zamierzeliśmy wypocząć i przeczekać godzin kilka aż do zniesienia się jego ku zachodowi. Zstąpiliśmy właśnie poza dwoma stożkami prawdopodobnie kraterów wygasłych — w dolinę przyjaźniejszą i bardziej oświetloną od innych. U skraju jej, gdzie z pod ściany opoki omszonej wyrastało kilka lodyg ziel-



ska i ludziła nadzieja wilgoci (po źródle wody, które tryskało może tu niegdyś), stanęliśmy obozem.

Konie i muły rozjuczono, ogień rozniecono, a trzej mulnicy, wysłani na zwiady, przynieśli wkrótce w workach kozich mleka kwaśnego z pobliskich obozowisk arabskich.

Dziabra z rodziną niebyło. Znikł poza wzgórzem, zamykającym dolinę od zachodu, gdzie rozlegała się druga taka sama dolina, z wyschniętem w porzek niej łożyskiem potoku, nad którym po skałach pięły się spalone słońcem napale i kaktusy.

Arabowie po modlitwie południowej (*Awle*) zasiedli przy ogniskach swoich do posiłku i kawy, a my obok Jemeńczyków zajęci byliśmy wydobyciem konserw i przygrzewaniem kebabu na rożnach, gdy donośny strzał rusznicy rozległ się z poza wzgórza zachodniego, odbijając się echem kilkakrotnem wśród wzgórz północnych i wschodnich. Jemeńczycy zerwali się na nogi i chwycili za flinty, stając w pogotowiu obrony z wytężonym ku zachodowi wzrokiem. Ale starszy mulnik, obecny w tej chwili przy naszym ognisku, uspokoił ich zapewnieniem, że strzał pochodzi od Dziabra. Dla nas wiadomość ta wydawała się złowrogą, posępne uczucie zaważnęło sercem, a nad myślą zaciążyło wspomnienie grobowych słów Mohareba, wypowiedzianych na pożegnanie. Chcieliśmy pójść natychmiast za owe wzgórze zachodnie, ale nas

powstrzymał stary Jemeńczyk ręką i słowem: „Taki jest sąd Boga!“<sup>1)</sup>).

Niewsmak nam szło jadło pod grozą przeczuć złowrogich. Toć, gdy we dwie godziny potem obóz zwinięto, pośpieszyliśmy przed innymi w drogę...

Gdyśmy przebyli wzgórze zachodnie i ocknęli się w drugiej poza niem dolinie, ponad łożyskiem wyschłego potoku, którądy nam wypadła droga, ujrzelśmy przed sobą czekającego już na nas Dziabra. Siedział na tym samym koniu, na którym w pierw siedziała żona jego, posepny, z pochyloną na piersi głową, poruszając ustami, jakby szeptał modlitwy, rękę prawą trzymał na głowie siedzącego przed nim małego z zaczerwienionemi oczyma Somalia. Arabki nigdzie widać nie było, ale obok, na pochyłości łożyska potoku, pod zwieszającemi się łodygami kaktusu, widniała świeżo usypana ze żwiru mogiła... Dziaber spał konia i wysforował się milcząco na czoło karawany, która długim sznurem wyciągnęła się za nim w głąb wijącego się w górach wąwozu. Przejeżdżający przed mogiłą Arabowie przeciągali wzrokiem po niej, a z piersi ich wydobywał się szept: *Allaha ekber!*...

---

<sup>1)</sup> Rozdział XXIV. Koranu p. n. „Światło“. Wspomniana tam kara chłosty za nierząd — dotyczy podług Sunny tylko niewolników, inni podlegają śmierci.

KONIEC.

### Ważniejsze omyłki druku :

Str.	zamiast:	czytaj:
9 — 6 wiersz od dołu	<i>małs</i>	<i>maśs</i>
15 — 9 „ od góry	żujczemu	tüjczemu
18 — ostatni wiersz	totali	totalizatorze
32 — 14 wiersz od góry	reszta	ryszta
32 — w odsyłaczu	robak	glista
36 — 8 wiersz od góry	syliku	ejliku
62 — 2 „ od dołu	o to	oto
72 — 13 „ „ „	Sangut-Kulu	Sungur
75 — ostatni wiersz	w. m. p. e	w. m. p. e i pier- wszy minister
81 — 4 wiersz od góry	nagmaczowie	nagmaczowie i je- den dangaraczy
90 — 6 „ „ „	bułsan	bołsun
198 — 3 „ „ „	Āl hamd-ul-illah	El-hamdu-li-llah
311 — 2 „ „ „	swe	sme.



## SPIS RZECZY.

---

	Str.
Zgon króla pustyni . . . . .	1
Babka Tamerlana . . . . .	18
Bazèm bucharski . . . . .	74
Na stepach mongolskich . . . . .	91
Ta-Cau . . . . .	123
Chas-puszowie . . . . .	166
U pieśniarza i w enderunie . . . . .	177
Pieśniarze Surp-Karapeta . . . . .	201
Pobratymki w dolinie Jozafata . . . . .	208
Derwicz krotofilny . . . . .	227
Wielkanoc pod Akropolią . . . . .	273
Łazarz kwietny . . . . .	305
Znad Nilu . . . . .	323
Do królestwa Saby . . . . .	350

---



Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 788



1000000000179

